



ROMAIN ROLLAND

JAN KRZYSZTOF

TOM X.

KONIEC PODRÓŻY

Z UPOWAŻNIENIA AUTORA PRZEŁOŻYŁ

F. MIRANDOLA



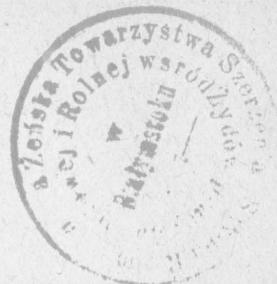
W A R S Z A W A — K R A K Ó W
NAKŁADEM KSIĘGARNI J. CZERNECKIEGO



K
R. 442
19. 9. 47

*Dziś, które oto kończę, oddaję
duszą wolnym tym ludom, które
cierpią, walczą i — zwyciężają!*

Romain Rolland.



PRZEDMOWA

DO OSTATNIEGO TOMU „JANA KRZYSZTOFA“.

Nakreśliłem obraz tragedji pokolenia, które wygasa właśnie. Nie starałem się zgola błędów, ni enót tych ludzi ukrywać, ani też inaczej przedstawiać. Pozostawiłem im cały, ciężący na ich barkach smutek, oraz dumę dźwigania po bohatersku owych cierpień, będących brzemieniem nie na ludzkie obliczonem, zaprawdę, siły. Przypadło im dzieło olbrzymie. Musieli stworzyć cały świat na nowo, dać wiekowi swe pojęcia moralne, estetyczne, wiarcę, oraz wytworzyć nowego człowieka. Takim było życie — nasze.

Na was dziś kolej ludzie młodzi, ludzie dnia co płynie. Przekroczcież ciała nasze i wstąpcie w pierwsze szeregi. Bądźcie dostojniejsi i szczęśliwsi od nas! Ja sam żegnam się z tem wszystkiem, co stanowiło dotąd duszę moją, rzucając ją poza siebie jako zewłok pusty i bez treści. Życie, to następstwo skonów i zmartwychwstań. Umarzjmy przeto Krzysztofie peto, by się odrodzić na nowe.

Romain Rolland.

Życie przemija. Ciało i dusza płyną, by krople
jakiegoś przedziwnego potoku. Lata wycinają znaki
na korze starzejących się drzew. Cały świat kształtów
zużywa i odnawia się z powrotem. Ty jedna, muzyko
nieśmiertelna nie mijasz nigdy. Tyś głębią niesiężna
duszy morza. Tyś duszy najistotniejszą treścią. W ja-
snych oczach twych nie przewierciedla się ponure
oblicze życia. Zdala od ciebie snuje się, podobny
przelotowi chmur, korowód gorączkowych, upalnych
i zamroczem objętych dni, pędzonych biczem troski,
nie mających trwania. Tyś sama nieprzemijająca, bo-
wiem jesteś poza światem, a świat własny masz
w sobie. Słońce tobie przyświeca odmienne, masz
prawa, odpływy i przypływy swoje. W tobie jest
spokój gwiazd brużdżących nocą niebiosy, owych
pługów, z pod których srebrne ścielą się skiby, wie-
dzionych nieomylną ręką niewidzialnego włodarza.

O jakąż jest dla oczu rozkoszą tve księżycowe
światło, dla tych oczu, które émi ostra poświata
dnia! Dusza z życiem obeznana i niem znużona od-
wraca się od miejsc poju, kędy piją ludzie spragnieni,
depcąc po błocie i macąc sobie wodę, a zwraca się
ku tobie i z twej piersi czerpie ochłodę, o ty źródło
sennych rozmarzeń! O muzyko, dziewico-matko ma-
jąca w niepokalanem ciele swem wszelkie namiętności,
dobro i zło tająca w jeziorze oczu, we fali zielonej
i szafirowej od barwy lodowców dalekich, skąd spły-
wają do cię wody twoje.

Powyż dobra jesteś i powyż zła, a kto chroni
się do ciebie żyje poza stuleciem, w którym żywie.

Liczba dni jego będzie jako dzień jeden, a śmierć dławiąca wszystko, niema nad nim mocy.

Muzyko kołysząca rozmarzoną duszę moją, muzyko, któraś mnie uczyniła na nowo silnym, spokojnym i radosnym, miłości moja i życie moje, składam pocałunek na czystych ustach twoich, kryję oblicze w złotych twych włosach i składam rozpalone powieki oczu moich w twych dłoniach miękkich.

Milczymy, oczy nasze zamknięte są, a mimoto widzą niezagaszalny blask twego spojrzenia, piję uśmiech milczących ust twoich i przytulony do serca twego wsłuchuję się w tętnienie nieśmiertelnego życia.

* * *

Krzysztof nie liczy już mijających lat Życie sący się po kropki dalej, ale jego życie umiejscowione jest już gdzieś indziej i nie ma historii. Historia jego, to dzieło, które tworzy. Nieustannie rozbrzmiewający śpiew muzyki pełni jego duszę i czyni go bezwrażliwym na rozgwar życia zewnętrznego.

Krzysztof zwyciężył, nazwisko jego zapanowało. Ale nadeszła starość i usrebrzyła mu włos. Nie trwoży się tem, bo serce jego pozostało młodem, nie tracąc nic ze siły i wiary swojej. Odzyskał na nowo spokój ale nie jest to ów spokój, jaki miał, zanim odbył straszliwą drogę poprzez płonący kierz.

Drży w nim dotąd wzburzenie, jakim go przejął raj i spojrzenie w przepaść, kiedyto rozwarły się przed nim bezdnie fal odkrywając zawrotne otchłany. Wie, że człowiekowi nie wolno się puszyć, iż władać sobą zdolny, może to uczynić jeden tylko Bóg, który walką włada i kieruje. Ma teraz dwie dusze. Jedna, to wyż po którym ślizgają się wichry i snują się chmury, druga to iglica śnieżnego szczytu skąpana w słońcu. Bytować tam nie można, ale kiedy mgła nizinna przejmie dreszczem i oziębą, wiemy kędy wiedzie droga ku słońcu. Dusza mglista Krzysztofa nie jest zgola osamotniona, czuje bowiem po-

bliż niewidzialnej przyjaciółki, silnej, potężnej św. Cecylii, zasłuchanej w anielskie chóry i zapatrzonej wielkimi, spokojnymi oczyma w niebo. Jako apostoł Paweł na rafaellovskim obrazie, oparty na mieczu milczy, duma i nic go już nie wzrusza. Nie myśli o walce, marzy jeno i snuje sen swój upojny.

W tym okresie życia pisywał głównie utwory na fortepian i dla muzyki kameralnej. W tego rodzaju kompozycjach autor ma większą wolność i śmiałość. Mniej tam stopni pośrednich pomiędzy ideą, a urzeczywistnieniem jej, a myśl nie osłabia się po drodze. Frescobaldi, Couperin, Szubert i Szopen wyprzedzili śmiałością ekspresji i stylu o pół wieku rewolucjonistów orkiestry.

Z roztętnionej gliny powstawały w silnych rękach Krzysztofa niesłychane utwory, oszalałamiące wprost fale akordów zaczynające się od najodleglejszych tonów, jakie chwyta jeszcze ucho człowieka dzisiejszego i rzucały czar święty na dusze. Ale publiczność musi mieć sporo czasu dla oswojenia się z owymi skarbami, jakie wielki artysta, niby nurek przynosi z otchłannych głębi morza. Niewielu mogło tedy śledzić zawrotny lot Krzysztofa w jego ostatnich kompozycjach, a sława opierała się wyłącznie na dziełach dawniejszych. Poczucie, że nie został zrozumiany ujawnia się dobitniej jeszcze artyście w razie powodzenia niż niepowodzenia, albowiem przedstawia się jako fakt nienaprawialny. Toteż w okresie tym pogłębiła się jeszcze owa, od śmierci jedyne go przyjaciela ogarniająca go chęć odsunięcia się zupełnie od świata.

Tymczasem otwarły mu się bramy Niemiec. We Francji tragiczne jego przejścia poszły w niepamięć. Mógł teraz swobodnie żyć gdzie chce. Ale bał się wspomnień czyhających nań w Paryżu. Mimo kilkumiesięcznego pobytu w Niemczech nie osiedlił się tam na stałe, jeździł jeno od czasu do czasu dla dyrygowania własnymi utworami. Ranili mu duszę różne rzeczy, nie będące wyłączną właściwością Niemiec, ale jak każdy, stawiał ojczyźnie swej wymagania

znaczniejsze i cierpiał bardziej nad jej ułomnościami. Zresztą na Niemcach ciążyło wówczas największe w Europie brzemie grzechów. Odpowiedzialność za odniesione zwycięstwo jest to rzecz wielka, albowiem zwycięzca staje się dłużnikiem pokonanego. Milcząco bierze na siebie obowiązek przodować mu i wskazywać mu drogę. Zwycięski Ludwik XIV dał Europie świetność francuskiego intelektu. Jakąż światłością obdarzyły świat Niemcy po Sedanie? Jeno chyba błyskotanie bagnetów otrzymała Europa! Myśl bez rozmachu, czyn bez wielkoduszności, brutalny kult faktu dokonanego i rzeczywistości, o którym nawet powiedzieć nie można na usprawiedliwienie, że jest to cecha człowieka zdrowego. Sam jeno gwałtłączony z żądzą zysku — Mars w roli agenta handlowego. Przez lat czterdzieści trwała przerażona, czekająca katastrofy Europa pośród głębokich ciemności. Słońce nakryła pikelhauba zwycięscy. Zwycięzeni, co nie śmieli stracić owego hełmu z głowy słońca zasługiwali chyba jeno na litość połączoną ze wzgardą, ale jakież uczucia budzić musiał żołnierz w pikelhaubie?

W ostatnich czasach zaświtało coś, niby nowe rano — Poczyniły się szpary i poświata oblała ziemię. Chcąc być jednym z pierwszych, którzy ujrzą słońce, Krzysztof oddalił się z przestrzeni objętej cieniem hełmu i wrócił do kraju, w którym, czasu musu, przebywał jako gość. Wyjechał do Szwajcarii. Porówni z wielu duchami czasów owych w których wrzały porywy wolności, a powietrze nieprzyjacielskich narodów nie nadawało się im do oddychania, udał się w zakątek wyniesiony ponad poziom Europy, gdzie można było pierś napoić powiewem szczytów.

Dawniej, za czasów Goethego Rzym wolnomysłnych papieży był ową wyspą, na której osiedlały się orły myśli wszystkich ras znajdujące tu zacisze od burzy chroniące. Jaki dawał teraz przytułek? Morze zatopiło wyspę, Rzym przestał być sobą, a ptaki uleciały ponad szczyty siedmiu wzgórz. Pozostały im Alpy jeno, jako jedyny asyl. Tam to, pośrodku rozpasanej Europy trwa (jakże długo jeszcze potrwa)

dotąd osiedle ciche, zespół dwudziestu czterech kantonów. Coprawda nie promieniuje zgola czarem baśnianym wieczystego miasta. Historia nie nasyciła powietrza, którem się tam oddycha wonią bogów, ni bohaterów. Ale z nagich głazów podnosi się wielki akord muzyczny, linie grzbietów górskich falują rytmem gigantów i nigdzie tak jak tu nie czuje się człowiek bliskim niespożytych sił elementarnych.

Krzysztof nie szukał tu wcale wzruszeń romantycznych. Starczyłby mu do życia kawałek pola, kilka drzew, potok i duży szmat nieba. Spokojne oblicze ojczyzszego kraju pociągało go silniej od onego gigantycznego spiętrzenia Alp. Nie mógł jednak zapomnieć, że tutaj właśnie odzyskał siły, że tutaj objawił mu się Bóg w krzu płonącym i wracał zawsze w te strony z drzeniem, dziękczynną modlitwą i wiarą. I nietylko on sam jeden. Iluż nieustraszonych bojowników życia, poranionych w zapasach przychodziło tu do sił, usposobiło na nową walkę stało swą moe i wiarę w toż właśnie życie i zwycięstwo!

Przebywając w onym kraju, poznał go. Przeważna liczba ludzi, którzy go zwiedzają dostrzegają jeno cudactwa i brzydotę, jak na przykład trąd hoteli, pokrywający najpiękniejsze okolice onej, mocarnej ziemi, oraz miejsca klimatyczne, owe olbrzymie magazyny, w których syty ludźmi wszystkich krajów kupują sobie zdrowie. Naturalnie razić muszą owe ogromne klatki z dzikimi zwierzętami, którym rzuca się kilka razy na dzień niesłychane masy mięsa, czyli t. zw. *table d'hoty*, koncerty kasynowe, których hałas miesza się z rozgwarem sal gry, włoscy blaźnawcy, ryczący i beczący w sposób obrażający uszy, a wreszcie graty na wystawach sklepowych, jak niedźwiedzie, domki i inne głupie, a ciągle takie same drobiazgi. Nie świadczą też wcale o wysokim poziomie moralnym skandaliczne broszury po najpoważniejszych księgarniach. Ale uwzględnić trzeba, że odbiorcami tych wszystkich rzeczy są próżniacy, którzy co roku milionami jawią się w Szwajcarii żądni jeno uciech motłochu, bo nie są w stanie sięgnąć po inne rozrywki.

Ludzie, którzy to tylko dostrzegają w Szwajcarii nie wiedzą nic o ludzie, u którego są wagości i nie domyślają się nawet jakie się w nim kryją skarby duchowej siły i umiłowania swobód obywatelskich. Od stuleci wzrasta i niejako magazynuje się ten dobrobek, tłą tam pokłady zarzewia, jakie rozplómiętało duszę Kalwina i Cwinglego i trwają pod popiołem, żywie tam niezłomny duch demokratyczny, niepojęty zgoła dla republiki napoleońskiej, istnieje podziwu godna prestota urzędów, są pomniki olbrzymich dzieł socjalnych, tak zdumiewające, że Europa dotąd zrozumieć nie może owych Stanów Zjednoczonych, gdzie żyją w zgodzie zupełnej trzy wielkie narodo-wości, swarzące się ciągle i bijące poza granicami onej przedziwnej miniatyry Europy wieków przyszłych.

Cóż powiedzieć dopiero o owej zdumiewającej Dafne, kryjącej się pod szorstką korą, o przejawskrawionych tęczwami błyskawicami geniuszu, opętańskich marzeniach Böcklina, bohaterstwie Hodlera, radosnych i pełnych jednocześnie zadumy wizjach Gotfryda Kellera. Żywie tam nieustanna tradycja owych wielkich uroczystości narodowych, które są niby pulsowaniem soków w drzewach lasu o wiosnie, trwa tam i kwitnie młoda jeszcze sztuka, mająca często cierpki smak dzikich pełnych pestek owoców, czasem mdława, cukrzasta woń jeżyn i borówek, ale związana nierozdzielnie z naturą. Jest to wszystko dzieło samouka, którego stara kultura nie odcina od ludu, bowiem razem czytają oni z tej samej książki przyrody.

Krzysztof odczuł żywą sympatię dla tych ludzi, którzy mają skromniejszy pozór, niż wypadłoby to z napięcia twórczej ich woli i pod pokostem współczesnego industrializmu zachowali rzeźwe, młodzieńcze cechy Europy chłopskiej i mieszczańskiej dawnych wieków.

Posiadł on tam kilku dobrych przyjaciół, poważnych, wiernych, samotnych i zamkniętych w sobie, żyjących wśród ciągłego tęsknienia za przeszłością. Przypatrywali się oni zanikaniu dawnej Dzwjarczari z pewnego rodzaju religijnym, fatalistycznym pasy-

wianem kalwińskim. Były to domy wielkie, ale osmucone bardzo. Krzysztof rzadko się z nimi stykał. Stare rany jego zabiłżniły się, ale zbyt były głębokie, by zarosnąć zupełnie i wygoić się. Bał się stosunków z ludźmi, bał się onego łańcucha tęsknot i cierpień i dlatego dobrze mu było w kraju, gdzie mógł żyć na ubożu, obcy, pośród obcych. Zresztą nie przebywał nigdy długo w jednym miejscu, ale zmieniał często miejsce spoczynku. Był, niby stary ptak wędrowny żądny wielkich rozlogów przestrzeni, żądny powietrza. Królestwo jego było w powietrzu...

* * *

Wieczór letni.

Wędrował po górach, mając u stóp swoich wieś. Kapelusza trzymał w rękę i kroczył drogą wijącą się skrętami. W przesmyku, pośród dwu wiszarów droga zwracała się dwa razy, w dwu przeciwnych kierunkach. Po obu jej stronach rosły krzaki leszczyny i kosodrzewina. Wydało mu się, że zaszedł w maleńki, zupełnie odosobniony światek, na prawo i lewo skręty drogi odcinała próżnia przepaści. Ponad sobą miał przestwór przelśniony jeszcze blaskami zachodu. Mrok ogarniał powoli świat, spływała cisza wieczorna.

Pojawili się oboje naraz na przeciwnych zakrę-
tach. Ubrana w czarną suknię, rysowała się ostrą
sylwetą na niebie. Poza nią szło dwoje dzieci sześć-
cio do ośmioletnich, chłopiec i dziewczynka, zrywając
kwiaty polne. ○ kilka kroków od siebie będąc, po-
znali się. Oczy obojga wyraźnie odbiły silne wrażenie,
ale nie padło słowo głośne, jeno niepostrzeżone od-
ruchy podkreśliły moment onego spotkania. Krzysztof
zmieszał się bardzo, jej wargi drżały. Przystanęła.
On rzekł niemal szeptem:

— Gracja!

— Pan tutaj?

Podali sobie ręce i stali bez słowa. Gracja
pierwsza przerwała milczenie. Powiedziała gdzie

mieszka, spytała go o adres. Nie słyszeli niemal oboje tych mechanicznych zgoła pytań i zrozumieli je dopiero potem, po rozstaniu, stali i patrzyli na siebie. Tymczasem zbliżyły się dzieci a matka przedstawiła je. Krzysztof spojrział na malców niemal wrogo, dobrego im nie dał słowa, zatonął bez pamięci w niej, patrząc w to drogie, postarzałe nieco oblicze. Pod promieniami oczu jego zmieszala się i rzekła.

— Może pan zechce przyjść dziś do mnie?

Raz jeszcze wymieniła nazwę hotelu.

Spytał gdzie jest jej mąż, odpowiedziała wskazując swe szaty wdowie. Był nadto wzruszony, by mówić dalej, pożegnał się niezgrabnie i odszedł. Ale po dwu krokach, zawrócił, zbliżył się do dzieci zbierających poziomki, otoczył je ramionami, ucałował z wielką porywcznością, a potem odszedł pospiesznie.

Wieczorem zjawił się w hotelu i zastał ją pod oszkloną werandą. Siedli na uboczu. Było niewiele ludzi, kilka zaledwo starszych osób, ale obecność ich drażniła Krzysztofa. Gracja patrzyła nań, a on na nią, powtarzając ciągle jej imię.

— Zmieniłam się bardzo... prawda? — spytała.

Serce jego wezbrało rozczuleniem.

— Przecierpiała pani niemało! — powiedział.

— Pan również! — odrzekła ze współczuciem, patrząc na jego zniszczone bólem i namiętnościami oblicze.

Nie mogli znaleźć słów.

— Proszę pani — ozwał się po chwili — idźmy gdzieindziej. Udajmy się w miejsce ustronne, gdzie byśmy byli sami.

— Nie drogi przyjacielu! — powiedziała — lepiej tu zostać. Jest nam wygodnie i nikt na nas nie zwraca uwagi.

— Nie mogę mówić swobodnie.

— To i lepiej... — rzekła.

Nie rozumiał dlaczego upiera się zostać. Gdy potem odtwarzał we wspomnieniach tę pierwszą rozmowę doszedł do wniosku, że nie miała dość zaufania. Ale Gracja odezuwała jeno instynktowny

strach przed gwałtownymi scenami. Nie uświadamiając sobie tego dokładnie, chciała stworzyćwał ochronny przeciw niespodziankom serc obojga. Lubiła nawet ów przymus publicznego salonu, obok poufności rozmowy, był jej bowiem przysłoną dla wewnętrznej bezsilności i zmieszania.

Półgłosem, przerywając opowiadanie milczeniem nakreślił sobie dzieje życia w zarysach. Hr. Bereny zginął przed kilku miesiącami w pojedynku, a z tego co mówiła Krzysztof domyślił się, że nie była szczęśliwą w małżeństwie. Zmarło jej też pierworodne dziecko. Nie wyrzekła jednak słowa skargi. Zmieniła sama przedmiot rozmowy i z wielkiem współczuciem wypytywała Krzysztofa o szczegóły jego życia.

Rozległy się dzwony, był to bowiem wieczór niedzielny. Niebawem życie ustało,

Poprosiła by zjawił się na trzeci dzień, a jego osmuciło bardzo, że tak nie spieszo jej było ujrzyć go znowu. W sercu miał radość i smutek jednocześnie.

Następnego dnia napisała doń pod jakimś pozorem, by przyszedł, a te zwyczajne słowa wprawiły go w zachwyt. Przyjęła go tym razem w prywatnym saloniku swoim. Miała przy sobie dzieci, a Krzysztof spoglądał na nie z pewnym jeszcze niepokojem, ale wielką serdecznością zarazem.

Spostrzegł, że dziewczynka podobna jest do matki, a nie pytał do kogo podobny jest chłopiec. Rozmawiali o kraju, o pogodzie, o książkach leżących na stole, ale oczy ich wiodły zgoła inny dialog. Krzysztof miał nadzieję, że uda mu się z nią poufniej pomówić. Ale zjawiła się jakaś znajoma z hotelu. Widział z jaką uprzejmością Gracja zachowywała się wobec przybyłej. Nie czyniła nawet żadnej z pozorów różnicy pomiędzy obojgiem swych gości. Osmuciło go to, ale nie rozgniewało. Zapropo nowała wspólną przechadzkę, a Krzysztof zgodził się. Mimo, że owa obca dama była ładna i rozmowna, znudziło go jej towarzystwo i zepsuło mu cały dzień.

Zobaczył Grację w dwa dni potem dopiero, a czas ten cały spędził na rozpamiętywaniu chwili kiedy do niej pójdzie. I tym razem nie powiedział mu się lepiej wizyta. Mimo wielkiej serdeczności nie chciała wyrzec się swej rezerwy. Krzysztof sam się do tego po części przyczynił kilku czysto germańskimi wybuchami rozlewności uczuciowej, które jej były przykre i przeciw którym broniła się instynktownie.

Napisał do niej, a słowa listu wzruszyły ją. Powiedział, że życie jest tak krótkie i tyle już go upłynęło obojgu, iż niewiele pewnie zostaje czasu na obcowanie ze sobą. Toteż źleby było, a nawet grzesznie, gdyby nie skorzystali ze sposobności pomówienia ze sobą szczerze i często.

Odpowiedziała kilku serdecznemi słowami. Usprawiedliwiała się, z niedowierzania życiu od kiedy ją tak boleśnie poraniło. Wyznała, iż nie może pozbyć się nawyku rezerwy, bowiem każdy wybuch, szczerzego nawet uczucia trwoży ją i niepokoi. Mimoto umie ocenić wartość odzyskanej przyjaźni i czuje się z tego powodu równie, jak on szczęśliwą. W zakończeniu poprosiła, by przyszedł wieczór.

Serce jego przepęłniła wdzięczność. Położył się na łóżku zakopał głowę w poduszki i płakał. Było to wyzwolenie z dziesięcioletniej samotności, w którą popadł od czasu śmierci Oliwera. List ten przyniósł mu dobrą nowinę zmartychwstania dla zlaknionego uczucia serca. Musiał się z konieczności odzwyczaić od uczucia, a dziś dopiero przekonał się jak mu tego bardzo brakowało i jakie skarby miłości nagromadziły się w jego sercu.

Spędzili rozkoszny, święty wieczór. Mimo zamiaru nie ukrywania przed sobą niczego mogli ze sobą jednakże mówić tylko o rzeczach obojętnych, natomiast co innego powiedział jej muzyką, gdy go spojrzeniem zaprosiła do fortepianu. Wzruszyła ją pokora tego męskiego serca, o którym wiedziała, że dumne jest i namiętne. Gdy odchodził, milczący uścisk dłoni powiedział im wzajem, że się odnaleźli i nie tracą już w życiu.

Wiatr ucichł zupełnie, padał deszcz, a serce Krzysztofa śpiewało hymn tryumfu.

Mogła pozostać parę dni zaledwo jeszcze w tej miejscowości i nie odsunęła odjazdu ani o jedną godzinę. Nie śmiał jej o to prosić, ani uzalać się. Ostatniego dnia poszli na przechadzkę wraz z dziećmi. W pewnym momencie wezbrała taką miłością i szczęściem, że chciał jej to powiedzieć.

Ale powstrzymała go łagodnym gestem i uśmiechem, który znaczył:

— Wiem i czuję wszystko co mógłbyś mi powiedzieć.

Usiedli na skrócie skalnej ścieżyny, gdzie spotkali się poraz pierwszy. Spoglądała w dolinę u stóp ich leżącą, ale zdaje się nie widziała jej wcale. On zaś wpatrywał się w drogie oblicze, na którym cierpienie zostawiło swe niezaprzeczalne piętno. Wśród gęstych, czarnych włosów snuły się srebrne nici. Uczuł pełne litości uwielbienie dla tego ciała, które wycierpiało tyle od mąk przenikających duszę. Bo wiem dusza wyzierała z owych stygmatów czasu. Poprosił niepewnym, drżącym głosem, niby o dar bezcenny, o jeden taki biały włos.

* *

Wyjechała, a Krzysztof pojąć nie mógł, czemu nie urządziła w ten sposób sprawy, by mógł jej towarzyszyć. Nie zwątpił w jej przyjaźń, ale opór ten dziwny wyprowadził go z równowagi. Wytrzymał ledwo dwa dni na miejscu, ruszył w przeciwnym kierunku. Próbował pracą i podróżami skierować swą uwagę w inną stronę. Wreszcie napisał do Gracji i po kilku tygodniach otrzymał odpowiedź, z której przebijała przyjaźń szczerą, spokojną, wolną od wszelakiej namietności. Napisał ponownie i zaczął otrzymywać krótkie listy, które kochał, mimo, że tonem swym sprawiały mu ból. Nie czuł się w prawie czynić jej wyrzutów, obustronna skłonność ich była bowiem

zbyt świeża, zbyt niedawno wznowiona, a drżał, by mu się nie wymknęła.

Listy przepojone były pełną spokoju serdecznością. Winien był ufać, pamiętając, jak odmienną jest od niego. Ułożyli, że spotkają się pod koniec jesieni w Rzymie. Bez onej nadziei, podróż nie miałaby żadnego uroku dla Krzysztofa. Długa samotność uczyniła go człowiekiem osiadłym, toteż nie znosił owej bezpotrzebnej zmiany miejsca pobytu, w której lubuje się gorączkowo ruchliwe próżniactwo współczesnych ludzi. Bał się też zmiany przyzwyczajęń, jako niebezpiecznej dla systematycznej pracy duchowej. Przy tem wszystkim Włochy nie nęciły go wcale. Znał jeno haniebną muzykę Werystów i owe arje dla tenorów, do których ziemia Wergilego kusi zawsze przejezdnych kompozytorów. Miał do cudnej Italii zrozumiały u przodownika muzyki nowej, wstręt, bowiem nazwa Rzymu łączyła mu się zawsze z pojęciem najgorszej, akademickiej rutyny. Niezależnie od tego wszystkiego tkwiła w nim zaródź niechęci człowieka północy do wielomownego, pustego, oratorskiego południowca. Myśląc o tem, przybierał Krzysztof pogardliwą minę. Nie, nie miał zgola ochoty zapoznawać się z tym ludem mandolinistów i ryczących melodramacistów, z którymi Europa już skończyła rachunki.

A jednak Gracja była obywatelką tego kraju. Przeto postanowił jechać, zamknąć oczy, zatkać uszy i wytrwać tak długo, aż się z nią połączy.

Do zamykania oczu był zdawna przyzwyczajony. Od lat całych spuszczone były owe okiennice jego wewnętrznego życia. Tej właśnie jesieni nie należało ich ich otwierać. Przez trzy tygodnie padał bezustanny deszcz, a potem obsiadły doliny Szwajcarii gęste mgły, od których dygotało wszystko ze zimna. Nie pamiętało się już ciepła słonecznego. W celu odnalezienia w sobie skoncentrowanej jego siły należało przedewszystkiem zanurzyć się w zupełnej ciemni i zamknawszy oczy, zstąpić w głąb kopalni, w podziemia snu. Tam trwało zaklęte w węgiel słońce minionych dni. Tylko, niestety ten kto spędził całe życie

na kopaniu, wychylał się na świat z wyschłymi esłankami, sztywnym grzbietem, odrętwiałymi kolanami, napoły skamieniały, a oczy jego spoglądały błędnie, niby oczy ptaka nocnego.

Krzysztof wydobywał długo i wynosił na świat z trudem niemalym ów płomień z kopalni, by grzał skostniałe serca. Ale sny północy ogrzane są ciepłem pieca i marzą się w zaduchu pokoju. Dopóki żyje się w tych warunkach, nie odczuwa się tego zgola, przeciwnie, lubujemy się w owej dusznej cieplecie, w półmroku, a marzenia snują się pięknie w głowie objętej zagarem. Kochamy to co posiadamy, bo nie mamy nic innego do kochania...

Krzysztof, drzemiąc napoły w przedziale wagonu, wydostał się przez bramę Alp i myślał, że śni, ujrzawszy niepokalane niebo i przejrzyste światło spływające po zboczach gór. Upłynęło sporo czasu, zanim odurzona jego dusza przyszła do siebie, zanim stopniał lodowy blok, obejmujący ją niby korą. W miarę, jak się dzień posuwał, światłość coraz to mocarnej brała go w ramiona. Zapomniał o wszystkim, patrzył jeno i nie mógł się napatrzeć.

Pociąg zatrzymał się wbrew rozkładowi jazdy w jakiejś wsi rybackiej nad morzem. Powiedziano podróżnym, że skutkiem długich deszczów w jednym z tunelów pomiędzy Genuą a Pizą zapadła się część sklepienia, tedy wszystkie pociągi zatrzymają się na przeciąg paru godzin. Podróżni gniewali się, ale Krzysztof mający bilet wprost do Rzymu, był zachwycony tym wypadkiem. Wysiadł i udał się nad morze, które go nęciło. Kiedy po kilku godzinach rozległ się gwizd odchodzącego pociągu, on kołysał się w barce i krzyknął za mknącymi wagonami: *Wesołej podróży! Żeglował po morzu wzdłuż brzegów w dzień i w nocy. Znalazł przytułek we wsi i spędził tam pięć dni, będących jedną chwilą upojenia. Podobny był człowiekowi, który je po długim poście. Sycił się światłem. Przez pięć dni pijany był słońcem i poraz pierwszy od lat zapomniał, że jest muzykiem. Muzyka jego*

życia przemieniła się w jaśnienie. Była to promienna symfonia grana przez słońce samo.

Krzysztof patrzył i patrzył, zapomniawszy zgoła o celu swej podróży, nie spieszył się wcale, zbył się niepokoju, z jakim pragnął copędzej zobaczyć Grację. Patrzył i... o dziwo... nucił melodię z „Cavaleria rusticana“.

Po długim dopiero czasie ożył w nim na nowo obraz ukochanej. Może padło nań spojrzenie przechodzącej kobiety, może doleciał jakiś fragment pieśni... nie wiedział, jak się to stało, ale nadeszła godzina, kiedy postać ukochanej jawiła mu się we wszystkim co go otaczało. Widział ją w pokrytych gajami oliwnymi wzgórzach, w sinych grzbietach i załomach Apeninów obrzeżonych czarnymi cieniami i roziskrzonych słońcem, dostrzegał pośród obciążonych owocami drzew pomarańczowych i czuł w głębinnym oddechu morza. Wykwitła na onej cudnej ziemi, niby róża na krzaku.

To go otrzeźwiło i ruszył do Rzymu, nie zatrzymując się nigdzie po drodze. Nic go nie interesowało z dzieł ludzkich Italji. Nawet Rzymu oglądać nie chciał, a napotkane w nowej dzielnicy ordynarne, prostackie budowle napełniały go wprost odrazą.

Zaraz po przyjeździe odszukał Grację, a ona spytała!

— Którędy pan przybyłeś? Czyś długo zabawił we Florencji i Medjolanie?

— Nie! — odparł — Poczóż?

Roześmiała się.

— Ładna odpowiedź. A cóż pan powiesz o Rzymie?

— Nic! Nie widziałem Rzymu.

— Doprawdy?

— Ani jednego posagu. Prosto z hotelu przyszedłem do pani.

— O dziesięć kroków od pana jest Rzym! Patrz pan na ten mur... co za oświetlenie!

— Widzę tylko panią!

— Jesteś pan barbarzyńcą. Patrzysz jeno w świat urojenń swoich... A kiedyż wyjechałeś pan ze Szwajcarii?

— Przed tygodniem.

— Coś pan robił przez ten czas?

— Nie wiem. Zatrzymałem się skutkiem drobnego przypadku w pobliżu morza. Nie pamiętam nazwy miejscowości. Przez cały tydzień śniłem z otwartemi oczyma. Nie pamiętam, com widział, nie pamiętam, o czem marzyłem. Zdaje mi się, że o pani. Wiem tylko, że to było bardzo piękne... a najpiękniuszem wydaje mi się, że o wszystkim zapomniałem...

— Dziękuję! — powiedziała.

Nie słyszał i mówił dalej:

— Nie pamiętam już niczego, co tam było i co było przedtem... Stałem się nowym człowiekiem i zaczynam nowe życie!

— Naprawdę? — spytała i uśmiechnęła się — Widzę rzeczywiście, żeś pan się zmienił od czasu ostatniego naszego spotkania!

Spostrzegł, że i ona także zmieniła się, że nie była tą, o której marzył. Nie zaszła w niej zmiana od dwu miesięcy, tylko patrzył na nią innemi oczyma. Tam, w Szwajcarii obraz dni minionych, mglisty cień młodocianej Gracji przysłonił mu rzeczywistość jej postaci. Tutaj, pod promieniami włoskiego słońca stopniały mgły północne i ujrzał prawdziwą duszę i ciało ukochanej w pełnym świetle dnia.

Niepodobną była zgoła do dzikiej kozicyzymanej w klatce Paryża, niepodobną również do młodej niewiasty z uśmiechem św. Jana jaką mu się przedstawiła pewnego wieczoru, niedługo po ślubie. Z małej Madonny umbryjskiej wykwitła piękna Rzymianka.

Color verus, corpus solidum et succi plenum.

Kształty jej nabrały harmonijnej pełni, owianej dostojnem jakimś omgleniem. Otoczyły ją duchy pokoju. Lubowała się teraz w przelśnionej słońcem ciszy, w beczynie dumań, w rozkosznym, pokoju

pełnym życia, którego celem samo życie jest, słowem w tem wszystkim, czego dusze ludzi północy nigdy chyba pojąć nie będą w stanie, ani nauczyć się.

Z przeszłości zachowała jeno wielką dobroć, która przepajała wszystkie uczucia i czyny. Ale w promiennym uśmiechu jej dopatrzeć się było teraz można czegoś nowego. Było to jakby smętne pobłażanie, nieco znużenia, dużo zrozumienia duszy ludzkiej, trochę ironji i spokojnego, zdrowego rozsądku. Z wiekiem nabrała chłodu, chroniącego przed złudzeniem serca. Nie poddawała się niczemu bez zastrzeżeń i obok serdeczności zachowała uśmiech ostrzegawczy, otamowujący wybuchy namiętności, które Krzysztof pokonywać musiał z wysiłkiem.

Czasem zdarzały jej się chwile słabości, w których zaprzestawała oporu, była wówczas kokieterijna, kpila sama z tego, ale nie walczyła z owym nastrojem. Nie było w niej buntu, ani przeciw światu, ani samej sobie, jeno cichy fatalizm człowieka z natury dobrego, nieco tylko zmęczonego życiem.

* * *

Przyjmowała u siebie wiele osób, z pozoru przynajmniej nie czyniąc wielkiego wyboru. Że jednak wszyscy zaufańsi należeli do tychsamych sfer, oddychali jednym powietrzem i urobieni zostali tymi samymi nawykami, przeto towarzystwo zgrane było i szarmonizowane w sposób znacznie różniący się od tego co widywał Krzysztof w Niemczech i Francji. Większość, byli to potomkowie starych włoskich rodów, odświeżeni przez małżeństwa z cudzoziemcami, panowała zewnętrznie atmosfera kosmopolityczna, zarówno odnośnie do czterech głównych języków świata, jak i owego balastu duchowego wspólnego tym czterem narodom. Każdy naród wprowadzał tu nutę własną, żydzi niepokój, anglosasi flegmę, ale jedno i drugie mieszało się we włoskim tyglu.

Nie mógł Krzysztof analizować swego wrażenia, wchłaniał jednak ową woń przedziwną, idącą falą od tych dusz będących produktem wielowieko-

wej kultury, chociaż dusze niektórych osób nie były zbyt górne, czasem nawet przeciętne. Posiadali ów wdzięk niewysłowiony we wszystkim, w niewiedzy zarówno, jak wiedzy, w dowcipie, kpinach, czy wesołości. Nie czuło się tu mądrości nabytej, ani sztywności, kontrastowości i niedoświadczenia. Nie trzeba się tu było obawiać psychologa paryskich salonów chwytającego fakty z zasadzki, lub niemieckiego feldwebela w todze doktorskiej. Byli to ludzie, zwykli, ludzie podobni do przyjaciół Terencjusza, czy Scypiona Emiljana.

Homo sum...

Tak się przedstawiała pięknie zewnętrzna strona. Ale życie ich było raczej pozorem, niż prawdą i przepełnione było nieczmierną lekkomyślnością, wspólną dobru towarzystwu całego świata. Cechą główną tego towarzystwa było rozleniwienie. Łatwość, z jaką biorą życie Francuzi nieodłączna jest od ciągłego podniecenia nerwowego, a towarzyszy jej ruchliwość umysłu, nawet gdy motor ten nastawiony jest na punkt zerowy. Włoch jeno umie odpoczywać i czyni to aż nazbyt dobrze. Roskosznie leży sobie w cieniu, na miękkiej poduszce epikureizmu, a pozornie giętki, łaknący wiedzy i ironiczny umysł jego, w rzeczywistości zobojętniały jest na wszystko.

Zebrany u Gracji ludziom brak było konkretnych przekonań. Zarówno w polityce, jak i sztuce byli to dyletanci. Lubowali się też we wszystkim, w obrazach, rzeźbie, kwiatach, kobietach, książkach, dobrem jedzeniu, ojczyźnie i muzyce, niczego nie umiłowali z pasją.

Nie umieli kochać, mimo, że miłość zajmowała dużo miejsca w ich życiu. Warunkiem było bowiem, by im w niczem nie przeszkadzała. Miłość to była leniwa, a nawet namiętność przybierała formy obowiązku małżeńskiego. Umysł ich akomodował się doskonale do każdego lenistwa, a najsprzeczniesze myśli stykały się z sobą bez uderzenia i nie tętniąc wcale spływały bez jakiegokolwiek niebezpieczeństwa

w coś nieuchwytnego, czego nie sposób nazwać jednością.

Wszyscy bali się wyraźnych poglądów i partyjności, czując się dobrze z półprzekonaniem i półmyślą. Były to duchy konserwatywno liberalne, sprzyjała im napoły wyżynna atmosfera niektórych lotnisk gdzie nie grozi utrata tchu, ni bicie serca. Jak w lustrze przegładnąłby się mogli w rozprószonym świetle utworów Manziniego. Nie powiadali, jak wielcy przodkowie; *Primum vivere*, ale: *D'apprima, quieto vivere*.

Idealem wszystkich, nawet kierowników polityki, był ów życiowy spokój. Każdy z obecnych małych Machiawelów, władający sobą i innymi trzeźwo i chłodno, nie cofający się przed niczem, by cel swój osiągnąć, gotowy wszystkich przyjaciół złożyć w ofierze dumie własnej, gotów był swą całą duszę i wszystkie ambicje poświęcić za swe *quieto vivere*. Konieczne im były drugie okresy bezczynu. Wypróżnowawszy się, stawali się rzeźcy i silni, jak po zdrowym śnie. Tych poważnych mężów, te zatopione w ciszy Madonny porывał nagle szal mówienia, wesołości, towarzyskości ruszali się, wypowiadali się w śmiałych, zręcznych słowach, ruchach, okrzykach paradoksalnych dowcipach, wszyscy grali *opera buffa*.

W tej włoskiej galerji obrazów rzadko natrafiało się na ślad myśli, metaliczny połysk oczu, twarze porane wytrwałą praeą ducha, jak się to ciągle dostrzega na północy. Jak wszędzie, tak i tu nie brak było dusz zatroskanych, lub kryjących swe utrapienia i męki pod maską obojętności, a szukających ulgi w oszołomieniu. Trafiali się też ludzie napastowani nagłą, dziwaczną manją, co jest oznaką utraty równowagi, a rzeczą zwykłą u starych ras. Są to pęknięcia, podobne szczelinom w ziemi, rzymskiej Kampanji.

Dużo uroku wiało od onych dusz leniwych, od spojrzeń ukojnych, a drwiących, w których tlił skryty tragizm. Ale Krzysztof nie był w odpowiednim nastroju, przeciwnie, wściekłość go ogarnęła, że Gracja otoczyła się takimi ludźmi. Zły był na nich i na nią,

obraził się na nią jak przedtem na Rzym, bywał co raz rzadziej i przysiągł sobie, że wyjedzie.

Ale nie wyjechał. Owo środowisko, które go zrazu drażniło, zaczęło nań oddziaływać, choć sobie tego nie uświadamiał.

Odosobnił się całkiem i rozpoczął wędrówkę po Rzymie i okolicy. Słońce rzymskie, wiszące ogrody, Kampanja na kształt złotej szarfy, opasująca morze, zwolna, objawiały mu tajemnicę tego czarownego zakątka ziemi. Poprzysiągł sobie, że nie uczyni kroku, ku tym martwym zabytkom, którymi pogardzał, jak mu się wydało. Mruknał, że jeśli chcą niech przyjdą doń same. I przyszedł, spotykał je na każdym kroku, wędrując po pagórkowatym terytorjum wiecznego miasta. Mimowoli zobaczył czerwone od zachodzącego słońca Forum, nawpół rozpadłe łuki Palatynu, w głębi których sklepiły się kopuły ciemnego lazuru. Szedł poprzez nieskończoną Kampanję, wzdłuż Tybru pełnego tłustego, rudawego szlamu, jakby toczył fale ziemi nie wody, stapał śladem starych akwaduktów, których szczątki przypominają gigantyczne żebra i kręgi przedpotopowych potworów. Ciemne chmury kłębiły się po szafirze nieba, chłopci na koniach popędzali cienkimi prętami trzody wielkich, jasno-popielatych wołów o długich rogach, zaś na starożytnym gościńcu ciągnącym się w dal przez pustać, bosonodzy pastuszkowie, z kosmatymi skórąmi na lędźwiach, wiedli karawany osłów i osłał. Na horyzoncie rysowały się grzbiety gór Sabińskich, zaś po przeciwległej stronie nieboskłonu widniały stare mury miejskie, oraz fasada św. Jana z tańczącymi figurami odcinającymi się czarno na tle nieba. Cisza, żar słoneczny... ponad równia płynie wiatr...

Roskoszował się tem po całych dniach, aż do zmroku, często uczuwając jakiś lęk gdy słońce zachodziło. O ziemio płomienna, myślał, ziemio niema! Słyszę tętnienie kroku legionów poprzez ciszę twą ukojną. Jakaż moc życia trwa w tej piersi, ileż tęsknoty ku zmartwychwstaniu!

Krzysztof znalazł dusze, w których płonęło zarzewie wiekowych płomienisk, pod popiołami zmarłych ukryte. Myślałby ktoś, że ogień ten zagasł, gdy zamknęły się oczy Mazinniego? Żył dotąd, tensam ogień płonął ciągle, tylko niewielu chciało go widzieć. Niepokoili śpiących, szerzył światłość jaskrawą, grzmiał pobudką wici. Ci, którzy znosili ów blask, młodzi trzydziestoletni ludzie, był to wybór dusz. Zbiegli się z wszystkich krańców świata, a jakkolwiek różni temperamentem, wychowaniem zapatrywaniem i wiarą, zjednoczeni byli w kulcie płomienia nowego życia. Nie uznawali więzi partyjnych norm ni systematyki poglądów, hasłem im była śmiałość myślenia, zuchwałość ducha i czynu. Potrzásali silnie śpiącymi. Szło o to, by po politycznem zmartwychwstaniu Italji, powstał na głos bohatera, po niedawnej odnowie gospodarczej, wywieść z grobu ducha ojczyzny.

Gnębiła ich ospała beztroska, nikczemność ducha, oraz gadatliwa nicość naczelnych ludzi. Obrażało ich to. Głosy ich grzmiały piorunowo poprzez mgłę retorstwa, i niewoli moralnej, ciężącej od wieków na duszy ojczyzny. Rozpędzali opary, wołali do powstania, chcieli, by zbudził się jasny rozum i konsekwentny czyn, który był im wszystkim.

Gotowi poświęcić własne poglądy dyscyplinie zbawiennej dla ogółu, stali się żołnierzami prawdy. Kochali ją namiętnie. Razu pewnego, kiedy miotano na nich oszczerstwa, gdy im grożono i chciano zgubić, rzekł jeden z przywódców napastnikom: — Szanujcie prawdę! Mówię do was szczerze i zgola bez gniewu. Zapominam o złem, jakieście na mnie ściągnęli i złem, jakiegoście może doznali odemnie. Nie masz dostojności moralnej, nie masz ofiarności, ni szlachetności tam, gdzie niema religijnej, nieugiętej, bezwzględnej czci dla prawdy. Cwiczcież się w tym trudnym obowiązku. Fałsz zabija tego, kto nim włada, jeszcze zanim go użyje przeciw wrogowi swemu. Cóż wam z szybkiego zwycięstwa? Korzenie waszej istoty zawisną w próżni, bowiem kłamstwo zeżarło ziemię. Nie mówię do was jako przeciwnik. Stoimy ponad

sprzecznościami, choćbyście sprzecznym poglądom waszym nadali miano ojczyzny. Jest coś ponad ojczyznę, jest sumienie człowiecze! Istnieją prawa, których zgwałcić wam nie wolno o ile nie chcecie być złymi obywatelami. Macie przed sobą człowieka szukającego prawdy. Winnicie słuchać wołania jego. Macie przed sobą człowieka, który pała chęcią uczynienia was wielkimi, czystymi i pracowania wespół z wami. Bówiem czy chcecie, czy nie, wszyscy pracujemy razem na całym świecie w imię prawdy. Wszystko co osiągniemy nosić będzie nasze piętno, o ile pracowaliśmy rzetelnie. Najcenniejszą rzeczą w człowieku jest, że posiada cudowną zdolność szukania prawdy, poznawania, kochania jej i poświęcania się za nią...

Kiedy Krzysztof poraz pierwszy usłyszał te słowa, wydały mu się echem własnego głosu i poczuł się bratem onych ludzi. Mogło się zdarzyć, że staną przeciw sobie jako wrogi w walce ludów, ale wrogami, czy przyjaciółmi, niewątpliwie zawsze będą i być muszą członkami tej samej familji ludzkiej. Wiedzieli o tem, jak on, wiedzieli przed nim. Upředzili go, zanim ich poznał, byli bowiem przyjaciółmi Oliwera. Krzysztof przekonał się, że przelożyli i czytawali pilnie utwory Oliwera (kilka zbiorków wierszy i drobne szkice krytyczne), które w Paryżu, znane były małej grupie ludzi.

Potem przypadło mu poznać głębokie różnice dzielące ich dusze od duszy przyjaciela. W sądach o innych nie mogli wyzbyć się upředzeń swej rasy, i mimo wysiłków nie umieli wyjść poza siebie. W gruncie rzeczy, w dziełach obcych szukali oni jeno tego co im nakazywał instynkt i nieraz brali z nich to jeno, co sami w nie włożyli. Pełni siebie samych i własnych namiętności byli bardzo złymi krytykami i psychologami, mniemając, że idzie im jeno o prawdę. Włoski idealizm jest tak swoisty, że nie może wnikać w bezosobiste marzenia północy. Wszystko odnosi do swych pożądań i rasowej dumy. Świadomie, czy nieświadomie działa zawsze na rzecz *terza Roma*.

Coprawda, od wieków niezbyt się wysilał na ziszczenie tej idei.

Ci piękni z postaci Włosi, jakby stworzeni do energicznych czynów działają jeno pod naporem namiętności i wtedy sięgają wyżej od innych narodów. Udowodniło to ich *risorgimento*. Ale szybko się nużą. Właśnie w tym czasie powiało tchnienie burzy po młodzi włoskiej wszystkich stronnictw. Wszystkich, nacjonalistów, socjalistów, neokatolików, wolnomysłnych idealistów wszystkich, do szpiku Italczyków, ogarnęła chęć stania się obywatelami cesarskiego Rzymu, królowy świata.

Krzysztof dostrzegł zrazu jeno wielkoduszny zapał i wspólność niechęci dla pewnych rzeczy i to go związało z młodymi zdobywcami. Oczywiście najostrzej potępiali owe typy, jakimi okazała się Gracja, a Krzysztof zniecierliwił teraz podwójnie owe figury. Młodzi oburzali się wprost ich ostrożnością, obojętnością, skłonnością do kompromisu i błazeństw, zamiłowaniem w półsłowach i wiotkiem, bezsilnem myśleniu. Raziło ich misterne lawirowanie pomiędzy możliwościami, piękne bajdurzenie o nicości i słodycz w obejściu.

Byli samoukami i przyznawali się do tego, że szorstką mają duszę, pozbawioną połyskliwego lakieru. Przesadzali nawet w tym kierunku, podkreślając swe cechy *contadinich*. Krzyczeli głośno, bowiem chcieli, by ich słyszano. Narażali się na walkę, chcąc bojować. Wszystko im było milsze nad obojętność i staliby się chętnie ofarami pierwszego wybuchu nowowstałych energii, byle przeto obudzić z odrętwienia siły rasy swojej.

Nie lubiono ich, oczywiście i nie starali się też o to. Krzysztof nie znalazł w Gracji przychylniej słuchaczki kiedy poraz pierwszy zaczął mówić o owych legjonistach jutra. Nie odpowiadali jej naturze, pożądającej umiaru i spokoju. Trzeba przyznać, że sposób w jaki bronili najszczytniejszej sprawy napawał chęcią oświadczenia się przeciw nim. Byli ironiczni i zuchwali, bezwzględność krytyki miała cechy obrazy,

wówczas nawet gdy nie mieli zamiaru obrażać kogoś. Pewni siebie, uogólniali szybko i wygłaszali popędliwie twierdzenia. Zaczawszy działać publicznie, zanim doszli do dojrzałości, ferowali wyroki jeden po drugim.

W namiętnej szczerości posuwali się aż do zupełnego wyczerpania, a praca duchowa wyladowywała się w przedwczesnej i niewłaściwej elokwencji. Nie dobrze gdy myśli, zaraz po zrzuceniu osłonek pączka wystawione są na pełny słoneczny żar. Dusza zwęglą się od tego. Dojrzewanie domaga się czasu i spokoju, a tego im zbrakło właśnie. Wiele talentów we Włoszech zmarniało w ten sposób, bowiem zbyt pospieszne działanie ma skutki podobne do alkoholu.

Duch, skosztowawszy raz owej podniety wyrzec się jej nie jest w stanie i normalny rozwój zostaje narażony na chorobliwe niedomagania, idzie po linii fałszywej i sztucznej.

Szorstka szczerość i odwaga pociągały Krzysztofa, jako przeciwieństwo owego złotego środka owej *vie di mezzo*, gdzie człowiek lęka się ciągle wystawienia na światło dzienne i ustawicznie żyje pomiędzy: tak i nie. Przyznał tylko potem, że taktyka życiowa tych ostatnich posiada niejaką wartość praktyczną w Italji, bo ustawiczne pogotowie wojenne młodych nużyło samych nawet bojowców.

Uważając za swój obowiązek bronić ich wobec Gracji, szedł potem czasem do niej, by o nich zapomnieć. Zbyt doń byli podobni, przypominali mu żywo czem się zachwycał przed dwudziestu laty i o co walczył. W gruncie rzeczy widział dobrze, że sam wyzbył się już wszelkich gwałtownych zakusów i że znajdował się w drodze ku spokojowi, którego tajemnicę kryły w sobie oczy Gracji.

Czemuż tedy buntował się przeciw niej? Ach, dlatego, że ponoszony egoizmem zakochanego, sam chciał jeno wyłącznie pić z tej krynicy. Nie mógł znieść, by Gracja rzucała rozrzutnie swe skarby byle komu, by czarowną uprzejmością swą darzyła pierwszego lepszego człowieka.

Czytała w jego duszy i pewnego dnia powiedziała ze zwykłą, ujmującą otwartością:

— Gniewasz się pan za to, że jestem taką jaką jestem? Przyjacielu, proszę, nie idealizuj mnie! Jestem kobietą jak inne. Nie ubiegam się za towarzystwem, ale przyznaję, że je lubię, podobnie jak czasem bawią mnie średniej wartości sztuki teatralne i powiercho-
wne książki, któremi pan pogardzasz. Odpoczywam i mam rozrywkę, a tego odmówić sobie nie jestem w stanie.

— Jak może pani znosić tych głupców?

— Życie nauczyło mnie wymagać nie wiele. Nie dobrze jest mieć zbyt wygórowane pretensje. Wierzaj mi pan, wystarczy jeśli się ma do czynienia z ludźmi pocziwymi, dobrymi, a nawet dobrodusznymi. Oczywiście nie należy się od nich niczego spodziewać. Wiem, że w razie potrzeby nicbym od nich nie otrzymała. W każdym razie mają dla mnie sympatję, a o resztę mniejsza. Gniewasz się pan... prawda? Przebac mi, że jestem małą duszyczką ludzką. Umiem mimo wszystko odróżnić to co dobre jest we mnie od tego co złe, a właśnie to co najlepszego posiadam oddałam panu.

— Chcę mieć wszystko! — odrzekł niezadowolony, mimo, że przyznał jej słuszość. Był tak pewny jej miłości, że po jakimś tygodniu wahania spytał wprost:

— Kiedyż będzie pani...

— Czemże?

— Moją...?

Poprawił się zaraz:

— Kiedyż zechce mnie pani wziąć sobie?

Uśmiechnęła się.

— Wzięłam sobie już pana przecież!

— Pani wie dobrze o czem mówię.

Zmieszała się potrochu, potem ujęła obie jego ręce, spojrzała mu w oczy i powiedziała serdecznie i szczerze:

— To nie stanie się nigdy!

Nie mógł znaleźć słowa. Spostrzegła, że jest smutny.

— Nie miej pan żalu za ból, jaki sprawiam. Spodziewałam się że mi pan to powiesz. Musimy pomówić ze sobą, otwarcie, po przyjacielsku.

— Po przyjacielsku... — rzekł smutnie — czemuż nie inaczej?

— Niewdzięczniku! Czegóż chcesz jeszcze? Bym wyszła za pana? Wspomnij pan czas, kiedy nie widziałeś świata poza kuzynką moją. Wówczas ja byłam osmucona, iż nie rozumiałeś, co czuję dla pana. Całe nasze życie mogło się ułożyć inaczej. Teraz sądzę, że się dobrze stało. Lepiej uczyniliśmy, nie narażając przyjaźni naszej na współzycie w codziennej szarzyźnie, która ściąga najgórniejsze sprawy na niżej...

— Mówisz to pani, bo nie kochasz mnie, jak dawniej...

— O nie! Kocham pana równie silnie.

— Poraz pierwszy to słyszę!

— Niechże nie będzie pomiędzy nami nic niejasnego. Małżeństwo to rzecz niebezpieczna. Małżeństwo moje, jako dowód nie wystarcza, przyznaję, ale rozmyślałam i obserwowałam. Niewiele jest małżeństw szczęśliwych, albowiem instytucja ta opartą na zasadach sprzecznych z naturą. Nie można wiązać ze sobą dwu istot obdarzonych odrębną, wolą, nie kładąc jednej z nich, a nawet obu. Dusza cierpi dotkliwie w każdym przymusie.

— Ja widzę przeciwnie wielkie piękno w związku dwu gotowych na ofiarę dusz, dwu w jedno spłynionych dusz!

— Marzy się panu pięknie, ale w rzeczywistości cierpiałbyś pan bardziej niż ktokolwiek inny.

— Sądzi więc pani, że nie będę miał nigdy żony, rodziny, dzieci? Proszę tego nie mówić! Kochałbym je tak bardzo! Czyż szczęście owo niedosiężne jest dla mnie?

— Nie wiem doprawdy! Ale zdaje mi się, że byłoby to tylko możliwe, gdyby żona pańska była

osobą wybitnie dobrą, mało inteligentną, niezbyt piękną i gdyby pana zgola nie rozumiała.

— Jest pani złośliwa. Ale żarty te nie dotyczą mnie. Dobra żona, to coś bardzo cennego, nawet gdyby jej brakło wielkiego rozumu.

— Jestem tego pewna. Może panu wynaleść taki skarb?

— Proszę tak nie mówić, proszę bardzo! Zadaje mi pani ból. Jakże pani może się tak wyrażać?

— Cóż tak złego powiedziałam?

— Nie kocha mnie pani ani odrobiny, jeśli może pani myśleć o mem małżeństwie z inną!

— Przeciwnie, dlatego właśnie, że pana kocham, rsdabym cię widzieć szczęśliwym.

— A więc kiedy tak...

— Nie... nie daj pan spokój. Powtarzam, stałabym się nieszczęściem pańskim.

— Proszę się o mnie nie bać. Przysięgam, że byłbym szczęśliwy. Czy tylko pani nie czułaby się nieszczęśliwą ze mną.

— Nieszczęśliwą? O nie, drogi przyjacielu. Zbyt wysoko pana cenię i podziwiam zanadto, bym się miała czuć nieszczęśliwą u pańskiego boku. Przytem, wyznam, że dziś niema niczego na świecie co by mnie mogło unieszczęśliwić. Widziałam dużo i stałam się filozofką. Chcesz pan całej szczerości, przeto nie gniewaj się za to co powiem. Oto znam swe wady i obawiam się, że po kilku miesiącach mogłabym się rzeczywiście z panem nie czuć szczęśliwą. Tego zaś nie chcę dlatego właśnie, że mam dla pana wielkie przywiązanie i nie chciałabym, by je coś zmąciło.

— Odrzekł smutnie:

— To jest słodzenie pigułki. Nie podobam się pani — Coś we mnie razi panią!

— Ależ nie... nie! Pocóż ta ponura mina? Jesteś pan człek dobry... kochany...

— Czemuż tedy nie moglibyśmy być szczęśliwi razem?

— Bo różnimy się bardzo, bo charaktery nasze są zbyt wybitne i osobiste!

— Za to właśnie panią kocham!

— I ja też. Ale popadalibyśmy ciągle w sprzeczności.

— Nie!

— Tak! Albo znów ja, w poczuciu swej niższości, nie chcąc pana otamowywać, spełniłabym ofiarę i skazała się na cierpienie.

Łzy napęłniły oczy Krzysztofa.

— Tego nie chcę za nic! — zawołał — Raczej wolę sam cierpieć, niż unieszczęśliwiać panią!

— Uspokój się pan, drogi przyjacielu! — odparła. — Przypuszczam to jeno, wyobrażam sobie... Może nie zdobyłabym się zresztą na tyle bohaterstwa, by się za pana poświęcić.

— Temlepiej!

— Natenczas pan stałbyś się ofiarą, a ja dręczyłabym się tem. Widzisz drogi przyjacielu, że tak, czy tak, problem jest nierozwiązalny. Poprzestańmy na tem, co jest. Czy może być coś lepszego nad przyjaźń?

Skinął głową i uśmiechnął się gorzko.

— Krótko mówiąc — rzekł — nie kocha mnie pani jak należy.

Uśmiechnęła się życzliwie, nieco melancholijnie i powiedziała:

— Może to prawda! Nie jestem już młoda, drogi przyjacielu. Znużoną się czuję życiem, gdyż nie mam tych sił, co pan. O, pan jesteś dziwny człowiek! Wyglądasz czasem na ośmastoletniego chłopca!

— Jakto? Z tymi włosami, zmarszczkami, zwiedłą skórę?

— Wiem żeś pan cierpiał jak ja, więcej jeszcze może. Widzę to. Ale spoglądasz pan na mnie czasem oczyma młodzieńca i czuje bijące od pana młode życie. Ja natomiast dogasam... Ach piękny to był czas, ale czułam się nieszczęśliwą. Dziś nie mam sił by się czuć nieszczęsną. Strumyczek życia mego wysycha, nie miałabym odwagi na próbę małżeństwa. Ach dawniej... dawniej... Gdyby ktoś kogo znam dał mi wówczas znak, gdy tylko skinął...

— To cóż? Mów pani!
 — Nie... pocóż?
 — To znaczy, że gdybym wówczas...? O Boże!
 — Co?... gdyby wówczas? Wszakżem nic nie powiedziała?

— Zrozumiałem! Pani jest okrutna.
 — Więc dowiedz się pan, że dawniej byłam szalona!

— To co pani teraz mówi, to gorsze jeszcze!
 — Biedny Krzysztocie! Nie mogę rzec słowa, by pana nie dotknąć. Przeto zamilknę.

— Mów pani... proszę!

— O czymże?

— Powiedz mi coś dobrego!

Roześmiała się.

— Nie śmieć się Gracjo!

— Nie bądź smutny Krzysztocie!

— Jakże mi się nie smucić?

— Nie masz pan żadnego powodu... ręczę!

— Jakto?

— Bo masz przyjaciółkę, która cię kocha!

— Doprawdy?

— Czyż mi pan nie wierzysz?

— Powtórz to pani!

— A przestaniesz się pan smucić? Nie będziesz już tak zachlanny? Zaspokoisz się naszą serdeczną przyjaźnią?

— Muszę... trudno inaczej!

— Niewdzięczniku! I pan twierdzisz, że mnie kochasz? Zdaje mi się, że ja pana kocham dużo więcej.

— Ach, gdybyż tak było!

Wypowiedział to z takim egoizmem zakochanego, że się roześmiała. Roześmiał się także i zaczął nalegać:

— Powiedz mi to pani!

Umilkła na chwilę, patrzyła nań, a potem nachyliła się szybko ku Krzysztofowi i pocałowała go.

Stało się to tak nagle, że serce odczuło pocałunek ten jako cios. Chciał ją objąć w ramiona. Ale

wysliznęła się. Stojąc w drzwiach salonu spojrzała nań, położyła palec na wargach, szepnęła:

— Psst!

Potem znikła.

* * *

Odtąd nie mówił jej o swej miłości i minęło owo zakłopotanie, jakim go dotąd zawsze napawała. Znikło wahanie się pomiędzy wymuszonym milczeniem, a źle ukrywaną namiętnością, zapanowało obecnie pomiędzy nimi proste i szczere zaufanie. W ten sposób przyjaźń nagradza otwartych i śmiałych ludzi. Jeśli się zdarzyło nawet, że Krzysztofa złościło, iż rozmawiała weselo i dłużej z którymś z zer towarzysstwa o nicościach, będących na porządku dziennym, to wystarczyło dziś, aby się doń uśmiechnęła zdala, a zaraz zstępował weń spokój. Wiedział, że są bliscy sobie i nic ich rozłączyć nie może.

Obecność ukochanej odejmuje fantazji jadowite żądło, ustaje gorączka pożądania, duszę napęla ros-kosz czystego posiadania kochanki.

Gracja promieniowała na otoczenie cichy czar swej istoty harmonijnej. Razila ją każda, nawet mimowolna przesada w ruchu, czy napięciu głosu, jako rzecz nie piękna i nie prosta. Powoli oddziaływało to na Krzysztofa. Stargawszy więzy nałożone gwałtownemu temperamentowi, opanował się teraz sam i wzrósł w siłę, bowiem nie rozpraszał się w daremnych wybuchach.

Dusze ich stopiły się w jedno. W zetknięciu z moralną siłą Krzysztofa ocknęła się Gracja z półsnu, wśród jakiego płynęło jej życie i z większą aktywnością zajęła się sprawami ducha. Nawykła rozczytywać się bez końca w starych książkach, ssąc z nich omdlewający nektar estetyczny, nabrała zaciekawienia do nowych myśli. Bogactwo współczesnej kultury zatrważało ją dotąd. Pod wpływem Krzysztofa i za jego przewodnictwem poczęła wnikać w te skarby i mimo oporu dała się nakłonić do zrozumienia nowej Italji,

której obrazoburczy impet przepajał ją dotąd jakimś wstrętem.

Dobrodziejstwa tej wspólnoty duchowej spływały w pierwszej linii na Krzysztofa. W miłości, słabszy zawsze daje więcej, silniejszy kocha równie mocno, ale z natury swej więcej bierze. Krzysztof wzbogacony został duchem Oliwera, tylko to jego duchowe małżeństwo było dużo owocniejsze, albowiem Gracja przyniosła mu wiano, jakiego Oliwer nigdy nie dostał, to jest radość, radość duszy i oczu. Owo światło, uśmiech italskiego nieba, splukujący wszelką brzydotę, rozkwiecający kamienie starych murów i nawet żalobie ciche narzucający jaśnienie.

Sprzymierzeńcem ich była budząca się wiosna. Marzenie o nowem życiu drżało w ciepłym, zaspanym jakby powietrzu. Odbywali długie przechadzki. Gracja budząc się ze swego orientalnego rozleniwienia, stawiała się zgoła inną kobietą. Chętnie chodziła i wytrwale, przypominając giętkim torsem i długimi nogami Djanę Primaticcia. Najczęściej zachodzili do jednej z owych will z settecenta, ocalałych od zagłady pod nawałą piemontkiego barbarzyństwa. Upodobali sobie zwłaszcza w willi Mattei, owego przedgórza starego Rzymu, u stóp którego topnieją istotnie fale pustynnego morza Kampanii. Szli alejami dębowemi, wpatrując się w przeblyskujące przez drzew sine wydmy gór albańskich. Widzieli groby rzymskich małżonków z wizerunkami o twarzach smutnych i splecionych uściskiem dłoniach i siadali w przytykających do sarkofagów altankach z róż.

Przed sobą mieli dzicz i spokój przetknięty szmerem źródła ściszającego się tak cicho, jakby co chwila zamrzyć miało. Krzysztof opowiadał o życiu swem, walkach i przeminionych cierpieniach, które nie miały już teraz nic smutnego w sobie. Gdy był z nią, gdy na nią spoglądał, wszystko zdawało się proste i takie, jakim być musiało. Gracja opowiadała także. Mało z jej słów pochwylił, nie stracił jednak żadnej myśli, słuchając, zaślubiał jej duszę, poglądał jej oczyma.

Oczy Gracji widział wszędzie i patrząc niemi, odczuł sercem latyńską kulturę. Dotąd były mu zgoła obojętne wytwory italskiej sztuki. Nie odczuwał ich uroku, a nawet antyki napawały odrazą tego mocarnego, pełnego sił żywych niedźwiadka germańskich borów. Wstręt w nim budziły proporcjonalne ciała gladiatorów i młodzieńców o bezmyślnych oczach i zniewieściałych ruchach. Biusty portretowe zwracały jego uwagę, ale nie troszczył się o ich prototypy. Nie więcej interesowały go chorowite Madonny, prapra-rafaelickie Afrodyty, owe anemiczne, suchotnicze twory degeneracji. W kaplicy sykstyńskiej widział jego czerwonych, spoconych chamów, głupawych i zdatnych co najwyżej do wojska. Czcią napęlił go jeno osobisty tragizm Michała Anioła i niektóre jego wizje, zaklęte w barwy i kształty, ten ból ucieleśniające. W umęczonych bohaterach i gigantach widział jednak jeno odzwierciedlenie i apoteozę własnej duszy.

Gracja otwarła przed nim wrzeczadze świata sztuki. Zapoznał się i oswoił z pogodnym Rafaellem i Tycjanem. Nauczył się patrzeć na te cuda i zadał sobie pytanie:

— Czyż nie możnaby dać nowej syntezy tej siły i tej wielkości Rzymu? Dzisiaj, najwyżsi nawet i najlepsi są wyobrazicielami jednej jeno z tych rzeczy, zawsze na niekorzyść drugiej. Z pośród narodów ziemi właśnie Włosi współcześni zatracili najbardziej zmysł harmonii, który posiadają taki Poussin, Lorrain, czy Goethe. Czyż raz jeszcze cudzoziemiec musi ich nauczyć co warta? A któż pouczy naszych muzyków? Mozart, to dziecko, to niemiecki mieszcuch o drżących rękach i odczuwającej duszy, który za dużo gada i macha rękami, płacze i śmieje się z błahego powodu. Uśmiechu bogów nie zna ani gotycki Bach, ani Prometeusz z Bonn walczący z orłem, ani tytani, jego następcy, piętrzący Peljon na Osę i miotający w niebo bluźnierstwa.

Poznawszy to wszystko, zawstydził się Krzysztof muzyki swojej, swych gestów zarozumiałych, swych

pustych namiętności i bezwstydných skarg. Było to jeno wystawieniem na publiczne widowisko swego małego ja i to w sposób marny, nietaktowny i nie-skromny. Muzycy w twórczości swej wydali mu się trzodą bez pasterza. Trzeba być władcą własnej duszy rozpętanej. Przez ciąg tych miesięcy Krzysztof zapomniał całkiem o muzyce, prawie nic nie pisał i nie czuł potrzeby pisania. Duch jego zapłodniony został przez Rzym. Spędzał dni całe półoszołomiony, rozmarzony, znużony i świeży jednocześnie, jak wiosna w pierwszym rozkwicie.

* * *

W kwietniu dostał z Paryża propozycję by dyrygował kilku koncertami złożonymi z jego własnych utworów. Bez namysłu postanowił odmówić, ale uznał za swój obowiązek zawiadomić o tem Grację. Sprawiało mu radość niewymowną, że mógł się z nią naradzić w sprawach dotyczących własnego życia. Miał złudzenie, że je z nią dzieli. Tym razem jednak doznał rozczarowania. Kazała sobie rzecz całą opowiedzieć szczegółowo, a potem poradziła mu by przyjął zaproszenie. Zasmuciło go to, bowiem było dowodem obojętności.

Gracja udzieliła mu tej rady z pewnym może żalem. Czemuż jednak pytał? Im bardziej ufnie powierzał jej kierownictwo swego życia, tem większą była odpowiedzialność za to co uczyni. Ścisły wzajemny stosunek sprawił, że odebrała Krzysztofowi część woli, on zaś przepoił ją potrzebą czynu i uświadomił jego piękno. Uznała, że jest obowiązkiem przyjaciela jechać, przeto musiała pilnować, by tego obowiązku nie zaniedbał. Lepiej odeń znała usypiające działanie włoskiej krainy, ową powolną truciznę, ów sirocco przenikający w krew i zabijający wolę. Sama opanowaną była onym czarem, z pod władzy którego wyłamać się nie mogła, a całe jej otoczenie dotknięte było również tą malarją ducha. Najmocniejsi nawet podlegali złowieszce potędze, która odebrała siły

rzymskiej wilczycy. Rzym tchnie śmiercią, bowiem zbyt wiele mieści grobów. Zdrowiej jest zatrzymywać się tam na krótko, gdyż przy pobycie dłuższym zatracą się bardzo łatwo kontakt ze światem współczesnym.

Gracja zdawała sobie także sprawę z tego, że otoczenie w jakim żyła nie może być źródłem podniety dla artysty. Miała dla Krzysztofa więcej przyjaźni, niż dla kogoś innego, mimoto jednak było jej bardzo na rękę, że wyjedzie. Nużył ją tem wszystkim właśnie co w nim cenila, a więc bujną swą inteligencją, pełnią sił żywotnych, gromadzonych przez lata i domagających się teraz zaspokojenia. Groźnym był dla jej spokoju, dręczył swą piękną, wzruszającą, ale czyhającą na każdy moment słabości miłością, przed którą ciągle się musiała mieć na baczności. Lepiej go było trzymać zdala. Nie przyznawała się do tego przed sobą i pewna była, że działa wyłącznie po linii dobra Krzysztofa.

Nie zabrakło jej powodów. Trudno było w ówczesnej Italji żyć muzykowi, gdyż brakło tu dlań powietrza. Życie muzyczne pogńębione było i wypaczone. Fabryczne wytwory teatralne zaśmiecały i okrywały kopciem ową ziemię, która ongiś wydała kwiaty nappełniające wonią cały świat. Ten kto nie chciał złączyć się z orszakiem krzykaczy, ni wejść w skład jednej z fabryki skazany był na wygnanie, lub zaduszenie w bezpowietrznej cieśni. Talenty marniały bezpożytecznie. Spotykał Krzysztof nieraz młodych muzyków będących kontynuatorami nieśmiertelnych dzieł przodków i wyobrazicielami ducha rasy. Ale nikt się o nich nie troszczył i kompozycji wydawać nie chciał. Znikło zainteresowanie dla czystej symfonji, a muzyka bez szminki i pudru nie istniała dla ogółu. Śpiewali potrochu dla siebie, potem dawali za wygraną i układali się na sen. Pocóż robić rzeczy bezpotrzebne? Gdyby nawet Krzysztof mógł im dopomóc, jak to chciał uczynić nie dopuściłaby tego podejrzliwa zarozumiałość. Byli Włochami, a dla Włocha, potomka kultury stuleci, każdy cudzoziemiec mimo wsteczności, jaką mu okazują, jest barbarzyńcą. Uznali upadek

własnej sztuki za swą sprawę wewnętrzną, która ich samych tylko obchodzi. Mimo rozrzućnych wprost objawów przyjaźni nie przyjęli Krzysztofa do swej rodziny. Cóż miał czynić? Nie mógł wstąpić w szranki i starać się pozbawić ich i tego jeszcze szczupłego miejsca na ziemi jakie zajmowali, nie wiedząc nawet, czy się na niem utrzymać zdołają.

Genjusz żyć atoli bez pożywienia nie może. Muzykowi trzeba muzyki. Koniecznością mu jest słyszyć i komponować. Chwilowe osamotnienie sprzyjać może skupieniu ducha, ale musi raz koniecznie ustać. Samotność, to rzecz wykwinna, ale zabójcza dla artysty. który nie znajdzie wnet sił, by się z niej wyrwać. Trzeba żyć życiem swego czasu, nawet wówczas, jeżeli jest hałaśliwe i marne. Trzeba ciągle dawać i brać... bez końca... bez przerwy. Za czasów Krzysztofa, Italia nie była tym co dawniej rynkiem sztuki. Targowiska ducha i myśli, na których dusze wszystkich narodów prowadzą handel zamienny, przeniosły się na północ. Kto żyć chce, tam iść musi.

Krzysztof nie byłby się rzucił w wir, gdyby pozostawiony został samemu sobie. Ale Gracja dostrzegła wyraźniej niż on sam, co było jego obowiązkiem. Żądała odeń więcej, niż on sam od siebie. Może dlatego, że go bardzo ceniła, a może dlatego, że jej z tem było wygodniej. Wskazała mu drogę czynu, sama pożałowała spokoju. Nie mógł jej tego brać za złe, że jak Marja obiera lepszą część, każdy ma bowiem w życiu wyznaczoną rolę. Zadaniem Krzysztofa było działanie, jej wystarczało samo jeno bytowanie.

Nie domagał się teraz od niej nic ponadto, by go kochała, o ile to możliwie mniej w jego niż we własnym interesie. Nie był jej jak należało wdzięcznym za to, że przyjaźń swą przepoiła tak daleko posuniętym altruizmem. Wolałby, by myślała trochę więcej o — sobie, niż o — nim samym.

Wyjechał, ale nie rozłączył się z nią. Pewien minnesänger śpiewa: Przyjaciela od przyjaciółki oddala jeno wola jego duszy...

* * *

Wrócił do Paryża osmutniały. Poraz pierwszy od śmierci Oliwera znalazł się w tem mieście, dokąd sobie postanowił nie wracać wcale. Jadąc karetką z dworca do hotelu nie śmiał wyglądać oknem i spędził w pokoju kilka pierwszych dni, nie mogąc się zdecydować wyjść na ulicę. Bał się wspomnień, czyhających nań pod drzwiami.

Czegóż się bał jednak? Czyż sobie to uświadomił? Bałże się, iż wspomnienia zjawiają się przed nim żywe i otoczą z wszystkich stron, czy też strach go zdejmował, że zobaczy ich martwe zwłoki? Uzbroiła go przeciw temu smutkowi, napoły podświadomie chytrość instynktu. Nie zamieszkał (sam może nie wiedział co czyni) w pobliżu dawnych miejsc, ale w odległej dzielnicy, nieznanej zupełnie. Zetknawszy się w sali koncertowej podczas prób na nowo z życiem stołecznem, przez długi czas zamykał oczy, nie chciał widzieć tego na co patrzył, upierał się przy tem dlatego, by nie dostrzec czegoś z dawnych rzeczy. Mówił sobie z góry:

— Znam to już... znam l...

W dziedzinie sztuki panowała podówczas tasama nietolerancka anarchja, co w polityce. Targowisko wrzało, jak poprzód, tylko aktorzy zamienili role. Rewolucjoniści z jego czasów stali się mieszcuchami, a nadludzie byli teraz w modzie. Niezawisli czasów czasów dawnych, starali się zniweczyć niezawisłych obecných, młodzi z przed lat dwudziestu byli bardziej reakcyjni niż starzy, których zwalczali dawniej, a krytycy tego obozu zaprzeczali nowemu pokoleniu praw do życia. Z pozoru nic się tedy nie zmieniło.

A jednak wszędzie było inaczej...

* * *

Droga przyjaciółko, racz mi przebaczyć i nie gniewaj się, że milczałam tak długo. List pani sprawił mi wielką radość i ulgę w strasznej opresji wśród jakiej przeżyłem kilka tygodni. Zabrakło mi wszystkich naraz. Utraciłem panią tam, a tutaj zastałem

straszliwą pustkę po tych, którzy dzielili ongiś ze mną życie. Znikli wszyscy przyjaciele, o których pani mówiłem. Filomela (pamięta pani jej głos owego wieczoru kiedy błądząc poprzez tłum, ujrzałem w zwierciadle oczy pani), otóż Filomela ziszcza swe prozaiczne marzenie i uzyskawszy niewielki spadek, wyjechała do Normandji, gdzie ma swe własne gospodarstwo. Pan Arnaud porzucił służbę i wrócił z żoną do małego, prowincjonalnego miasteczka pod Angers. Wielu sławnych ludzi mych czasów pomarło, dużo też pośpadało z piedestałów swoich. Pozostali tylko komejdjanci występujący ongiś jako młodzieńcy, w naczelnych rolach polityki i sztuki. Grają dalej z tym samym fałszywym grymasem, jeno lepiej go wystudjowali. Poza temi maskami nie znam prawie nikogo. Zdawało mi się z początku, że szydzą z umarłych i wrażenie to było straszne. Pozatem, w pierwszym czasie po przyjeździe, odczuwałem bardzo boleśnie brzydotę wszystkiego wokoło. Osmucało mnie okropnie szare światło północy, nie mogłem bez tęsknoty wspomnieć złocistego ojczyzny twojej, przyjaciółko droga. Raniły mnie rzeczy, na które przedtem nie zwracałem uwagi, ścieśnione, przy sobie stawiane szare domy, prostackie linje architektoniczne wielu kościołów, czy pomników, a także atmosfera duchowa wydała mi się nie do zniesienia.

Nie mam powodu uskarżać się na Paryżan. Przyjęcie, jakie mi zgotowali, niepodobne było zgoła do tego, jakiego zaznałem, jawiąc się tu poraz pierwszy. Zdaje się, że podczas nieobecności, stałem się tutaj czemś w rodzaju sławnego człowieka. Nie będę pani pisał o wartości sławy, wiemy oboje co o tem sądzić, ale wzruszony byłem i jestem tem wszystkim co o mnie mówią i piszą. Wdzięczność im winienem wielką. Tylko... jakże mam powiedzieć? Czuję się bliższym tym, którzy mię przedtem zwalczali, niż tym, którzy mię wysławiają dzisiaj. Moja to wina, wiem i proszę, nie bierz mi tego za złe droga przyjaciółko. W pierwszej chwili straciłem równowagę, wiedziałem, że tak będzie i byłem na to przygotowany. Teraz

już minęło, wiem czemuś mnie posłała do ludzi i wyznaje, żeś pani miała słuszość zupełną.

Samotność byłaby mnie zaprzepaściła. Nie zdrowo jest człowiekowi zbyt długo robić Zaratustrę, bowiem prąd życia płynie, zostawia nas na piasku i w pewnym momencie stajemy się sami pustynią. Musimy potem z wysiłkiem przekopywać kanał do bieżącej wody w trudzie i skwarze wielkim. Pracy tej dokonałem już, nie czuję zawrotu głowy, tkwię w prądzie i płynę z nim, spoglądam wokół swobodnie i widzę wszystko jasno.

Przyjaciółko droga! Dziwni to ludzie, ci Francuzi. Przed dwudziestu laty pewny byłem, że zbliżają się do zagłady... Teraz oto widzę, że zaczynają wszystko od nowa. Drogi mój Jeannin przepowiadał to, ale nie wierzyłem, mniemając, iż się ludzi. Miał zupełną słuszość. Trudno było jednak uwierzyć widząc, że Francja, na równi z Paryżem pełna była rumowiska, dziur i pęknięć. — Cóż to za rasa? Podobni są bobrom. W chwili kiedy się wydaje, że walą w proch same nawet ruiny, oni właśnie z tych szczątków zaczynają budować nowe miasto. Dziś widać wszędzie wokół rusztowania.

Kiedy dzieła dokonał trud mędrca powolny
Każdy głupiec to zaraz jest zrozumieć zdolny.

Coprawda wszędzie mnóstwo iście fancuskiego nieporządku. Trzeba się już z tem oswoić, iż owe zgraje popychających się ciągle i depcących sobie po piętach ludzi, to robotnicy, z których każdy ma swe zadanie. Wie pani dobrze, że ludzie ci nie są w stanie nic robić, nie okrzykując z dachów, iż robią to a to. Nie umieją też niczego dokonać nie obrzucając błotem tego co robią sąsiedzi. Zrazu może to oszołomić każdego, ale po dziesięcioletnim pobycie pośród nich człowiek się przyzwyczaja nie zwraca na to uwagi, rozumiawszy, że w ten sposób zagrzewają się do pracy. Mówiąc, pracują, że zaś na każdym placu pełno politykujących i wrzeszczących, przeto całe miasto powstaje niejako na nowo.

Najszałam efekt to to, że cały zespół budynków nie razi nawet dysharmonją. Mimo nasprzecznich poglądów wszyscy chcą jednego. Pod powłoką anarchii żyją wspólne instynkty rasy, istnieje logika, zastępująca rolę dyscypliny, a jest ona w skutkach swych wydatniejszą, niż surowa karność pruskiego pułku.

Wszędzie spotkam się z owym rozmachem, z ową gorączką twórczą. W polityce pracują zarówno socjaliści, jak nacjonaliści nad tem by zmontować na nowo i ściągnąć śrubami rozklekotaną maszynę państwową. W sztuce, nacjonaliści chcą wnieść piękny arystokratyczny pałac dla niewielu wybranych, socjaliści zaś olbrzymią halę dla wszystkich. Ale budować chcą ci i ci, zarówno odtwórcy tego co było, jak i twórcy przyszłości.

Lecz najciekawszym objawem jest, że każdy akt twórczy owych zwierzątek, to odtwarzanie tychże samych komórek. Pszczeli i bobrowy instynkt, jaki je ożywia zmusza do wykonywania przez szeregi stulecie tych samych ruchów i odtwarzania tych samych kształtów. Najbardziej rewolucyjni są podświadomie może, ci właśnie, którzy mają się tradycji najstarszych. Pośród syndykalistów, oraz najwybitniejszych pisarzy młodych spotykałem dusze wprost średniowieczne.

Oswoiwszy się z ich buntowniczymi gestami przyglądałem się z zadowoleniem ich pracy. Mówiąc otwarcie, zbyt stary ze mnie niedźwiadek, bym się miał czuć dobrze w jednym z pobudowanych domostw, potrzebuję dużo świeżego powietrza. Przyznaję atoli, że kapitałni z nich robotnicy. Nawet zgola średnio utalentowani i wykoszlawieni dochodzą do rezultatów doskonałych. Dawniej nie dostrzegałem tego instynktu piękna, jaki posiadają. Pani nauczyła mnie patrzeć, odzyskałem wzrok w Rzymie, a ludzie Odrodzenia nauczyli mnie dużo o współczesnych. Kilkanaście taktów Debussyego, tors Rodina zdanie Suaresa, wszystko to są utwory równe dziełom *cinquecentistów* i bardzo do nich zbliżone.

Nie wszystko mnie tu zachwyca, spotkałem starych znajomych z czasów „targowiska“, którzy mnie jak zdawna, tak i teraz doprowadzają do pasji. Nie zmienili się, tylko ja sam się zmieniłem i nie mam odwagi wydawać surowych sądów. Teraz, kiedy mnie do tego zbiera ochota potępiać któregoś z nich, powiadam sobie: Nie masz prawa! Uczyniłaś gorsze odeń rzeczy, mimo, że uważano cię za silnego.

Przekonałem się również, że niema nic bezcelowego, a najgorsi i najmarniejsi posiadają swą, jasno określoną rolę w tragedji. Najlichsi dyletanci i najsmrodliwsi amoralisci dopełnili swego zadania jeśli, jak roztocze, drążąc ściany starego budynku pomogli do jego zniweczenia. Żydzi zostali wierni swej świętej misji. Żyją oni pośród rozlicznych ras i osnuwają je siecią ludzkiej wspólnoty. Niweczą wszystko co historia i rozumowanie wzniosło pomiędzy jednym narodem, a drugim, kosmopolityzując świat. W ten sposób sposobią Bogu drogę. Ale także poszczególni fałszerze, podkopujący wierzenie naszej przeszłości, mordujący naszych kochanych zmarłych, pracują bezwiednie nad świętem dziełem nowego życia. Można powiedzieć, że zachłanni bankierzy, których chciwość powoduje wojny są współtwórcami mimowolnymi przyszłego pokoju świata i współdziałają z najsłabszymi rewolucjonistami daleko skuteczniej, niż naiwni pacyfisci.

Widzi pani tedy że jestem stary. Nie kłamię już. Żęby mi się stępiły. W teatrze będąc nie czynię już jak młodzi, miotający klątwy na aktorów i oburzający się zdrajcami.

Cicha Gracyo! Mówię o sobie tylko, a myślę wyłącznie o pani. Ach ileż mi daje ciągle do czynienia moje głupie: ja? Jestto niby kamień u szyi zawieszony przez Boga. Złożyłbym go u stóp pani, ale pani winnaś stąpać jeno po murawie, lub piasku, który śpiewa pod krokiem człowieka. Zdaje mi się, że widzę stopy pani płynące po rozkwiecionej anemonami łące, ociężałym ruchem. Czy była pani ponownie w willi Doria? Czy zawsze pani tak znużona?

Widzę panią w ulubionym zakątku, w głębi pokoju wyciągniętą na sofie z książką w ręku, której pani nie czyta. Słucha mnie pani dobrotliwie, nie zdając sobie z mych słów sprawy. Jestem nudny i dla wytrwania w cierpliwości snuje pani własne myśli. Ale słucha pani dalej by mnie nie dotknąć, czasem jeno jakieś dolatujące z obczyzny słowo budzi w pani zainteresowanie. Ja również nie słucham słów własnych, szelest ich ledwo chwytając i gdy śledzę za odbłaskiem ich na twarzy pani, dumam o tkwiących w duszy innych, których pani nie mówię. Cicha Gracjo, w przeciwieństwie do tych, słyszysz dobrze tamte ukryte, udajesz jeno, że cię nie dochodzą.

Do widzenia. Sądzę, że niedługo zobaczy mnie pani w Rzymie. Pócoż mam się tutaj dręczyć i cóż robić, skoro koncerty moje zakończone? Całuję dzieci pani w śliczne, rumiane buzie. Wszakże tkwi w nich częstka pani. Trzeba być skromnym...

Krzysztof.

Cicha Gracja odpisała:

Drogi przyjacielu! List pański odczytałam w owym, znanym panu zakątku pokoju, i uczyniłam to w mój zwykły sposób. List spoczywał co chwila i ja spoczywałam również. Nie śmiej się pan z tego, albowiem przyjemność trwała o wiele dłużej i całe poobiedzie spędziliśmy ze sobą. Dzieci pytały co tak ciągle czytam, odrzekłam, że to list od pana. Aurora spojrzała na papier z politowaniem i powiedziała: — Jakże nudne musi być pisanie tak długiego listu! Staralam się jej wyjaśnić, że nie jest to „wypracowanie” zadane panu prezemnie, ale nasz sposób rozmawiania. Wysłuchała bez słowa, potem zaś pobiegła z bratem do drugiego pokoju i rzekła: — Musimy być cicho! Mama rozmawia z panem Krzysztofem!

To, co mi pan powiadasz o Francuzach ciekawi mnie, ale nie zadziwia wcale. Wszakże sama panu wyrzucałam nieraz, że jesteś dla nich niesprawiedliwy.

Nie budzą może miłości, ale jestto naród nader rozumny. Niektóre małe, nikłe narodki znajdują ratunek w sercu swem, lub fizycznej sile, Francuzów ratuje inteligencja i każe im przebaczyć wszystkie usterki. Odmładza ich. Ile razy się wydaje, że upadli, pobici zostali i zmarnieli odradzają się, czerpiąc młodość w bijącej wieczyście krynicy ducha.

Muszę panu jednak dać burę. Prosisz o przebaczenie za pisanie wyłącznie o sobie, a nie donosisz o sobie nic a nic! Jesteś pan *un ingannatore*.

Nie wiem co pan robisz, czegoś dokonał? Muszę dopiero kuzynki mej Kolety (czemuż pan u niej nie bywasz?) prosić, by mi przysyłała wycinki z gazet, gdyż nie wiem jakie sukcesy dały koncerty. Pomijasz to pan... czy zobojętniałeś aż tak? Wyznaj, że cię to cieszy, musi cię cierzyć, choćby dlatego, że mnie to cieszy! Nie znoszę u pana miny ponurej i rozczarowanej. List pański jest smutny, a tak być nie powinno. Dobrze, żeś pan się stał sprawiedliwym dla drugich, ale nie dowodzi to jeszcze potrzeby oskarżania samego siebie i uważania się za ostatniego z ostatnich. To pokora zbyt chrześcijańska, której nie uznaję. Nie jest dobrą chrześcijanką, natomiast Włoszką, która znieść nie może, gdy się się ktoś dręczy przeszłością. Dzień bieżący, to dosyć. Nie znam zresztą dokładnie przeszłości pańskiej, rzuciłeś pan kilka słów i odgadłam z nich rzecz w zarysie... Ale tyle wiem biedny mój przyjacielu co każda kobieta w mym wieku, a mianowicie, iż pocziwy mężczyzna jest zazwyczaj istotą bardzo słabą. Zapomnij pan przeto o tem co było i skieruj myśl w przyszłość. Żal, to rzecz bez wartości, żal, to cofanie się wstecz. A w dobrem, czy złem trzeba iść zawsze naprzód: *sempre avanti Savoia!* Czy sądzisz przyjacielu — że pozwolę panu wracać do Rzymu? Nie! Nic tu dla pana niema do roboty. Zostań w Paryżu, twórz, czyn wysiłki, ruszaj się, złość, słowem bierz udział w życiu. Nie pozwolę panu na rezygnację. Chcę byś pan tworzył rzeczy piękne, byś miał powodzenie, byś był silny, byś spieszył z pomocą owym młodym Krzyszto-

fom, którzy toczą tęsamą co pan walkę i tesame muszą zwalczać przeciwności. Odnajduj ich pan, podawaj dłoń i bądź lepszym dla nich, niż swego czasu ludzie byli dla ciebie. Nadewszystko bądź silny i niech wiem, że silny jesteś, bowiem mnie samej siły ta świadomość dodaje.

Niemal codziennie chodzą wraz z malcami do villa Borghese. Przedwczoraj dojechaliśmy do Ponte Molle, a potem wyszli pieszo na szczyt Monte Mario. Miotasz pan oszczerstwa na moje biedne nogi, gniewają się na pana: — Jak może ten człowiek przypuszczać, oburzają się — byśmy czuły znużenie po zrobieniu dziesięciu kroków do willi Doria? Nie zna nas wcale. Nie lubimy wysiłków, albowiem jesteśmy leniwe, nie zaś skutkiem niedołęstwa! — Piechur ze mnie niezły, drogi przyjacielu!

Czemu pan nie zajrzy do Kolety? Czy pan się na nią gniewa jeszcze? To bardzo dobra kobieta w gruncie rzeczy. A przytem, jesteś pan w jej oczach bóstwem. Zdaje się, że wszystkie Paryżanki sfiksowały na punkcie pańskiej muzyki. Zależy od samego mego berneńskiego niedźwiadka, czy chce zastać lwem paryskim. Czy pan otrzymuje dużo listów z oświadczeniami? Nie wspomina pan o żadnej kobiecie... Jeśli się pan zakochasz, donieś mi! Nie jestem zazdrosna.

Pańska przyjaciółka

G.

Nie sądź droga pani, że ostatnie zdanie listu, sprawiło mi wielką przyjemność. Radbym, o skłonna do kpin Gracyo, abyś była zazdrosna. Tylko nie licz pani na to, że dam ku temu sposobność. Nic sobie nie robię z owych „sfiksowanych“ Paryżanek. Że są sfiksowane przeczyć nie mogę, ale to głowy zawrócić nie może, obojętnością na moją muzykę prędzejby czegoś dokazać mogły. Niestety kochają się w niej na zabój, jakże tedy mogę zachować swe złudzenia. Jeśli mi ktoś powiada, że mnie rozumie, to pewnym być mogę, iż mnie nie zrozumie nigdy!

Nie bierz pani żartów mych zbyt serjo. Uczucie, jakie dla pani żywie nie czyni mnie ślepym odnośnie do innych kobiet. Nigdy ich nie oceniałem sprawiedliwiej niż od kiedy nie patrzę na nie oczyma zakochanego. Sympatje me dla nich są szczerze i wielkie dzieło emanypacji z onej, połowicznej niewoli, w jakiej je dotąd trzymał egoizm męski uważam za jeden z największych czynów naszego wieku. Podziwiam owo pokolenie kobiet garnące się do wiedzy, sięgających po nieznane rzeczy i mniemające, że zrówna je to z mężczyznami.

Wiara owa jest oczywiście nieco złudna i naiwna, niemniej jednak współdziała z postępem, który iść się, chociaż na drodze nieco odmiennej od tej, jaką zmierzamy. Ten wysiłek zbiorowy kobiet nie przypadnie, stworzy nowy, wyższy typ kobiety, upodabniając go do kobiety wieków dawnych. Żywe kwestje, wielkie problemy nie będą już dla kobiety niedalekiej przyszłości sprawą obojętną, jak teraz. Joanna d'Arc i Katarzyna Sforza tak nie myślały, jak nasze Paryżanki, a Paryżanka przyszłości podobną się stanie do wielkich tych prototypów. Kobieta zdobywa sobie przemocą to powietrze i słońce, jakich-śmy ją pozbawili. Dzielną jest! Naturalnie, wiele z bohaterek współczesnych pofirze i zmarnieje, bowiem walka, to rzecz zbyt trudna dla słabych istot. Roślina długo pozbawiona wody zginąć może od pierwszego deszczu, Tak, to jest okup złożony przyszłości, ale następczynie rozkwitną bez tylu cierpień. Te małe, dzielne nie idące za mąż Amazonki staną się dla ludzkości nierównie użyteczniejsze niż owe minione generacje matron, które wydały mnóstwo dzieci. Okupione ich ofiarą, zjawiają się zastępy kobiet nowych.

W salonie kuzynki Kolety nie napotyka się jednak owych, pracowitych pszczołek. Cóż to panią opętało, żeś mnie wysłała do tej osoby? Usłuchałem, ale widzę, że pani nadużywa swych praw. Wykreśliłem się od trzech zaproszeń na dwa listy nie dałem odpowiedzi. Przyszła na próbę (właśnie podczas przygotowywania szóstej symfonji). Podczas pauzy zjawiła

się przedemną z podniesionym w górę nosem, udała, że wietrzy i zawołała: — Tu czuć miłość! Ach, jakże uwielbiam pańską muzykę!

Zmieniła się bardzo zewnętrznie. Pozostały jej jeno kocie oczy o wypukłych gałkach i samolubny, ruchliwy ciągły nosek. Twarz natomiast poszerzyła się i stała pełniejszą. Są to zapewne skutki sportu. Mąż jej, jak pani wie, zalicza się do kapłanów klubu aeroplanowego i automobilowego. Państwo Stevens-Delestrade uważają za swój święty obowiązek brać udział w każdej sprawie lotniczej, wyścigu, czy zawodach na ziemi, czy w powietrzu. Ciągłe są w drodze i nie sposób z nimi rozmawiać, nie znając takich rzeczy, jak racing, rowing, rugby, czy derby. Jest to nowy gatunek ludzi z towarzystwa. Widać czas Pelleasa przeminął bezpowrotnie, a moda nie już nie obchodzi dusz. Młode dziewczęta chlubią się swą opaloną, wymacerowaną na słońcu, w kurzu, czy wodzie skórą, spoglądają mężczyznom śmiało w oczy, śmieją się głośno i twardo, a całe wzięcie stało się poniekąd prostackie i dzikie. Kuzynka pani wygaduje okropności, najspokojniejszym tonem, a także stała się poprostu żarłoczną. Uskarża się, jak przedtem na zły żołądek, ale nie przeszkadza jej to pałaszować jak huzar na kwaterze. Nie czytuje nic. Wogóle nie czytuje się teraz w t. zw. wykwintnych sferach. Tylko muzyka znajduje jeszcze łaskawych słuchaczy, a nawet owo zdziczenie literackie wyszło jej na korzyść. Ludziom tym, gdy się zmęczą, niby psy po polowaniu, muzyka jest czemś w rodzaju łaźni rzymskiej z masażem i nargilem. Nie potrzeba tu zgola myśleć. Jest to coś pośredniego między sportem a rozpustą, którą traktują dziś jak sport. Najulubieńszym jednak estetycznym sportem stał się taniec. W Paryżu tańczy się tańce rosyjskie, greckie, szwajcarskie, amerykańskie, tańczy się symfonie Beethovena, tragedje Ajschylosa, antyki Watykanu, Orfeusza, Tristana, Mękę Pańską i wogóle wszystko. Parzyżanie się wściekli!

Najdziwniejszy dla ranie jest sposób, w jaki kuzynka pani godzi to wszystko ze sobą, mianowicie potrzeby estetyczne, sport i instynkt praktyczny (bowiem po matce odziedziczyła zarówno spryt do interesów, jak i despotyzm gospodyni domu). Zdawałoby się, że powstanie stąd niesłychana mieszanina. Tymczasem czuje się całkiem dobrze, w najszaleńszych awanturach nie traci rozsądku, podobnie jak podczas wyścigów automobilowych kieruje wozem bez wahania, wiedząc każdej sekundy co czynić. Jest to kobieta silna. W niesłychanie prosty i nieznaczny sposób włada wszystkim, mężem, gośćmi i służbą. Zajmuje się też polityką i proteguje kler, zdaje mi się przytem, że ma niejake skłonności monarchistyczne. Ale wszystko to jeno pozór, aby mieć jaknajwięcej do roboty. Pozwala sobie rozciągać i nademną protekcję, a może sobie pani łatwo wyobrazić, jak mi to miło.

To, że byłem u niej, uważa za dowód iż jestem jej powolny i pewna jest swej władzy nademną. Mszezę się, mówiąc jej prawdę w oczy. Ale śmieje się z tego, nigdy nie będąc w kłopotcie, co ma odpowiedzieć. Powiada pani, że to dobra kobieta? Być może, ale pod warunkiem, by ciągle miała coś do roboty. To maszyna ciągle funkcjonująca, ciągle mieląca coś na otręby, a czuję, że zdolną byłaby do wszystkiego, byle w chwili zbraknięcia materiału zyskać nowy. Byłem tam dwa razy i dosyć mi tego, bowiem okazałem, iż czynię co pani rozkaże. Przecież nie życzysz mi śmierci, droga przyjaciółko? Wracam zawsze złamany, rozbity, storturowany, a po ostatniej bytności dławiała mnie nocą zmora. Śniłem, że jestem jej mężem, przywiązany na całe życie do tego wiatraka. Sen to głupi, bo właśnie z mężem styka się ona najrzadziej, a kiedy się to stanie, rozmawiają o sporcie i rozumiają się doskonale.

Jakże tacy ludzie mogą rozumieć moją muzykę? Może czują, że ich smaga i to im sprawia pewną sensację? Nie wiem doprawdy, jak to jest. Ale coś mi powiada, że w takim środowisku powedenie

moje długie być nie może. To moda, za którą przyjdzie jeszcze ciężko odpokutować. Tymczasem zdarzają się rzeczy wprost cudowne! Najgorętszym z moich wielbicieli jest (założę się, że pani nie zgadnie)... jest znajomy nasz wspólny, Levy Coeur. Pamięta pani to indywiduum, z którym swego czasu miałem śmieszne zajęcia. Dziś uczy wszystkich, którzy mnie przedtem nie rozumieli, jak mnie rozumieć należy i czyni to nawet w sposób rozsądny. Z wszystkich mówiących o mnie, mówi najlepiej. Osądź pani łaskawie, co wari inni. Zaręczam, że dumny z tego nie jestem!

Ja sam wiem co innego. Publiczność tutejsza mnie nie rozumie i nie zrozumie nigdy, jest spokojna, że słucha modnego kompozytora. Na tem koniec. Ale opowiem pani pewne zdarzenie. Pewnego wieczoru udałem się do jednej z kawiarni, gdzie bywa dobra muzyka, w sposób jeno dziwny spreparowana. Oto pięć czy sześć instrumentów, oraz fortepian starczy dla symfonii, mszy, czy oratorium. Tak samo sprzedają w Rzymie handlarze całą kaplicę sykstyńską w rozmiarach ozdoby na gzyms kominka. Po części sprzyja to popularyzacji muzyki między ludźmi, ale z konieczności kompozycja rozmięka się na drobną monetę. Programy są urozmaicone, a wykonawcy sumienni. Spotkałem tam wiolonczelistę, którego oczy przypominały mi w dziwny sposób oczy mego ojca. Opowiedział mi dzieje swego życia. Jest wnukiem chłopca, a synem podrzędnego urzędnika magistratu w pewnym prowincjonalnym mieście północnem. Chciano żeń zrobić pana, adwokata, i wysłano do gimnazjum. Ale młody, silny chłopak nie nadawał się do siedzenia w klatce, uciekł tedy, błąkał się tu i ówdzie, biegał za dziewczętami i marnował po szynkach swe najlepsze siły. Pozatem marzył o rzeczach olbrzymich, których nigdy wykonać nie byłby w stanie. Najbardziej nęciła go muzyka. Niewiadomo czemu, w rodzinie nikt nie miał zdolności muzycznych. Pradziad jego był pono oryginałem, dzikim samotnikiem, człowiekiem napoły szalonym i wynalazł nowy (jeszcze jeden) sposób pisania nut, który miał całą twórczość

muzyczną pchnąć na nowe tory. Był to rodzaj stenografii, notującej jednocześnie słowa, melodię i akompaniament. Ale sam wynalazca nie umiał często od czytać tego, co napisał, to też wyśmiewano się żeń w rodzinie, przytem jednak wszyscy byli dumni z szaleńca, który mógł być — genjuszem. Widocznie po pradziadku tym odziedziczył skłonność do muzyki. W mieście rodzinnem nie mógł słuchać dobrej muzyki, słuchał przeto zlej, a mimo to rozgorzał do niej miłością wielką i czystą.

Na nieszczęście otoczenie, w którym żył wrogo do tej manji było usposobione i musiał się kryć. Poddal się autorytetowi rodziny i wiódł prawdziwe swe życie całkiem potajemnie, na zewnątrz zaś był tem, czem mu być kazano. Studjował prawa, starając się zrazu, póki ojciec żył, jakotako składać egzaminy, potem jednak oszołomiony swobodą oddał się dwu namiętnościom, kobiecie i muzyce.

Gdy tylko zmarł ojciec, zaraz zaczął komponować nie mając czasu i nie chcąc przyswoić sobie koniecznej techniki. Toteż wielkich swych koncepcji nie umiał ujmować jak należy i w rezultacie produkował jeno rzeczy banalne. A był niezwykłym kompozytorem. Czytałem dwie jego prace i zdumiony byłem owymi błyskawicami, które jednak nie pochwyczone, nie zmienione w światło gasły bezpowrotnie.

Co za szczerłość w tym człowieku? Jakie umiowanie sztuki? Dałby się zabić za to co twierdzi. Jest śmieszny i heroiczny zarazem. Pogardza paryskimi klikami, a jednocześnie imponuje mu powodzenie, bowiem sądzi, że jest jednoznaczne z wielkim talentem.

Niewielki spadek po ojcu roztrwonil bardzo szybko, a w dodatku ożenił się z biedną dziewczyną, którą uwiódł przedtem. Miała ona jakitaki głos i brzdąkała na fortepianie. Zaczęli z tego żyć, włożyli się po hotelach grając, a dziecko im zmarło niemal z nędzy...

Droga przyjaciółko! Ujrzawszy tego biedaka zrozumiałam, że takim mógł być mój własny los.

W dzieciństwie nasze były do ciebie podobne a równe podobieństwo widniało w poszczególnych okolicznościach życia. Ponadto odkryłem pobratymczość idei muzycznych, tylko jego myśli ugrzęzły w trzęsawisku. Cóż tedy sprawiło, że nie przepadł? Zapewne wola moja. Ale obok tego mnóstwo innych rzeczy, rodzina, przyjaciele, Bóg... Takie refleksje czynią pokornym i czujemy się braćmi tych, którzy kochają sztukę i za nią cierpią. Niema wielkich różnic pomiędzy największym i najmniejszym artystą...

Rozmyślałem długo nad tem co mi pani pisała i przyznaję słuszność zupełną. Artyście nie wolno żyć na uboczu, jak długo może pomagać drugim. Pozostanę tu przeto, a także przez kilka miesięcy w roku będę przebywał we Wiedniu i Berlinie, chociaż trudno mi przywyknąć do tych miast. Nie wolno rezygnować, a chociaż jak sądzę, nie wiele zdołam uczynić dobrego, to przebywanie w tych stolicach mnie bodaj samemu wyjdzie na korzyść. Pocieszam cię myślą, że taka jest wola pani. Przytem, nie zapieram się, zaczyna mi się to już podobać. Żegnam cię tyranko moja! Wygrałaś. Doszedłem do tego, że nie tylko pełnię wolę pani, ale, że pełnienie jej sprawia mi przyjemność.

Krzysztof.

* * *

Został w Paryżu, by uczynić co chciała, a także dlatego, że zaczęło go coraz to więcej obchodzić budzące się nowe życie sztuki. Śledził jego przejawy z zaciekawieniem tem większem, że wszędzie dostrzegał Grację. Napisał jej o tem. Czuł, co prawda, iż Gracji było to poniekąd obojętne, ale wdzięcznym był, iż nie dała tego po sobie poznać.

Odpowiadała w regularnych, dwutygodniowych odstępach czasu, a listy jej były tak umiarowe i harmonijne jak ruchy i gesty. Opowiadając o swem życiu wychylała się nieco z obsłon rezerwy, pozatem wolała uchodzić za chłodną, niż pobudzać go do

wylewu uczuć, których odwzajemnić nie była w stanie. Kobiecość skłaniała ją jednak do trzymania miłości Krzysztofa w stanie ciągłej żywotności toteż słowa serdeczne goiły zaraz rany zadane poprzedniem zdaniem, czy tonem. Krzysztof rozumiał się niebawem na tej taktyce, starał się tedy trzymać na wodzy uczucie i pisywał listy dużo umiarkowańsze.

Im dłużej trwał jego pobyt w Paryżu tem bardziej krzątał się wespół z onymi pracownikami wielkiego mrowiska, a zabiegliwość jego wzrastała w miarę jak nikła w owych mrówkach sympatja dla niego samego. Nie omylił się w sądzie o swem powodzeniu. Było to zwycięstwo pyrrhusowe. Wróciwszy po latach dziesięciu wywołał w paryskim towarzystwie sensację. Ale dziwnem zrzędzeniem losu wielbicielami jego stali tu dawni wrogowie i przeciwnicy, same snoby i modnisie. Artyści żywili skrytą nienawiść i nie dowierzali mu. Imponował nazwiskiem zaliczającem się już do historii, wielkimi dziełami, namiętnością, siłą ekspresji i zamiłowaniem prawdy. Ale, chociaż musiano się z nim liczyć i podziwiać go, nie został zrozumiany, a przeto nie lubiano go wcale. Stał poza sztuką swego wieku, był potwornym anachronizmem, a dziesięcioletnia samotność podkreśliła jeszcze tę istniejącą zawsze sprzeczność.

Podczas nieobecności jego zaszły wielkie zmiany, powstał nowy pogląd na świat. Dorosła w Europie generacja skłonna raczej do czynu, niż poznania, pożądaną szczęścia, a obojętną na prawdę. Chciała żyć, władać życiem, choćby za cenę kłamstwa. Kłamstwo przez dumę, przez dumę rasową, kastową, religijną, kulturalną i zarozumiałość w rzeczach sztuki. Pokoleniu temu miłem było kłamstwo wszelkiego rodzaju, o ile jeno dawało pancerz stalowy, miecz i tarczę, w której to zbroi można było ziścić zwycięstwo. Dlatego też nie chciano słuchać przejętego cierpieniem głosu, przypominającego ból i zwątpienie. Wszyscy radzi byli zapomnieć o burzach szalejących pośród nocy, która dopieroco minęła, o złem, które dalej zagrażało światu. A gromy huczały jeszcze we wspo-

mnieniach tak niedawnych. Dlatego młodzi odwracali się z odrazą od dnia wczorajszego i krzyczeli na całe gardło, aby zagłuszyć, to co ich dolatało.

Odgłosy te wzrastały, zloszczono się więc na nie, a Krzysztof odnosił się do nich przyjaźnie. Witał wzlot świata ku szczęściu, a owe memento, będące granicą szczęśliwości nie raziło go wcale. Chcąc dojść do celu trzeba kroczyć wprost przed siebie nie oglądając się wstecz. Stał w punkcie zwrotnym świata, spoglądał tedy spokojnie na rozegraną tragedję przeszłości, uśmiechając się do jaśniejącej zorzy niosącej młode, nieokreślone nadzieje. Był zawieszony w punkcie gdzie wahadło życia staje, by wrócić powrotnym rozmachem i nie idąc wraz z niem drogą wsteczną, radował się wiekuistym rytmem życia. Podzielał nadzieje tych, którzy zapierali się wczorajszych mąk, wierząc, że ziszczą się marzenia jego. Przed dziesięciu laty młody kogut galijski, Oliwer głosił, że rychło nadejdzie czas świtania. Śpiewaka nie było już, ale ziściło się proroctwo pieśni. W ogrodzie Franeji budziły się ptaki, a Krzysztof, ponad wszystko to zaranne ćwierkanie wyróżniał szczególny, silny głos zmartwychwstałego przyjaciela.

Pewnego dnia przeglądał w księgarni tom poezji. Nie znał nazwiska autora, ale uderzyły go pewne wyrażenia i przykuły jego uwagę. Im dłużej rozczytywał się w nierozciętym tomie tembardziej odkrywał coś znanego sobie, coś bliskiego. Nie mogąc sobie wyjaśnić doznawanych uczuć, a także niezdolny rozstać się z książką kupił ją i zabrał do domu. Przeczytawszy opanowany został dręczącą myślą.

Z niewielu kartek tych wylaniała się jakaś prastara, gigantyczna postać, matki-ojczyzny, która była przed nami i po nas będzie. Niby olbrzymia bizantyńska Madonna podobna jest gorze, u stóp której roją się maleńkie ludzkie mrówki.

Był to śpiew bohaterski pełen czynów wojennych, rzecz daleka dziś zeuropeizowanej duszy Krzysztofa. Mimeto jednak doznał nagłego olśnienia,

dostrzegł spojrzenie, uśmiech znany i kochany ongiś. W momencie, kiedy chciał wizję oną ująć i zamknąć w pewien kontur, rozplywała mu się. Przewracając kartkę za kartką w daremnym trudzie, natrafił nagle na opowieść zasłyszana od Oliwera na kilka dni przed jego śmiercią.

Drgnął. Pobiegł do wydawcy i poprosił o adres poety. Jak to zawsze bywa odmówiono mu informacji. Wpadł we wściekłość, ale to nic nie pomogło. W końcu przyszło mu na myśl, że informacje znajdzie w księdze adresowej. Znalazł i udał się zaraz do autora. I teraz jak dawniej nie mógł czekać ile razy chciał postawić na swoim.

Autor mieszkał w dzielnicy batignolskiej na najwyższym piętrze. Był to dom, kasarnia i mnóstwo drzwi wychodziło na wspólny korytarz. Krzysztof zapukał do właściwych. Otwarto drzwi sąsiednie i ukazała się brzydka, ciemnowłosa, młoda kobieta. Miała czoło ukryte w puklach włosów, nieczystą cerę małą, zawiędlą twarz i żywe oczy. Spojrzała podejrziwie i spytała czego chce. Podał powód przybycia i nazwisko swoje. Otworzyła drzwi kluczem wiszącym u pasa, ale nie wpuściła Krzysztofa odrazu. Poleciała mu zaczekać w sieni i weszła sama, zatrzaskując mu drzwi przed nosem. Nakoniec dostał się do wnętrza, strzeżonego pilnie mieszkania. Przeszedł pierwszy, niemal pusty pokój służący za jadalnię. Stało tu kilka zaledwo sztuk, napół rozlecianych gratów, a przy oknie bez firanek darło się kilkanaście ptaków w wielkiej klatce.

W sąsiednim pokoju leżał młody mężczyzna na wytartej sofce, a ujrawszy Krzysztofa wstał, by go powitać. Krzysztof objął spojrzeniem wynędzniałą twarz, prześwieconą blaskiem duszy, delikatne, wąskie dłonie, zniekształcone ciało, wsłuchał się w ostry, zachrypły głos i poznał... kim był autor. To Emanuel... to mały, chorowity robotnik, który był mimowolną przyczyną... A Emanuel drgnął, bo również poznał Krzysztofa.

Stali naprzeciw siebie bez słowa. Obaj widzieli w tej chwili Oliwera. Po chwili przemógłszy się, podali sobie ręce. Ale w geście Emanuela było coś co świadczyło, że nawet po latach dziesięciu wyłonił się z podziemi jego świadomości ów gniew, owa zazdrość, jakiego uczucia żywił odnośnie do Krzysztofa. Spoglądał nań podejrzliwie a nawet wrogo. Ale widząc wzruszenie przybyłego, czując, że drga mu na ustach imię Oliwera, o którym obaj myśleli, przezwyciężył się i rzucił się w wyciągające się doń ramiona Krzysztofa.

Emanuel rzekł:

— Wiedziałem, że pan jesteś w Paryżu! Ale jakżeś pan mógł mnie znaleźć?

Krzysztof odparł:

— Czytałem ostatnią książkę pańską i poznałem głos... jego!

— To prawda,... Odgadłeś pan! Wszystko czem jestem jemu zawdzięczam. (Nie śmiał wymówić imienia) Po chwili rzekł ponuro:

— Kochał pana więcej, niż mnie!

Krzysztof uśmiechnął się:

— Kto kocha prawdziwie nie zna żadnego „więcej“, ani „mniej“, daje bowiem wszystko, tym, których kocha.

Emil spojrzał na Krzysztofa i tragiczne spojrzenie jego upornych, zapamiętałych oczu przelśniła przedziwna słodycz. Ujął Krzysztofa za rękę i posadził przy sobie na sofce.

Opowiedzieli sobie dzieje żywota. Od czternastego do dwudziestego piątego roku życia, miał Emanuel mnóstwo przeróżnych zawodów. Był zecerem, tapicerem, domokrażcą, pomocnikiem handlowym, pisarzem w biurze, sekretarzem pewnego polityka, dziennikarzem... a wszędzie czyhał na sposobność, by się czegoś nauczyć. Czytywał gorączkowo co mu wpadło w rękę i spotykał czasem dobrych ludzi, którzy mu pomogli, zdziwieni energią jego i wytrwałością. Częściej atoli natrafiał na ludzi wyzyskujących nędzę jego i wielkie zdolności. Nazbierał smutnych doświadczeń i doszedł

do tego czego chciał, niezbyt rozgoryczony, przypłaciwszy jeno walkę resztką nikłego zdrowia swego.

Sklonność do starych języków zjednała mu poparcie pewnego staruszka księdza, specjalisty w zakresie greczyzny, a owe studia, których w braku czasu nie mógł należycie pogłębić, stały mu się podłożem dyscypliny duchowej, oraz szkołą stylu. I oto człowiek ten, wywodzący się z szumowin społecznych, którego wiedza zdobyta przemocą i bez ładu, miała straszne luki, posiadał zdolność wypowiedzania się słowem w sposób tak biegły i tak opanował formę, że dokazałby nie mógł tego bogaty mieszcuch po dziesięcioletnich studiach uniwersyteckich. Przypisywał całą zasługę Oliwerowi. Inni dopomagali mu mu skuteczniej, ale od Oliwera wziął swą skrę, która rozjaśniła cienie jego duszy, on mu dał światłość nieśmiertelną. Inni przylewali jeno czasem oliwy do lampy.

Powiedział:

— Pojąłem go dopiero w tym momencie kiedy znikł. Ale każde jego słowo jest głęboko we mnie wryte. Nigdy nie przygasa światło jego w mej duszy.

Mówił potem o zadaniu życia swego, o spuściźnie po Oliwerze, o zmartwychwstawianiu młodej Francji, o błyskach bohaterskiego idealizmu, czego zwiastunem był właśnie Oliwer. Chciał stać się grzmącym głosem jego, który zagrzewa do walki i wieści zwycięstwo, chciał zanucić pieśń bojową swej rasy, powstałej na nowe życie.

Poezja jego, był to owoc owej właśnie przedziwnej rasy, która poprzez wieki zachowała rzeźwą woń celtycką, mimo iż dumę swą całą zakładała w tem, by cały sposób myślenia swego i czynu spowijać w zbutwiałe szmaty praw i form rzymskiego zwycięzcy. Tkwiła w nim szczerza, niesfałszowana, iście gallicka zuchwałość, poczucie bohaterskiej sprawiedliwości i ironja, ów dziwny aglomerat gadatliwości i rozmachu w czynie szaleńczym, właściwy ludziom, którzy wyrwali bródy skarlatym senatorom rzymskim, rabowali świątynię delficką i miotali w niebo swe rohatyny bojowe.

Mimoto wcielał ten paryski nędzarz, wzorem uperuczonych pradziadków swych i podobnie jak to zapewne czynić będą jego pra prawnuki ideje swe i namiętności w postaci bohaterów i bogów Grecji. Dziwne są zaprawdę drogi instynktu tego ludu, który zmierza ku bezwzględnemu absolutowi, a myśli kategorjami wytworzonymi przez stulecia i wydaje mu się przytem, że myśli swe rzeźbi na owej, dawno zniknionej przeszłości.

W poezji Emanuela więc formy klasycznej na dawała namiętnościom tem większy jeszcze rozmach. Spokojne zaufanie Oliwera, w losy przyszłej Francji, przemieniło się w uczucie jego w płomienną wiarę, w umiłowanie czynu i pewność zwycięstwa. Chciał zwyciężyć, widział tryumf i obwoływał go głośno. Ta właśnie natchniona wiara i ten optymizm odrazu porwały publiczność, a książka jego była to wygrana bitwa. Uczynił wyłom w okopach zwątpienia i strachu, a całe młode pokolenie stanęło po jego stronie żądne tworzyć przyszłość.

Mówiąc, ożywił się, rozgorzały mu oczy, a na blade policzki wystąpiły ceglaste rumieńce. Krzysztof mimowoli musiał uczynić porównanie pomiędzy tym trawiącym ogniem, a nędznem ciałem służącym mu za stos. Cóż za gorzka ironja losu? Śpiewak czynu, poeta wieszczący moc, walkę, rozpęd szaleńcy, nie mógł chodzić nie doznając zadyszki, nie znosił wina, musiał zachowywać surową dietę, pił wodę, nie mógł palić, nie znał miłości i wszystkie namiętności przechowywał jeno w duszy, bowiem nędzne zdrowie zmuszało go do askezy.

Krzysztof patrzył na Emanuela z podziwem i jednocześnie przyjacielskiem politowaniem. Nie chciał się zdradzić z tem drugim uczuciem, ale oczy jego musiały coś powiedzieć, albo może domyślił się tego Emanuel, noszący na piersiach krwawiącą wciąż ranę. Wolał nienawiść od współczucia. I oto nagle zgasł jego zapal, przestał mówić, a Krzysztofowi nie powiodło się już odzyskać jego zaufania.

Dusza Emanuela zamknęła się, a Krzysztof pojął, że go zranił.

Przez długą chwilę trwało wrogie milczenie. Krzysztof wstał, a Emanuel odprowadził go do drzwi. Chód jego podkreślał ułomność, wiedział o tem i starał się okazać, że jest mu to obojętne, ale wiedział także, że Krzysztof go obserwuje i gniew jego wzrósł jeszcze.

W chwili, kiedy sobie podawali chłodno ręce na pożegnanie, do drzwi zadzwoniła młoda, elegancko ubrana dama. Towarzyszył jej równie młody błazen, którego Krzysztof widywał na wszystkich premierach i znając z widzenia nazwał „cymbałem“. Ow cymbał zachowywał się nad wyraz ostentacyjnie, z miejsca swego słał uśmiechy do łóż, całował ręce dam, paplał i czynił różne gesty. Na widok Emanuela cymbał i jego towarzyszka zasypali poetę pochwałami i entuzjastycznymi nonsensami, zwąc go „drogim mistrzem“. Krzysztof słyszał, odchodząc, jak Emanuel oświadczył suchym tonem, że przyjać nie może, gdyż jest zajęty i podziwiał w duchu talent impertynencji tego człowieka. Nie wiedział czemu zachowuje się tak niegrzecznie wobec bogatych snobów, zaszczycających go swemi natrętnemi wizytami. Zapewne dlatego to czynił, iż znał się na wartości swych rozrzutnych wielbów, które mu jednak nie przynosiły ulgi w nędzy. Podobnie przyjaciele Cezara Franka nie zdobyli się na to, by go uwolnić od dawania lekcji, którymi się zamęczał do końca życia, by żyć wogóle.

Krzysztof kilka razy był jeszcze u Emanuela, ale nie potrafił wyczarować zeń owej szczerości, za pierwszą wizyta okazanej. Poeta nie objawiał na jego widok żadnej radości i zachowywał się podejrzliwie i milcząco. Czasem jakieś słowo Krzysztofa budziło genjusza jego i rozbłyskała światłość, ukryta na dnie duszy. Nagle jednak gasło wszystko, nastawało milczenie, a Krzysztof spostrzegał przed sobą wroga.

Dzieliło ich dużo rzeczy, przede wszystkim zaś sama różnica wieku. Krzysztof zbliżał się do pełni świadomości i władania sobą. Emanuel znajdował się

dopiero w stadium rozwoju i chaotyczniejszy był niż Krzysztof w tym okresie życia. Niezrównaną indywidualność jego stanowiło nagromadzenie sprzecznych zgoła elementów. Był stoikiem starającym się opornować wolą odziedziczone instynkty swej zdeprawowanej natury. Był synem prostytutki i alkoholika, posiadał szaleńczą fantazję, szarpiącą zaciekłe łańcuch przymusu. Nieogarnięty wprost egoizm walczył o lepsze ze skrajną miłością dla wszystkich i niepodobna było przewidzieć co kiedyś zwycięży. Bohaterski idealizm staczał krwawe boje z nieokiełzaną żądzą sławy, która czyniła go zgoła niepewnym wobec innych, wybitnych ludzi.

Istniały w nim idee Oliwera, miał świadomość niezawisłości i altruizmu, ale dalekim był od pogodnego wesela brata Antoniny. Stał wyżej niż mistrz jego przez plebejską żywotność swoją, brak wstrętu do czynu, uzdolnienie poetyckie, a także ową szorstką skorupę zewnętrzną, chroniącą go od wszelkich przeciwności i rozczarowań. Miał usposobienie niespokojne, był zarozumiały, a chaos w ludziach postronnych tkwiący pomnażał jego chaos własny.

Żył z kobietą, którą spotkał Krzysztof za pierwszą bytnością. Kochała Emanuela zazdrośnie, prowadziła gospodarstwo, przepisywała jego wiersze, lub pisała pod dyktandem. Pochodziła z ludu. Zrazu pracowała w fabryce tektury, potem była urzędniczką pocztową. Spotkała Emanuela w czasie, kiedy był nieszczęśliwszy niż kiedykolwiek, chory, pozbawiony wszelkiej pomocy i oddała się cała na jego usługi. Miłość ta była pierwszą namiętnością jej życia, toteż uczepiła się jej jak tonący ostatniej deski.

Ciężyło to Emanuelowi bardzo. Wzruszony do głębi jej dobrocią i poświęceniem, znosił ową miłość, bo wiedział, że żyć bez niego nie może. Pożądał wolności i samotności, a oczy te błagające o jedno bodaj spojrzenie, dręczyły go straszliwie. Często powstrzymywał się z całej mocy, by jej, poprostu, nie wygnać.

Nie wiele wiedział o eleganckim świecie i podkreślał swą dlań pogardę, ale wrażliwy był na wykint i w skrytości duszy roił o kobietach z wyższych sfer, któreby go kiedyś mogły tak kochać, jak owa, przywiązana doń plebejuszka. Starał się okazywać jej miłość, ale nachodziły go straszliwe wybuchy gniewu. Miał dobre, szlachetne serce, pragnące czynić dobrze, a jednocześnie mieszkał w nim demon namiętności, zdolny do najgorszych rzeczy. Owa ustawiczna walka czyniła go drażliwym, a ostrze to zadrasnęło właśnie Krzysztofa.

Żył do Krzysztofa niechęć podwójną. Przedewszystkiem tliła jeszcze dawna zazdrość, (namiętności z czasów młodości żyją mimo, że ustały dawno ich motywy) powtóre zaś miało inne powody. Stawiał Francję na czele Europy jako władczynię mającą wyłączne prawo władania dla dobra wszystkich innych narodów. Była mu mieczem sprawiedliwości doskonałej i absolutnej i wodzem ludzkości. Wierzył w to tak silnie, że na wszystko co niefrancuskie spoglądał z życziwą pogardą, złościło go jednak tembardziej gdy inni powątpiewali w ów ideał.

Przyznawał mu Krzysztof dużo racji, ale był starszy, doświadczeńszy, życie nauczyło go wielu rzeczy i ów ostry ton nacjonalistyczny razili dotkliwie jego uszy. Musiał, mimowoli skrzywić twarz. Starał się to ukryć przed Emanuelem, pragnął słuchać samej muzyki nie zaś instrumentu. Ale nie mógł zapoznać dokąd wiedzie pobudka bojowa tej nowej Marsyljanki. Słuchał i podziwiał. Rozbłyskały wizje cudne, wznosił się gmach nowej kultury, jawiła się na niebie nowa betlejemka gwiazda. Ale natchniony śpiewak nie zdawał sobie sprawy z realnych skutków tej wyprawy ducha na podbój świata. Bał się owych ech (nie przez tęsknotę za przeszłością, lub ze strachu przed jutrem) i myślał czy nie nadejdzie chwila kiedy ludzie wspominać będą owe przeminione chwile „Targowiska“ jako wiek złotej wolności i równoprawnienia narodów.

Nie powtórzą się chyba te czasy, ludzkość sięga po ideał siły, zdrowia, męskiego czynu, albo też i sławy, ale warunkiem tego wszystkiego jest twarde, bezwzględne władztwo i bezwzględna subordynacja. Pragnienia dzisiejsze, myślał, iszczą wiek stalowej, nieugiętej mocy. Patrzymy na czasy Ludwika XVI, czy Napoleona jak na szczyty człowieczego istnienia. Możliwe też, że naród urzeczywistnił w nich swój ideał państwowy w sposób najdoskonalszy. Ale niepytajcie bohaterów czasów owych co o nich sądzili. Mikołaj Poussin uciekł do Rzymu by tam życia dokonać, bowiem dusił się w ojczyźnie. Paskal i Racine pożegnali się ze światem, a mnóstwo innych ludzi wybitnych żyło na uboczu w niełasce i uciemnieniu. W duszy Moljera było też wiele goryczy. A jeśli idzie o Napoleona, którego tak pragniecie i o którego powrocie marzycie, to zdaje się, przodkowie wasi inny mieli zgołą pogląd na swą własną szczęśliwość w owych wielkich czasach. Sam władca nie łudził się i wiedział, że świat odetchnie z ulgą, gdy on zginie. Wokoło imperatora pustać myśli... Słońce afrykańskie ponad bezbrzeżnymi rozłogiem pisków...

Krzysztof nie powiedział Emanuelowi nic z tego co myślał, wiedział bowiem, że kilka wzmianek starczyłoby by doprowadzić go do pasji. Jednak mimo, że myśli swe dla siebie zachował, Emanuel wiedział co myśli. Więcej jeszcze. Miał niejasną świadomość, że Krzysztof sięga spojrzeniem dalej i to go złościło bardzo. Młodzi nie mogą przebaczyć starym gdy każą im patrzeć na to, czem będą po latach dwudziestu.

Ma słuszość, przyznał Krzysztof, trzeba wierzyć w to, w co się uwierzyło. Niech mnie Bóg zachowa od podkopywania jego wiary w przyszłość.

Sama jednak obecność Krzysztofa niepokoiła już Emanuela. Mimo wysiłków zgody dwie indywidualności muszą się zwalczać i mimo skromnej ustępliwości jedna niezawodnie pogrąży drugą. Oczywiście pokonany ezuje urazę. Duma Emanuela dotknięta była wyższością Krzysztofa pod względem doświad-

zenia i charakteru. Może też bronił się w ten sposób przed miłością dlań, która się zrodziła i rosła...?

Stawał się coraz to skrytszy, wreszcie zamknął przed nim drzwi i nie odpowiadał na listy. Krzysztof musiał zrezygnować.

* * *

Było to w pierwszych dniach lipca. Krzysztof czytał przegląd tego co mu przyniosły ostatnie miesiące. Wiele tam było nowych idei, a bardzo mało przyjaciół. Świetni, a źli przyjaciele, świetne, a bezwartościowe sukcesy. Jakże smutno widzieć swój obraz i oblicze swego ideału życiowego odbite nikle w umysłach miernot? Nie znalazł sympatii u tych na których mu zależało, nie zetknął się z ludźmi, których nadzieje pragnął dzielić i stanąć w jednym z nimi szeregu. Zdawało się, jakby im milszem było mieć go wrogiem, jakby się bronili przyjacieli. Słowem potok generacji współczesnej mijał go, on stał na brzegu bez ruchu. Nie dziwił się swemu osamotnieniu, albowiem nawykł doń i tylko przyszedł do przekonania, że nareszcie zdobył prawo powrotu do swej pustelni szwajcarskiej, by tam doczekać skryształizowania się owego planu, który z latami nabierał coraz to realniejszych kształtów. Pragnął z każdym rokiem mocniej, powrócić do ojczyzny. Wprawdzie nie znał tam już nikogo, nie liczył też na żadne duchowe pokrewieństwo, ale wiedział, że będzie mu lepiej. Nie żądał od krewniaków, by dzielili nasze poglądy, łączyła nas bowiem z nimi nie tajemne, a silniejsze od świadomych pojęć. Czytaliśmy wspólnie księgę ziemi i nieba, to też serce odzywa się tą samą mową.

Napisał do Gracji, opowiadając jej wesoło o swych rozczarowaniach i zawiadamiając o chęci powrotu do Szwajcarii, prosił żartem o pozwolenie wyjechania z Paryża. Doniósł, że wyjedzie już w następnym tygodniu. Ale zanim wysłał list, zamieścił następujący dopisek:

— Zmieniłem zamiar. Podróż odłożona!

Miał zupełne do Gracji zaufanie i zwierzał się jej z najtajniejszych myśli, a jednak ukrył klucz do jednej z komór serca swego. Były tam wspomnienia nie stanowiące jego wyłącznej własności, dotyczyły bowiem tych, których kochał. Przemilczał tedy to, co dotyczyło Oliwera. Nie chciał zatajać tych rzeczy, tylko słowa nie jawiły mu się na ustach ile razy chciał mówić z Gracją o Oliwerze. Nie znała go.

Tegoż ranka kiedy pisał list do przyjaciółki, zastukano do jego drzwi. Wstał otworzyć, a idąc kłął na natręta, który mu przeszkadza w pisaniu. W drzwiach ukazał się czternastoletni mniej więcej chłopak i spytał o... pana Kraffta. Krzysztof nasrożył się, ale wpuszczał gościa. Chłopiec miał jasne włosy, niebieskie oczy, wykuintne rysy, niezbyt był wysmukły, ale zgrabny i trzymał się prosto. Stał przed Krzysztofem onieśmielony nieco i milczał. Po chwili jednak zebrał się w sobie i podniósł nań oczy, a Krzysztof wpatrzył się w nie z ciekawością. Uśmiechnął się na widok tej ślicznej buzi, a chłopak uśmiechnął się także.

— No... — spytał Krzysztof — Czegóż sobie życzysz młodzieńcze?

— Przyszedłem... — odrzekł gość.

Zmieszał się ponownie, poczerwieniał i zamilkł.

— Widzę, żeś przyszedł chłopcze... rzekł Krzysztof — ale pogo przyszedłeś? Popatrzno na mnie! Czy może boisz się?

Chłopiec uśmiechnął się znowu, potrząsnął głową i rzekł:

— Nie!

— Doskonale! powiedz mi tedy jak się nazywasz...

— Ja jestem... — rzekł chłopak.

Zamilkł raz jeszcze, a oczy błądzące po pokoju dostrzegły stojący na gzymsie kominka portret Oliwera. Krzysztof śledził bezwiednie spojrzenie malca.

— No... uszy do góry! Mów!

— Jestem jego synem! — rzekł przybyły.

Krzysztof zatrząsł się cały, kopnął krzesło, porwał malca za oba ramiona i przyciągnął do siebie. Potem padł znowu na krzesło i otoczył chłopca rękami. Dotykali się niemal twarzami. Krzysztof patrzył nań długo, bardzo długo i powtarzał bez końca:

— Drogi chłopcze... biedny chłopcze!

Nagle wziął głowę jego w dłonie i zaczął całować po czole, oczach, policzkach, nosie włosach. Malce przerażony tym wybuchem wywinął się z objęć, a Krzysztof go nie zatrzymywał. Ukrył twarz w dłoniach, oparł czoło o ścianę i milczał długo. Chłopiec cofnął się w głąb pokoju. Nareszcie uspokoił się Krzysztof i rzekł spojrzawszy czule na malca:

— Przeraziłem cię! Przebacz mi, proszę. Stało się to dlatego, że bardzo kochałem twego ojca.

Malce milczał onieśmielony.

— Bardzo doń podobny! — rzekł Krzysztof — A mimoto nie poznałbym cię. Coś jest w tobie innego.

Potem spytał:

— Jak ci na imię!

— Jerzy.

— A prawda. Krzysztof, Oliwer, Jerzy. Przypominam sobie. Ileż masz lat?

— Czternaście.

— Czternaście? Już tak dawno?... Zdaje mi się, że to było wczoraj, albo znów przed wiekami... Podobny jesteś do niego bardzo! Tesame rysy i nie tesame jednocześnie. Tensame kolor oczu, a oczy inne, tensame uśmiech, usta, ale inny ton głosu. Jesteś silniejszy i trzymasz się prościej. Masz pełniejszą twarz, ale ramienisz się jak ojciec. Chodź, siadaj, pogawędzimy sobie. Kto cię do mnie przysłał?

— Nikt.

— Przyszedłeś sam? Skądże mnie znasz?

— Opowiadano mi o panu.

— Kto?

— Mama.

— Aeh! — rzekł Krzysztof. — Czy matka twoja wie, żeś poszedł do mnie?

— Nie.

Krzysztof umilkł, a potem spytał:

— Gdzie mieszkacie?

— Przy parku Monceau.

— Przyszdeś piechotą? To dobry kawał drogi.

Pewnieś zmęczony.

— Nigdy się nie męczę.

— Co? A to dobre! Pokaż mi ramiona.

Pomacał mięśnie i rzekł:

— Dziarski z ciebie chłopak! Skądże ci przyszło do głowy odwiedzić mnie?

— Ojciec kochał pana nad wszystko w świecie...

— Czy ona ci to powiedziała? (poprawił się)

Czy matka ci to powiedziała?

— Tak.

Krzysztof uśmiechnął się i pomyślał:

— I ona też! Wszysey go kochali. Szkoda tylko, że mu tego nie okazywano...

— Czemuż tak długo czekałeś z tą wizytą? — spytał.

— Chciałem przyjść wcześniej, ale sądziłem, że pan mnie nie chce znać!

— Ja?

— Przed kilku tygodniami spotkałem pana na koncercie. Siedzieliśmy z mamą w pobliżu. Ukłoniłem się panu i powiedziałem: dobry wieczór. Ale pan spojrzał na mnie ze złością i zmarszczył groźnie brwi, nie mówiąc.

— Ja, spojrzałem groźnie? Drogi chłopcze, здавало ci się tylko. Nie widziałem cię poprostu. Mam wzrok słaby i dlatego patrząc marszczę brwi. Sądzisz, że jestem zły?

— Myślę, że umie pan być złym gdy chce.

— Tak? Jeśli jednak sądziłeś, że cię znać nie chcę, to co cię skłoniło do przybycia?

— Ja chciałem poznać pana!

— A gdybym cię na przykład wyrzucił za drzwi? — spytał.

— Nie byłbym dopuścił do tego!

Powiedział to z miną dziecięcą zakłopotaną, a jednocześnie w głosie był ton pewności siebie i coś niby wyzwanie.

Krzysztof roześmiał się w głos a Jerzy także.

— Tybyś mnie zapewne wyrzucił na schody?

Ha... ha... ha... Cóżto za junak z ciebie... Nie... nie podobnyś do ojca!

Ruchliwa twarz chłopca posmutniała.

— Powiada pan, że nie podobny? Ależ przed chwilą dopiero...? Sądzisz pan, że nie byłby mnie kochał? Tedy nie możesz mnie pan także kochać!

— Czy zależy ci na tem, bym cię kochał?

— Bardzo!

— Dlaczego?

— Bo ja pana kocham!

W ciągu minuty usta jego, oczy, rysy twarzy przybrały dziesięć najrozmaitszych wyrazów, które przebiegały niby cienie wiosennych chmur po ziemi. Krzysztof spoglądał z radością i słuchał z rokoszną wydawało mu się, że fala jakaś zmywa wszystkie troski i cierpienia z jego serca. Wszystko znikło, smutne doświadczenia, koleje losu cierpienia własne i Oliwera. Odżył na nowo w tym świeżym pędzie osobowości przyjaciela.

Gwarzyli ze sobą poufnie. Jeszcze przed kilku miesiącami Jerzy nie znał wcale utworów Krzysztofa, ale od kiedy Krzysztof przyjechał do Paryża, chłopak nie opuścił jednego koncertu, gdzie dawano coś z jego rzeczy. Rozprowiał o tem rozpromieniony i bliski płaczu zarazem, jak się to zdarza zakochanym. Zwierzył się Krzysztofowi, że kocha muzykę nad wszystko i że chce zostać muzykiem. Ale po kilku pytaniach spostrzegł Krzysztof, że malec nie ma pojęcia o rzeczach zasadniczych. Spytał o postępy w szkole. Młody Jeannin uczęszczał do gimnazjum. Przyznał ze swobodą, niemal wesoło, iż nie zalicza się do luminarzy szkolnych.

— Co ci idzie lepiej? Humanistyka, czy nauki ścisłe? spytał Krzysztof.

— Jedno ~~nie~~, a drugie nie dobrze! — odrzekł.

— Jaki? Czyżbyś był leniem?

Roześmiał się i przyznał szczerze.

— Jestem leniem!

Potem spoważniał i dodał w zaufaniu:

— A jednak nie zdaje mi się, bym był leniwy!

Krzysztof roześmiał się głośno.

— Czemuż tedy nie pracujesz? Czyż cię nic nie zaciekawia?

— Przeciwnie! Zaciekawia mnie wszystko!

— No więc jakiż powód, nie rozumiem...?

— Wszystko jest tak ciekawe, że... że po prostu nie mam czasu...

— Nie masz czasu? Czemże się tedy zajmujesz?

Jerzy uczynił gest niewyraźny.

— Wszystkiem! Muzyką, sportem, chodzę po wystawach, czytam...

— Lepiejby było czytywać podręczniki szkolne!

— Niema w nich nic ciekawego! Zresztą często wyjeżdżamy. W zeszłym miesiącu byłem w Anglii na matchu, rozgrywanym przez Oxford i Cambridge.

— Nie bardzo ci to chyba pomaga w nauce!

— Ba, więcej się można dowiedzieć w ten sposób, niż tkwiąc w gimnazjum.

— A cóż powiada na to matka?

— Matka, to osoba bardzo rozsądna. Czyni wszystko, czego ja chcę.

— A... urwipołciu jeden! Dziękuj Bogu, że nie jestem twym ojcem!

— Nie dziękowałby pan zaprawdę Bogu, gdyby był mym ojcem!

Nie sposób się było oprzyć jego przymilnej mince.

— Powiedzno mi panie obieżyświecie, czy znasz moją ojczyznę?

— Naturalnie!

— Pewny jestem, że nie umiesz słowa po niemiecku!

— Przeciwnie! Mówię doskonale!

— Ano, spróbujemy!

Zaczęli rozmawiać po niemiecku. Malec mówił z śmieszną pewnością siebie i robił niesłychaną ilość błędów. Był bardzo inteligentny i wrażliwy, tedy domyślał się raczej znaczenia słów, niż je rozumiał. Często domysły te były zgoła fałszywe, a w takich razach śmiał się z nich pierwszy. Z zapalem opowiadał o podróżach i przeczytanych książkach. W istocie czytał dużo, ale bardzo niedbale i powierzchownie, opuszczając nieraz całe strony i rozdziały, przyczem dokomponowywał w opowiadaniu miejsca nieznane. Do czegokolwiek się jednak wziął, czynił to z zapalem i zaciekawieniem wielkiem. Opowiadając, przesłakiwał z przedmiotu na przedmiot, a ruchliwa jego twarzyczka reflektowała natychmiast wrażenia. To, co wiedział, było luźnym konglomeratem bez związku. Trudno też było zrozumieć, czemu czytał rzeczy małej wartości, a nie znał arcydzieł.

— Bardzo to wszystko ładne co mówisz, drogi chłopcze, — powiedział Krzysztof — ale bez systematycznej pracy nie dojdiesz w życiu do niczego!

— Cóż mi po tem? Wszakże jesteśmy bogaci?

— O, to mi się nie podoba! — krzyknął Krzysztof — Jaki? Chcesz zostać nieponiem bez żadnej realnej wiedzy?

— Przeciwnie! Chcę wiedzieć wszystko! Nie chcę się tylko zacieśniać do pewnego zawodu!

— Tylko w określonym zawodzie można do czegoś doprowadzić.

— Tak się to tylko mówi...

— Nietylko się mówi, ale tak jest w istocie! Masz na mnie przykład. Od lat czterdziestu pracuję w swym zawodzie i oto dopiero teraz zaczynam go rozumieć należycie.

— Czterdzieści lat spędzić mam na uczeniu się swego zawodu? — zawołał chłopiec zdumiony — A kiedyż zacznę z niego korzystać?

Krzysztof roześmiał się mimowoli.

— Mały, logiczny Francuziku! — zawołał.

— Chcę zostać muzykiem! — oświadczył Jerzy.

— Zgoda! Ale musisz nazywać niezwłocznie. Czy mam cię uczyć?

— Bylbym uszczęśliwiony!

— Przyjdź tedy jutro, a zobaczę, co się z ciebie da zrobić. Jeśli się okaże, że nie masz zdolności, nie będzie ci wolno tknąć fortepianu. W razie przeciwnym spróbuję pomóc ci, ale wiedz z góry, że praca będzie ciężka:

— Chcę pracować! — zawołał radośnie.

Umówili się na dzień następny, ale przy pożegnaniu Jerzy przypomniał sobie, że ma już zobowiązania wcześniejsze, a także na trzeci dzień przybyć nie może. Przed końcem tygodnia było niepodobieństwem wziąć się na serjo do pracy, przeto uroczystie ustalili termin nieco późniejszy.

Kiedy dzień ściśle oznaczony nadszedł, wyglądał Krzysztof Jerzego, ale chłopak się nie pokazał. Bardzo go to rozczarowało. Niespodziane odwiedziny rzuciły jasny snop światła w jego życie i tak był wzruszony, że całą noc po bytności Jerzego spędził bezsennie. Z wdzięcznością dziękował zmarłemu przyjacielowi za to posłanie mu syna.

Czekał przez kilka dni następnych, nie wydając się z domu. Ale nie jawił się nikt, nie nadeszła nawet kartka pocztowa z wyjaśnieniem. Zmartwiony bardzo Krzysztof wysilał się, by znaleźć usprawiedliwienie dla chłopca. Nie mógł doń napisać, gdyż nie miał adresu. a mając go nawet, nie byłby się odważył. Człowiek stary, pokochawszy młodego, boi się okazać, że za nim tęskni. Wie, że młody nie odczuwa tejsamej miłości, a przeto gra nie jest równa i mogłoby to wydawać się natręctwem.

Rozłąka trwała długo. Krzysztof zmusił się do tego, aby nie uczynić żadnego kroku. Czekał jeno ciągle, nie wyjechał do Szwajcarii, spędził całe skwarne lato w Paryżu, wymyślał sobie sam od warjatów, ale czekał, nie mogąc się zdobyć na wyjazd. Dopiero we wrześniu spędził kilka dni w Fontainebleau.

Pod koniec października zadzwonił do jego drzwi Jerzy Jeannin. Wytrumaczył najspokojniej w świecie,

bez śladu zakłopotania, z jakiego powodu nie mógł dotrzymać przyrzeczenia.

— Nie mogłem przyjść, — powiedział — albowiem niedługo potem wyjechalismy z matką do Bretanii.

— Czemużes nie napisał?

— Miałem zamiar. Ale tak mi brak czasu... A przytem, poprostu, zapomniałem! Zapominam bardzo prędko o wszystkim!

— Kiedyż wróciłeś?

— W początkach października.

— I przez trzy tygodnie namyślałeś się, czy przyjść do mnie? Słuchajno! Powiedz mi otwarcie: Czy matka nie żyje sobie może, ażebyś u mnie bywał?

— Nie... przeciwnie. Sama mi dzisiaj kazała iść do pana!

— Jako?

— Powróciwszy od pana za pierwszym razem, wszystko opowiedziałem, a matka przyznała, że dobrze uczynił. Potem wypytywała się o pana, zadawała mnóstwo pytań, na które nie umiałem dać odpowiedzi. Zaraz po powrocie naszym z Bretanii powiedziała mi, bym się wybrał do pana, a przed tygodniem powtórzyła to znowu. Dowiedziawszy się dziś rano, że jeszcze nie byłem, pogniwała się na mnie i nakazała, bym jechał zaraz po śniadaniu.

— Nie wstydzisz się mówić mi to wszystko? Trzebaż cię więc zmuszać, byś się u mnie pokazał?

— Nie... nie... proszę mi wierzyć! — zawołał — Ach... rozgniewałem pana... Proszę o przebaczenie... tak mi przykro! Proszę mnie zwymyślać, byle się pan nie gniewał... Kocham pana! Czyżbym przychodził w innym razie? Nikt mnie nie przymuszał i wogóle nikt nie jest w stanie zmusić mnie do czegoś, czego uczynić nie chcę!

— Gałganie jeden! — zawołał Krzysztof śmiejąc się mimowoli — A cóż tam słyhać z projektami muzycznymi?

— Ciągłe mam tensam zamiar!

— To mało!

— Teraz się właśnie zabiorę do roboty. Nie mogłam tego uczynić w ostatnich czasach. Miałem straszny nawal zajęć. Ale teraz, jeśli pan tylko jeszcze chce, pokażę, co potrafię.

Spojrzał przychlebnie.

— Szelma z ciebie! — powiedział Krzysztof.

— Nie wierzy pan?

— Nie wierzę!

— To straszne! Nikt mi wierzyć nie chce. Dla tegoż tracę zawsze całą odwagę.

— Uwierzę kiedy zobaczę jak się bierzesz do roboty.

— Więc zaczynamy odrazu.

— Nie mam dziś czasu! Jutro...

— Jutro, to za daleka przyszłość. Nie mogę sięcierpieć, by pan mną przez cały dzień gardził.

— Nudzisz mnie!

— Proszę... bardzo proszę...

Krzysztof, natrząsając się z własnej słabości, posadził Jerzego przy fortepianie i zaczął z nim rozmawiać o muzyce. Zadawał pytania, kazał rozwiązywać drobne problemy z zakresu harmonii. Jerzy wiedział niewiele, ale pomagał sobie instynktem muzycznym i trafiał na właściwe akordy, nie wiedząc zgoła, jak się nazywają. Pomyłki nawet i niedołęstwo chłopca nosiły cechy oryginalności, skłonności ku czemuś nowemu i wykwintnemu. Rumienił się słuchając uwag Krzysztofa, a mądre pytania, jakie stawiał świadczyły o wybitnym intelekcie, który nie bierze książki sztuki z nabożnym skupieniem wiary, by ją odklepać wargami ale z mocnym postanowieniem zrozumienia, przeczytania krytycznego i dorzucenia rozdziałów nowych. Rozmawiając o muzyce przywodził Jerzy dla porównania obrazy, pejzaże, nastroje, a Krzysztofowi trudno go było utrzymywać na szerokim gościńcu. Zbaczał ciągle, a czasem Krzysztof nie miał serca zastępywać mu drogi.

Słuchał z wielką lubością i dziwił się jednocześnie różnicy. U tamtego, życie był to prąd wewnętrzny,

teżący się cicho, a tego chłopca strumień płynął po skalach, szumiąc, bryzgając pianą i wydrzeźniając się słońcu. Mimeto jak oczy ojca i syna, taksamo czyste były oba nurty. Krzysztof odnajdywał w chłopcu pewne instynktowne niechęci do pewnych rzeczy i sympatie do innych znane sobie dobrze, a zarazem dostrzegał w nim tę samą, co u Oliwera dziecięcą nieprzedajność i wielkoduszość serca, które, kochając, oddaje się niepodzielnie... Tylko Jerzy tak wiele miał przedmiotów miłości, że nie starczyło mu czasu kochać długo.

Przyszedł nazajutrz i na trzeci dzień. Ogarnęła go czysta, młodzieńcza namietność dla Krzysztofa i godziny nauki zamieniły się w chwile natchnienia... Potem ogień przygasł, Jerzy bywał coraz to rzadziej i na koniec przestał się jawić. Nie było go całymi tygodniami. Był lekkomyślny, zapominał łatwo, miał usposobienie dziecka egoistyczne, szczere i serdeczne. Serce jego dobre było, a umysł bystry i jasny. Oba te skarby, rozmiennione na drobne rozrzucił codziennie hojną dłonią. Przebaczano mu wszystko, bo był miły, a on czuł się przez tę ogólną sympatię szczególnie.

Krzysztof nie chciał go potępiać i nie uskarżał się. Napisał do Żakliny z podziękowaniem za to, iż mu przysłała syna. Opowiedziała w krótkich słowach, nabrzmiałych uczuciem i wyraziła pragnienie, by Krzysztof interesował się Jerzym i dawał mu wskazówki w życiu. Nie wspominała mi słowa o możliwości widzenia się z nim, a uczyniła to przez poczucie wstydu, czy dumy, Krzysztof zaś nie uważał za stosowne iść do niej nie będąc wyraźnie zaproszonym. Żyli tedy w oddali, widywali się jeno czasem na koncertach, a jedynym łącznikiem były nader rzadkie odwiedziny chłopca.

* * *

Minęła zima. Listy Gracji stały się sporadyczne. Dechowała Krzysztofowi przyjaźni, ale jako mało

uczuciowa Włoszka, tkwiąca w rzeczywistości, musiała widywać od czasu do czasu ludzi, o których nie miała zapomnieć i mówić z nimi. Pamięć serca wymagała niezbędnie odświeżenia przez pamięć oczu. Listy stały się przeto lakoniczne i chłodne. Była pewną Krzysztofa, jak on był jej pewny, ale pewność ta dawała więcej światła niż ciepła.

Krzysztofa nie bolało jakoś to świeże rozczarowanie. Jego działalność kompozycyjna doszła do pełni rozkwitu. Ile razy wielki artysta osiąga pewien wiek żyć zaczyna samą sztuką, pozostawiając na uboczu życie realne. Stało mu się ono snem, a marzenie rzeczywistością. Po nawiązaniu kontaktu z Paryżem zdwoiła się jego siła twórcza. Wielokrotnie stwierdzonem zostało, że nic tak nie pobudza do pracy, jak owa stolica pracy. Najleniwszych ogarnia gorączka, a Krzysztof wypoczęty przez lata samotności miał w sobie ogromne siły. Wzbogacony nowymi zdobyczami na polu techniki muzycznej, dokonanymi przez ruchliwą umysłowość francuską rozpoczął Krzysztof czynić nowe odkrycia. Będąc namiętniejszym i bezwzględniejszym szedł dalej niż wszyscy inni, ale w zuchwałym tym rozpędzie niczego nie uzależniał od instynktu i przypadku. Owładnęła nim żądza jasności. Przez całe życie genjusz jego kierował się rytmem zmiennych prądów. Przerzucając się od jednego bieguna do drugiego, wyzyskiwał umiejętnie całą dzielącą je przestrzeń. Powiało nad nim tchnienie wiekuistego miasta.

Przez całą zimę toczył homeryckie boje okiełznywania chaosu, przetrzymywania mocnych mostów ponad przepaściami, a z nowych swych, demonicznych akordów i motywów, tworzył harmonijne, nieskazitelnie czyste i krystalicznie jasne symfonie. W tej pracy szybko mu minęła zima, napracował się bardzo, chociaż nieraz wieczorem po dziennym wysiłku, przemyślując wstecz długi szereg dni, nie wiedział, zaprawdę, czy praca jego była wielka, czy mała, czy jest młody, czy już bardzo stary.

Pewnego dnia promień ziemskiego słońca przeniknął mgłę marzenia i nastąpiła raz jeszcze wiosna. Krzysztof otrzymał od Gracji list z wieścią, że przyjeżdża z dziećmi do Paryża. Miała ten zamiar oddawna, a Koleta właśnie ją zaprosiła do siebie. Dotąd odkładała z roku na rok wyjazd, nie mogąc się wyrwać ze swego otoczenia i nie mając odwagi zatopić się w wirze stolicy. Dopiero z wiosną opanował ją jakiś smutek. Może było jakieś rozczarowanie, może jakiś dramat niemy, jakich wiele rozgrywa się w sercu kobiety chociaż często sama o tem nie wie, dość że powzięła postanowienie wyjazdu z Rzymu. Pretekstem była groźna epidemia, która ją skłoniła do wywiezienia dzieci. W kilka dni po wysłaniu listu przyjechała.

Pobiegł zaraz, dowiedziawszy się o jej przybyciu i zastał ją smutną, zatopioną w sobie, daleką i obcą. Wyzbył się już egoistycznych pragnień, odczuł ból zrozumiawszy, że cierpi, ale nie badał przyczyny. Starał się ją tylko rozerwać opowiadając o swych niepowodzeniach, oraz wtajemniczając w swe prace i plany. Wzruszyła ją owa miłość bezosobista i nie-natępna. Uczuła wielkie ukojenie, słuchając jak opowiadał o zgoła innych rzeczach, nie wspominając słowem o tem co ich zajmowało oboje. Zbliżyło ich to z wolna do siebie tak, że pewnego dnia, przerywając jakieś opowiadanie, umilkł i wpatrzył się w nią długo.

— Co pan spostrzegł? — spytała.

— Dziś dopiero wróciła pani naprawdę.

Uśmiechnęła się i powiedziała:

— Tak jest.

Trudno im było gwarzyć swobodnie. Koleta nie nie często zostawiała ich sam na sam i zaszczycała ich swem towarzystwem zgoła ponad potrzebę. Mimo różnych wybryków, była to kobieta dobra i szczerze życzliwa zarówno Gracji, jak Krzysztofowi, tylko nie przyszło jej wcale do głowy, że może ich nudzić. Odrązu dostrzegła swemi bystreimi oczkami, że istnieje pomiędzy nimi coś, bo nazywała flirtem. Był to jej żywioł, toteż uszczęśliwiona zapragnęła iść im na rękę.

Niestety nie chciało tego, starczyło im jeno, by nie mieszała się do nie swoich spraw. Ile razy się zjawiała, czyniąc delikatne, czy niedelikatne aluzje do ich przyjaźni zaraz przybierali ledowate miny i zaczęli rozmawiać o rzeczach postronnych. Na szczęście nie mogła długo usiedzieć na miejscu i wybiegała co chwila dla pokierowania jedną z tysięcy spraw, jakie miała w swem ręku. Podczas tych przerw Gracja, Krzysztof i dzieci zostawali sami i wiodli swe niewinne rozmowy, nie wspominając o uczuciach, natomiast zwierając się sobie wzajem z mnóstwa drobnych, codziennych spraw. Gracja rozpytywała o domowe stosunki Krzysztofa. Ciągłe złe stały te sprawy i Krzysztof nie mógł dojść do ładu ze swemi gospodyniami, które go ustawicznie oszukiwały i okradały. Gracja współczuła z nim, to znów śmiała się po macierzyńsku z niezaradności tego starego dzieciaka. Pewnego dnia Koleta wyniosła się nadreńczywszy ich dłużej niż zazwyczaj. Gracja westchnęła i powiedziała:

— Bardzo lubię Koletę, ale nudzi mnie straszliwie!

— Lubię ją również — odrzekł Krzysztof — jeśli to słowo ma znaczyć, że nas dręczy oboje.

Gracja roześmiała się.

— Nie sposób tutaj spokojnie rozmawiać — powiedziała — czy pozwoli mi pan przyjść kiedy do siebie?

Drgnął całym ciałem.

— Do mnie? Więc przyszlaby pani do mnie?

— Czy to panu sprawi nieprzyjemność?

— Nieprzyjemność? Boże drogi...?

— Jeśli pan tedy pozwala, to przyjdę we wtorek.

— We wtorek, środę, czwartek... wogóle kiedy pani będzie łaskawa...

— We wtorek, o czwartek! Dobrze?

— Jakaż pani dobra?

— Ale stawiam warunek.

— Warunek? Niema potrzeby. Wszakże czynię bezwarunkowo wszystko czego pani żąda!

— Wolę warunek!

— Zgoda!

— Nie wiesz pan, wszakże jaki to warunek!

— Nie wiem, ale wszystko mi jedno! Stanie się co pani każe!

— Szaleńcze... słuchajże...

— Proszę...

— Chcę, byś pan nie, ale to nie nie zmieniał w swem mieszkaniu... Musi wszystko zostać jak jest w tej chwili!

Twarz Krzysztofa wydłużyła się.

— To niemożliwe! — zawołał porywczo.

Roześmiała się.

— Widzi pan co się dzieje kiedy człowiek decyduje się za szybko. Mam obietnicę!

— Czemuż się pani tego domaga?

— Chcę zobaczyć jak pan żyjesz, kiedy nie spodziewasz się mnie.

— Pozwoli pani przynajmniej...

— Nie pozwalam na nic...

— Przynajmniej...

— Nie... nie... nie! Nie słucham! Tak być musi. Inaczej nie przyjdę wcale. Może pan to woli...?

— Wie pani dobrze, że przystanę na wszystko, byle pani przyszła.

— A więc zgoda?

— Zgoda!

— Słowo?

— Słowo... tyranie!

— Wszakże dobrym jestem tyranem?

— Niema dobrych tyranów. Są jeno tyrani, których się kocha i których się nienawidzi.

— Zaliczam się do obu gatunków... nieprawdaż?

— Tylko do pierwszego! — zapewnił.

— Bardzo mi to przykre! — oświadczyła.

Przyszła w oznaczonym dniu. Krzysztof, powodowany sumiennością wobec danego słowa nie powążył się usunąć na bok kawałka papieru ze stołu i wszystko zostało porozrzucone. Dotrzymał, ale wycierpiał niemało, bo wstydził się, myśląc o wrazeniu jakie to uczyni na przyjaciół. Czekał z trwogą.

Gracja przybyła punktualnie, bo w pięć minut po oznaczonym czasie. Wbiegła drobnymi, pewnymi krokami na schody i zadzwoniła. Otworzył jej natychmiast, gdyż stał przy drzwiach. Ubrana była niezmiernie skromnie i wykwinie zarazem, a oczy spoglądające z pod welona były spokojne. Powitali się, podając sobie ręce. Gracja mniej jeszcze mówiła niż zazwyczaj, Krzysztofem miotał niepokój, był niezręczny i chcąc pokryć swój stan nie odzywał się ni słowem. Nie powiedział tedy, gdy weszła, nie na usprawiedliwienie nieporządku panującego w mieszkaniu. Usiadła w fotelu, on na krześle obok niej.

— To moja pracownia! — powiedział po chwili z wysiłkiem i zamilkł. Gracja rozglądała się spokojnie, uśmiechnięta, ale odczuwała również pewne zmieszanie, nie przyznając się do tego przed sobą. (Przyznała się potem, że będąc podlotkiem zapragnęła doń przyjść, była już nawet pod drzwiami, ale nie śmiała zadzwonić i uciekła). Tknęło ją do żywego i zabolęło, że mieszkanie Krzysztofa jest tak ponure, biedne, pozbawione wszelkich wygod. Serce jej wezbrało litością dla przyjaciela, którego cała usilna praca i sława nie mogły wyrwać z trosk materialnych. Jednocześnie cieszyła ją ta jego zupełna obojętność na dostatki, owo poprzestawanie na nagich ścianach pokoju, bez dywana, obrazów, dzieł sztuki plastycznej, a nawet foteli wygodnych. Poza zwykłymi krzesłami, stołem, fortepianem były tu jeno książki i mnóstwo papieru. Papieru tego wszędzie widniały masy ogromne, na stole, pod stołem, po kątach na ziemi, na fortepianie, a nawet na krzesłach. Uśmiechała się, widząc jak sumiennie dotrzymał słowa i spytała po chwili.

— Więc pan pracuje tutaj?

Wskazała na stół.

— Nie... tam! — odrzekł.

Skinął w kąt pokoju, gdzie stało niskie krzesło zwrócone oparciem do okna, a przed niem mały stolik. Podeszła i usiadła ruchem pełnym wdzięku. Milczeli długo, nie wiedząc co mówić. Wstał, usiadł do fortepianu i fantazjował przez dobre pół godziny.

Obecność przyjaciółki była mu niby czarowna chmura szczęścia. Tonął w niej, rozkoszował się i grał z zamkniętymi oczyma przedziwne rzeczy. Gracja zrozumiała wówczas na czem polega piękno tego pokoju. Żył tu nieuchwytnie zjawy harmonij, snuły się twory zaziemskie, które niezego co niskie i małe nie potrzebują. Słuchała i czuła serce Krzysztofa tętniące we własnej piersi.

Przystawszy grać siedział jeszcze chwilę bez ruchu przy fortepianie, potem zwrócił się ku niej posłyszawszy, że płacze z cicha. Wstała i podeszła doń.

— Dziękuję! — powiedziała ujmując jego dłoń. Wargi jej drżały, a oczy miała zamknięte. On stał niemy i trwali tak przez czas pewien w bezruchu, trzymając się za ręce. Otworzyła oczy i chcąc zapanować nad wzruszeniem, powiedziała:

— Proszę mi pokazać resztę mieszkania.

Uradowany tą dywersją otworzył szybko drzwi do sąsiedniego pokoju, ale zaraz zawstydził się bardzo. W sypialni stało wąskie, żelazne łóżko. Gdy potem wyznał Gracji w zaufaniu, że nigdy nie przyjął kobiety u siebie, odrzekła wesoło:

— Wierzę, biedaczka musiałaby być niezwykle odważną...

— Jakto?

— ...by spać w pańskim łóżku!

W sypialni stała jeszcze pod ścianą prostacka, chłopska komoda, nad nią wisiała gipsowa maska twarzą Baethowena, a ponad łóżkiem fotografie matki i Oliwera. Na komodzie zobaczyła fotografię własną, przedstawiającą ją jako piętnastoletniego podlotka. Krzysztof znalazł ten portrecik w albumie Gracji w Rzymie i skradł go bez skrępow. Wyznał swą winę i prosił o przebaczenie. Spojrzała i pytała:

— Czy mnie pan rozpoznaje w tem dziecku?

— Rozpoznaję i pamiętam wszystkich!

— Któraż z nas kochał pan więcej?

— Obie są jednością nierozdzielną, to też kocham je równie silnie. Poznaję panią zawsze i we wszystkim, rozpoznałbym panią nawet w fotografii

z lat niemowlęcych. Trudno powiedzieć jak się cieszę odkrywając duszę pani w tej poczwarcie motylej. Wówczas widzę, że pani jest wiekuiatą. Kochałem panią zanim przysłaś na świat i kochał będę nawet...

Umilkł. Ona stała zmieszana nie mogąc wyrzec słowa odpowiedzi.

Wrócili do pracowni, a Krzysztof pokazał jej kochane swe drzewo w ogrodzie, na którym gwarzyły wróble.

— Wie pan co będziemy teraz robili? — powiedziała — Napijemy się herbaty. Przyniosłam herbatę i ciastka, bo pewna byłam, że pan nie będzie miał nic u siebie. Przyniosłam też co innego. Proszę mi dać swój płaszcz!

— Płaszcz?

— Tak... dawaj pan prędko!

Wyjęła z kieszeni puzderko z igłami i nićmi.

— Jakto... pani chce...?

— Zaniepokoił mnie los dwu guzików u pańskiego płaszcza... Proszę, dajże mi pan zaraz ten nieśczęsny płaszcz...

— Ach... prawda... — zawołał — gotowe odpaść, trzymają się na jednej nitce. Nie miałem czasu przyszyć! To takie nudne...

— Biedny chłopcze...

— Wstyd mi!

— Zagotuj pan wody na herbatę!

Przyniósł do pokoju kociołek z wodą i maszynkę spirytusową, nie chcąc ni na chwilę stracić przyjaciółki z oczu. Szła i spoglądała jednocześnie z uśmiechem na krzątającego się niezręcznie przyjaciela. Pili herbatę z poszczerbionych filiżanek, które uznała co najmniej za szkaradne. Bronił z zapalem wielkim biedne filiżanki, będące pamiątką z czasów wspólnego z Oliwerem gospodarstwa.

W chwili rozłąki, spytał:

— Wszakże nie gniewa się pani na mnie?

— O cóżbym się gniewać miała?

— Taki straszny nieład u mnie...

Roześmiała się.

— Już ja wszystko doprowadzę do porządku! Gdy miała drzwi otwierać, ukląkł i pocałował ją w nogę.

— Co pan robisz? Szaleńcze! Kochany, drogi szaleńcze! — zawołała — Bądź zdrow!

Ułożyli sobie, że co tygodnia będzie przychodziła w pewnym, oznaczonym dniu. Gracja wymogła przyrzeczenie, że nie będzie robił głupstw, klękał, nie całował stóp. Taki z niej promieniował spokój, że przeniknął nawskroś Krzysztofa, mimo iż miotła nim w dniach owych silna namiętność. Chociaż nie wyrzekł się niczego obowali ze sobą czasu onych spotkań jak przyjaciele. Nigdy nie pozwolił sobie na gest, ni słowo, któreby ją mogły zaniepokoić.

W dniu urodzin Krzysztofa, Gracja ubrała swą córkę zupełnie tak jak była sama ubrana czasu pierwszego widzenia się z przyjacielem i nauczyła ją tego samego utworu muzycznego, który ćwiczyła wówczas.

Różne ją przenikały uczucia. Obok przyjaźni dla Krzysztofa, czystej i szczerzej była towarzyską i przepadała za ludźmi, co więcej, doznawała przyjemności gdy się czuła otoczoną nawet przez głuptaków i nie przebierała w zelotnikach. Kokieterijność wrodzoną hamowała jeno wobec Krzysztofa, czasem jednak pozwalała sobie nawet z nim na coś w rodzaju flirtu i przekomarzania.

Ile razy stawał się napastliwszy, cofała się i przybierała pełną rezerwy postawę, gdy zaś obojętniał, zaczynała sama ofensywę. Była najuczciwszą pod słońcem kobietą, ale w najuczciwszych nawet tkwi spora doza skłonności do zachowywania się jak dziewczka uliczna. Chciała żyć w zupełnej zgodzie ze światem i panującymi obyczajami. Była muzykalną, odczuwała utwory Krzysztofa, ale nie ciekawiły jej bardzo. Wiedział o tem. Sztuka ma dla latyńskiej duszy o tyle jeno wartość, o ile związana jest z życiem, a osią całego życia jest miłość. To też nie wiele obchodzi ludzi rasy romańskiej ów tragiczny kompleks myśli twórczych Północy. Nie pragną pesyzmami omroczonej symfonii, natomiast lubują się

w muzyce będącej wcieleniem pragnień własnych i pożądań, w operze rozstruwającej namiętności przyziemne, ludzkie, chce uczucia, zmysłowości i ospałego marzenia o rozkoszy.

Lubiła Krzysztofa, kochała go nawet naprawdę, ale działo się z nimi, jak zawsze z ludźmi różniącymi się od siebie bardzo. Uczucie było najsilniejsze, gdy byli od siebie daleko. Życie ich rozdzieliło, a winnym owego nieporozumienia nie był wyłącznie Krzysztof, jak w to wierzył naiwnie. Nie wiadomo czy Gracja byłaby zań wyszła nawet wówczas kiedy go kochała najsilniej, najbezwzględniej. Mogła mu oddać życie, ale czy byłaby mu oddała życie całe? Uświadamiała sobie, (z czym się tała przed Krzysztofem), że kochała swego męża, mimo wszystkiego doznanego zła i że dotąd jeszcze nawet kocha go, jak nie mogłaby kochać nigdy Krzysztofa. Były to tajemnice serca, tajemnice ciała, z których dumnym nie jest nikt i dlatego okrywa je przed osobami kochanymi, ze względu na winny im szacunek, oraz litosne po-błażanie dla samego siebie.

Krzysztof był typowym mężczyzną i nie domyślał się tego wszystkiego. Czasem jeno miewał momenty jasnowidzenia i dostrzegał brak zupełny przywiązania do siebie ze strony osoby, którą kochał prawdziwie, najszczerzej może w życiu. Wyciągał stąd jeno wnioski, że na nikim polegać nie można, ale miłości jego odkrycie to nie nadwyrężało wcale. Nie doznawał goryczy, bowiem spokój Gracji spłynął nań, a on go przyjął ochotnie.

Krzysztof często i długo wpatrywał się w oblicze ukochanej, czytając w niej przeszłość i przyszłość. W ciągu długich lat samotności kiedy żył i dojrzał, mówił mało, a widział dużo, nabył niepostrzeżenie zdolności owego czytania w ludzkiej twarzy, rozumienia tego nader bogatego języka, który jest wytworem niezliczonych setek wieków i posiada gamę pojęć, przekraczającą o wiele wszelkie słowa ludzkie. Mówi przez nią rasa, myślał... Wyraźnie występują sprzeczności pomiędzy rysami twarzy, a tem

co twarz owa powiada. Profil młodej kobiety zarysowany czysto, nieco nawet twardo, jakby go malował Burne Jones. Jest tragiczny, tli w nim wewnętrzna namiętność, zazdrość i jakiś szekspirowski ból. Zaczyna mówić... i oto okazuje się, że mamy przed sobą mieszkankę głupią jak koza, nie posiadającą najłżejszego wyobrażenia o niebezpiecznych mocach, drzemających w jej ciele. Moce one tętnią i przejawiają się znieścacka, ale jakąż przyjmują formę? Może będzie to łaknienie grosza, może zazdrość małżeńską, a może też szlachetny rozmach czynu, lub znowu chorobliwa, szatańska złośliwość? Niewiadomo. Być może przed chwilą wybuchu przeniosą się owe siły na jakąś drugą istotę jej krwi. Jest to jednak element, z którym liczyć się trzeba, bowiem zawarty w nim jest los całego rodu i jego dola.

Gracja obciążona była dziedzicznie ową strasliwą spuścizną, która zalicza się do dóbr rodowych, jakich roztrwonić nie sposób. Zdawała sobie sprawę, że spadek ten posiada i było to wielką zaletą. Ten, kto zna wady swoje, nawet nie mogąc ich opanować, może stać się pilotem duszy własnej rasy. Zejść z okrętu nie może, ale przeprowadzi go pomiędzy rafami i uchroni od rozbicia. Z losu swego uczyni narzędzie, rozepnie go niby żagiel i potrafi nim manewrować wedle wiatru, a nawet zwinąć czasu burzy.

Gracja, zamknąwszy oczy, słyszała dolatujące z głębi własnej duszy głosy znane dobrze, a niepokojące bardzo. Ale była zdrową, przeto dysonanse, stapiały się harmonijnie i z pod silnych jej, spokojnych palców płynęła muzyka poważna, cicha i piękna.

* * *

Nie jesteśmy, niestety, w stanie przenosić dowolnie złych i dobrych cech naszych na potomków i wyposażać ich tem, co byśmy chcieli im dać na drogę życia. Jedenastoletnia córka Gracji Aurora, była podobna do matki. Nie była tak piękna jak Gracja i z natury mniej wykwintna. Także kulała nieco. Ale była nadwyras dobra, przymilna, wesola, zdrowa, miała dużo

dobrej woli, niewielkie zdolności, a przytem lubiła próżnować i nie brała się z własnej inicjatywy do niczego. Krzysztof lubił ją bardzo, gdyż pociągało go to, iż ma przed sobą istotę podwójną w dwu okresach życia jednocześnie, niby dwa kwiaty wyrosłe z jednej łodygi. Przypominały mu obie z matką obraz Ljonarda wyobrażający św. Annę z Matką Boską. Ogarniając spojrzeniem taki obraz podwójny, ma się wrażenie nieskończoności, a dla duszy artysty niema w takim razie nic bliższego, jak pokochać czystą miłością dwie siostry, czy też matkę i córkę. Krzysztof radby był kochać Grację przez wszystkie pokolenia wstecz i naprzód. Każdy uśmiech, każda łza, każdy rys twarzy było to wspomnienie życia minionego, zanim oczy jej otwarły się na światłość dnia, a przetrwają one w córce, gdy oczy matki zawrze śmierć.

Mały Lionel miał lat ośm. Piękniejszy od siostry, był także znacznie wykwintniejszy, subtelniejszy, był niemal przejrysty, jakby uciekła zeń krew, w ciągu długich, bardzo długich pokoleń i podobny był całkiem do ojca. Odznaczał się mądrością, obfitością złych skłonności, umiał schlebiać i działać podstępnie. Miał niebieskie oczy, jedwabiste, dziewczęce włosy, bladą cerę twarzy, wąską klatkę piersiową i odznaczał się chorobliwą nerwowością, którą jako urodzony komedjant, posługiwać się umiał po mistrzowsku, grając z maestrą niezrównaną na słabostkach ludzkich.

Gracja kochała bardziej syna. Było to instynktowne, macierzyńskie uczucie dla słabszego dziecka. A może wywierał na nią ten rodzaj wpływu, jaki czasem mają na dobre i uczciwe kobiety, synowie nie posiadający tych zalet. Synowie tacy to wyładowanie się owych cech niskich, zdławionych w matce i zmuszonych do milczenia. Przyłączało się jeszcze wspomnienie męża, od którego doznała dużo złego, którym gardziła, ale którego kochała niewątpliwie.

Przyszło tu widać do głosu uczucie skryte zazwyczaj w cieplarnianej atmosferze podświadomości, a chociaż Gracja starała się jednaką miłością darzyć oboje dzieci, Aurora odczuwała różnicę i bolała nad

tem bardzo. Zrozumieli się też zaraz z Krzysztofem i zbliżyli się do siebie mimowolnie. Przeciwnie, niechęć zapanowała odrazu pomiędzy Krzysztofem a Ljonelem, który starał się ukryć ją pod pozorami nadskakującej uprzejmości. Raziło to Krzysztofa i z wyraźną odrazą zmuszał się do pocałunków, lub gładzenia po głowie dziecka człowieka obcego, co byłby czynił z wielką, serdeczną miłością, gdyby Lionel był dlań podarkiem od Gracji. Zamykał oczy na przywary chłopca, bo niecierpiał wszystkiego, co przypominało — tamtego. Starał się w Ljonele widzieć samą jeno Grację.

Gracja, nie łudziła się wcale co do syna, ale kochała go tem więcej jeszcze. Nagle ujawniła się choroba, drżeniąca z dawna w dziecku, przyszły suchoty, a Gracja postanowiła spędzić z Ljonelem zimę w jednym z sanatoriów alpejskich. Krzysztof prosił, by mu pozwoliła towarzyszyć sobie, ale ze względu na opinię świata nie chciała się zgodzić. Dotknęła go bardzo przesadna uległość wobec społeczeństwa, a Gracja wyjechała, zostawiając córkę u Kolety.

Znalazłszy się pośród bezlitosnej przyrody, spoglądającej tępo i bez czucia na ludzką niedolę, uczuła ogromne przygnębienie. Otoczyli ją chorzy, mówiący ustawicznie jeno o swem zdrowiu, obnoszący się wszędzie z podręcznymi spluwaczkami, śledzący wzajem na swych twarzach śmiertelny pochód gruźlicy. Nie mogąc wytrzymać w świetnym sanatorjum hotelowem, wynajęła domek i zamieszkała sama z synem. Ale nadmierne wzniesienie nad poziom morza pogorszyło stan dziecka miast mu przynieść ulgę i gorączka wzrosła. Gracja spędzała bezsenne noc po nocy, a Krzysztof odczuwał to z oddali, mimo, że przyjaćółka nie wspominała w listach słowem o swych utrapieniach. Uparła się przy zakazie przybycia jaki mu dała, chociaż radaby była bardzo mieć go przy sobie. Duma nie pozwalała okazać się słabą i napisać: przyjeżdż, potrzebuję cię!

Pewnego dnia stała na werandzie domku o zmroku, który straszną jest porą dnia dla serc smutnych i zdję

tych strachem. Nagle zauważyła postać jakąś na drodze wiodącej od stacji kolei linowej. Mężczyzna pochylony nieco kroczył szybko w kierunku jej mieszkania. Nagle zawahał się i przystanął, podnosząc oczy na domek. Wbiegła do środka by jej nie zobaczył, przycisnęła dłoń do serca i roześmiała się z wzruszenia. Mimo, że nie była nabożna, padła na kolana i ukryła twarz w dłoniach. Uczuła potrzebę podziękować komuś za to. Ale nie przyszedł. Zbliżyła się do okna i wyjrzała z poza firanek. Stał oparty o ogrodzenie pola opodal domku, nie śmiejąc wejść. Gracja, wzburzona bardziej jeszcze od niego, uśmiechnęła się i powiedziała cicho:

— Chodź!

Powziął na koniec postanowienie i zadzwonił do drzwi, a Gracja skoczyła otwierać. Spoglądał, jak dobry, wierny pies, lękający się razów. Powiedział:

— Przyjechałem... proszę przebaczyć...

Odrzekła:

— Dziękuję.

Wyznała zaraz jak bardzo pragnęła go zobaczyć. Odtąd Krzysztof pomagał jej pielęgnować chore dziecko i czynił to szczerze i serdecznie. Ale Lionel zaczął go traktować jak wroga i nie kryjąc się już zgolił, ranił go złośliwymi słowami. Krzysztof znosił wszystko cierpliwie, przypisując te objawy chorobie. Okazywał cierpliwość, dotąd nie objawiającą się u niego nigdy. Przepędzali straszne dni u łóżka chorego chłopca, zwłaszcza znękała ich noc, w której Lionel uważany przez lekarzy za straconego przeżył kryzys i został uratowany.

Siedzieli trzymając się za ręce do rana i odczuwali taką raijską, czystą szczęśliwość, że zapragnęli być sami. Gracja okryła się płaszczem i wyprowadziła Krzysztofa na pole okryte śniegiem, rozelśnione gwiazdami. Oparła się o jego ramię i oboje pili z roskoszą mroźne powietrze, spływające im w dusze nektarem pokoju. Zamienili parę ledwo słów, żadne nie wspominało o miłości. Za powrotem powiedziała mu w progu spoglądając nań radośnie:

— Drogi... drogi... przyjacielu...

Na tem się skończyło. Uczuli, że węzeł łączący ich stał się świętym i nierozzerwalnym.

* * *

Po długim okresie rekonwalescencji syna, Gracja wróciła do Paryża i zamieszkała w niewielkiej, wynajętej willi w Passy. Teraz przestała już zgolić zwracać uwagę na to, „co powiedzą ludzie“. Zdobyła się na tę odwagę, bowiem życie jej i Krzysztofa zespoliło się do tego stopnia, że tchórzostwem byłoby kryć przyjaźń dlatego jeno, by uniknąć oszczerstwa. Oszczerstwo przyjść musiało, wiedziała o tem, ale mimo wszystko przyjmowała Krzysztofa o każdej godzinie dnia, pokazywała się z nim w miejscach publicznych przechadzek i teatrach. Wobec wszystkich rozmawiała z nim poufale i ogólnie sądzono, że stanowią parę kochanków. Sama nawet Koleta uczyniła spostrzeżenie, że zanadto się afiszują, ale Gracja na jej przytyki odpowiedziała jeno uśmiechem i zmieniła temat rozmowy.

Krzysztof nie nabył żadnych nowych praw do Gracji, pozostali przyjaciółmi, odnosił się do niej z tym samym co dawniej szacunkiem, tylko nie było już teraz pomiędzy nimi rzeczy skrytych, omawiali ze sobą najdrobniejsze sprawy i zwolna, niespostrzeżenie Krzysztof stał się czemś w rodzaju głowy domu. Gracja słuchała rad jego i kierowała się niemi.

Od czasu spędzonej w sanatorjum zimy zmieniła się bardzo. Troski i wysiłki podkopały jej zdrowie, a dusza również ucierpiała niemało. Popadała czasem jeszcze w swe dawne nastroje, ale na ogół biorąc, stała się poważna, skupiona i ogarnęła ją chęć, aby być dobrą, nie ranić i żyć na wyżynach myśli i uczucia. Wzruszona przywiązaniem, bezinteresownością Krzysztofa i czystością jego serca, rozmyślała nad tem czego pragnął, czego się już nie spodziewała, to jest nad możliwością zostania jego żoną.

Nie poruszał tego tematu od ostatniej stanowczej odmowy, uważając że nie ma prawa, ale smuciła go pogrzebiona nadzieja. Wierzył słowom Gracji w każdym innym wypadku, ale to co mówiła o małżeństwie przekonać go nie zdołało i zawsze uważał je za szczyt ludzkiego szczęścia. Tęsknotę ową rozplamieniało bardziej jeszcze spotkanie z państwem Arnaud.

Pani Arnaud miała teraz lat pięćdziesiąt, jej mąż około sześćdziesiąt sześć. Ale wyglądali oboje starzej. On przytył, ona zaś wyschła, skurczyła się nieco, a delikatna dawniej stała się czemś w rodzaju własnego cienia. Arnaud po wystąpieniu ze służby wyjechał na prowincję. Nie nie łączyło ich z wiekiem w którym żyli, prócz dziennika przynoszącego w otępiałą atmosferę małomiejską, gdzie wiedli drzemkę życia, spóźnione echa tego, co rozbrzmiewało w świecie. Raz wpadło im w oczy nazwisko Krzysztofa i pani Arnaud posłała mu kilka serdecznych, nieco napuszonych może słów wyrażających radość z tego, że pozyskał sławę. Otrzymałszy list, Krzysztof pojechał do nich niezwłocznie.

Zastal ich śpiących w altance z dachem utworzonym przez rozłożystą olchę i ta para trzymających się za ręce starych ludzi, ozłoconych promieniami letniego słońca przypomniła mu obraz Boecklina. Starość i upał obezwładniły ich, spoczywali jakoby wiecznym już snem do ostatniej chwili złączeni serdeczną przyjaźnią, zwarci ze sobą stygnącymi już ciałami...

Uradowali się bardzo Krzysztofem, oraz tem co na jego widok wyczarowało wspomnienie przeszłości. Gwarzyli o tem co minęło, a teraz wstawało w świetlistych barwach.

Arnaud wolał słuchać, bowiem pamięć go zawodziła, tak że żona musiała mu dopomagać co chwila. I pani Arnaud chętniej słuchała Krzysztofa. Kiedy mówił, jawiły się przed nią przemalowane tęczą na świetliste mirażę zdarzenia dawne. Podobne były krzemykom błyszczącym poprzez migotliwą falę stru-

mienia. Jeden zwłaszcza świetnie miał barwy i odbłask ich dostrzegał Krzysztof w oczach pani Arnaud, ale żadne nie wymieniło imienia Oliwera. Arnaud otaczał żonę niezdarną, nieśmiałą jakąś troskliwością. Ciągłe pilnował, by jej nie było zimno, to znów gorąco, a oczy jego spoczywały ustawicznie na pomarszczonej, zawiedłej twarzy żony. Uspakajała go uśmiechem, a Krzysztof patrzył na to wzruszony, ogarnięty zazdrością i myślał, jak słodką jest rzeczą.. starzeć się we dwoje.

O jakież to debrodziejstwo losu, gdy danem jest człowiekowi kochać swą towarzyszkę aż do grobu...! Widok Arnaudów był Krzysztofowi dobroczynną i bolesną zarazem zjawą, gdyż zobaczył piękny koniec życia, który nie miał się stać jego udziałem.

Za powrotem nie mógł się powstrzymać, by nie opowiedzieć Gracji wszystkiego. Nie wyznał tylko co myślał, ale odczuła to dobrze, bo mówił z roztrągnięciem, odwracał głowę i milkł co chwila. Spoglądała nań uśmiechała się, ale niepokój Krzysztofa ogarnął ją także.

Znalazłszy się wieczór u siebie, zaczęła marzyć. Powtarzała sobie w duchu opowiadanie Krzysztofa. Ale nie jawił jej się obraz pary zaślubionej w olchowej altance, natomiast widziała przed sobą ciągle dobre, przywiązane, kochające oblicze przyjaciela i uczuła dlań miłość wielką.

Zgasiła światło i pomyślała:

— To niema sensu,... to poprostu grzech wyrzekać się takiego szczęścia. Czyż ma na świecie coś większą wartość ponad uszczęśliwienie kochanego człowieka? Wszakże go kocham...

Umilkła w duchu i posłyszała cichą, rozrzewniającą odpowiedź serca:

— Kocham go...

W tej chwili doleciał z sąsiedniego pokoju suchy, ostry, nerwowy kaszel syna. Gracja wyteżyła słuch. Nie przestawała się trapić stanem jego zdrowia mimo polepszenia czasów ostatnich.

Wstała, poszła doń i spytała, jak się czuje. Nie odpowiadał. Kaszlał tylko dalej. Był podniecony, jęczał, skarżył się, że mu nie dobrze i kaszlał ciągle.

— Gdzie cię boli? — spytała.

Nie odpowiedział, jęknął tylko i znowu zaczął kaszleć.

— Drogi chłopcze, — prosiła — powiedz gdzie cię boli?

— Nie wiem...

— Czy tutaj?

— Tak... Nie... nie wiem... Wszędzie mnie boli...

Nastąpił nowy atak kaszlu.

Gracja przeraziła się bardzo. Miała wrażenie, że Ljoneł zmusza się do kaszlu, jednocześnie zaś wyrzucała sobie to przypuszczenie widząc, że obłany jest potem i chwyta z trudem powietrze. Całowała go, mówiła słodkie słowa i maleś uspakajał się. Ale gdy tylko chciała odejść, zaczynał kaszleć na nowo. Musiała zostać przy nim drżąc z zimna, gdyż nie pozwolił jej nawet ubrać się. Trzymał ją za rękę i nie puszczał, aż do chwili kiedy zasnął. Wróciła do swego pokoju i położyła się skostniała, przerażona i wyczerpana, nie mogąc wrócić do poprzednich myśli.

Chłopiec posiadał niepojętą zdolność czytania w myślach matki. Zdarza się to czasem u istot tej samej krwi, nigdy atoli w tak wysokim stopniu. Ludzie tacy spojrzawszy na siebie, odgadują swe myśli po niedostrzegalnych innym oznakach, a u Ljoneła wrodzoną tę zdolność spotęgowała czyhająca nieustannie zawistna złośliwość. Posiadał spryt wyostrzony żądzą czynienia złe. Nienawidził Krzysztofa.

Niewiadomo czemu tak było. Któż zdoła powiedzieć, skąd się w dziecku bierze niechęć do kogoś, kto mu nie uczynił nic złego? Często jest to dziełem przypadku. Dziecko wmawia w siebie, że mu ktoś uczynił krzywdę, przyzwyczajają się do tego, a im więcej mu ktoś chce to wyperswadować, tem uporniej trwa przy swoim. Udując zrazu niechęć, zaczyna nienawidzić naprawdę.

Często działają tu jednak pobudki przekraczające świadomość dziecka i samą jego nawet zdolność przeczucia. Przychodzą z jakichś niezbadanych głębi. Syn hrabiego Bereny odezwał od pierwszego zaraz dnia niechęć do człowieka, którego kochała jego matka. Zdawało się, że odczuł bezpośrednio moment, w którym Gracja postanowiła wyjść za Krzysztofa i odtąd pilnował jej wytrwale, zawsze wciskając się pomiędzy nich. Nie chciał wyjść z salonu, gdy Krzysztof był obecny, albo znów wpadł znienacka do pokoju, gdzie rozmawiali poufnie.

Nawet kiedy Gracja była sama i myślała o Krzysztofie poznawał to natychmiast, siadał obok niej na czatach i pilnował, wpatrując się w twarz matki, a spojrzenie to było tak przenikliwe, że oblewała się rumieńcem, wstawała i odchodziła, by ukryć pomieszanie. Z wielką przyjemnością wygadywał na Krzysztofa niestworzone rzeczy, a gdy go prosiła ażeby przestał, zacietrzewiał się jeszcze bardziej. Chciała go kilka razy ukarać, a chłopiec groził wówczas, że się rozchoruje. Tę metodę stosował zresztą z wielkiem powodzeniem także w innych wypadkach od lat najmłodszych. Kiedy go zgromiono pewnego dnia, gdy był jeszcze mały umyślił zemstę, rozebrał się do naga, położył na zimnej posadzce kamiennej i zachorował naprawdę z przeziębienia.

Krzysztof przyniósł raz Gracji skomponowany na jej imieniny utwór muzyczny. Ljoneł porwał rękopis i schował, potem zaś potargał i strzępy znalazł w jednym z kufrów. Gracji zabrakło cierpliwości, zgromiła przeto surowo syna, a Ljoneł zaczął płakać, wrzeszczyć, tupać nogami, tarzać się po ziemi i dostał w końcu ataku nerwowego. Gracja przeraziła się, ucałowała go i przyrzekła uczynić wszystko, czego chce.

Od tego dnia uczuł się panem sytuacji i tak było w istocie. Ile razy chciał postawić na swoim, zawsze dostawał ataku i niepodobna było określić ile w tem było komedjanctwa, a ile prawdy. Nie porzastał teraz na urządzeniu widowisk w chwili

gdy go buremano, ale inscenizował je gdy matka i Krzysztof chcieli spędzić razem wieczór na pogawędce. Potem posunął się dalej i dręczył w ten sposób matkę przez złośliwość. Był niezrównany w pomysłach na ten temat. Pewnego dnia napadło go podczas obiadu takie nerwowe drżenie, że stłukł szklankę i talerz. Innym razem idąc po schodach schwycił poręcz kurczowo i twierdził że nie może rozewrzyć palców. Czasem odczuwał takie klucie w boku, że wił się po ziemi, albo znów dusił się, aż oczy mu wychodziły z orbit. Wten sposób doprowadził do rzeczywistej neurozy. Ale wysiłki jego nie były daremne. Zamęcił Gracji i Krzysztofowi spokój, nie mogli już teraz gwarzyć, grywać, nie wiedzieli co ich spotka łada chwila i całe owo ciche, czyste szczęście rozpadło się w niwecz.

Zdarzały się jednak chwile w których mały łotrzyk dawał im trochę spokoju. Być może zmęczony bywał od czasu do czasu swą rolą, albo też przejawiała się w nim natura dziecięca żadna zmian. Wiedział zresztą, że sprawę wygrał. Gracja i Krzysztof wykorzystywali coprędzej owe momenty ciszy, a każda godzina była im zbyt drogocenną by jej użyć nie mieli. Czuli się teraz tak bliskimi... Czemuż nie miałyby tak upłynąć życie? Pewnego dnia Gracja wyznała przyjacielowi swą troskę.

Krzysztof ujął jej dłoń.

— Czemużby się to zmienić nie dało? — spytał.

— Wiesz dobrze, czemu, przyjacielu drogi! — powiedziała ze smutnym uśmiechem.

Wiedział to Krzysztof. Wiedział że szczęście obojga poświęca synowi swemu. Pewnym był również, że komedję Ljonela przejrzała i nie łudzi się wcale, a mimoto nie może odeń oderwać serca. Krzysztofowi nie obcym był ten objaw uczucia rodzinnego, które skłania do poświęcenia wszystkiego najgorszym członkom rodu, tak że nie pozostaje już nic dla osób kochanych, a obcych. Burzył się przeciw temu, wzbierała w nim czasem ochota uśmiercić tego małego szatana, który niweczył szczęście obojga,

a jednak rozumiał dobrze, że Gracja nie może postąpić inaczej i poddał się też w pokorze ducha losowi. Bez próżnych żalów zrezygnowali oboje. Skradziono im szczęście, ale żadna siła nie mogła rozzerwać ich serc, a ofiara jaką ponieśli, połączyła ich węzłami nierównie silniejszymi od związku ciała. Złożyli wzajem na swe barki ciężar trosk, a w ten sposób smutek przemienił się w radość. Krzysztof nazwał Grację swym spowiednikiem, wyznał jej wszystkie swe winy, wady, słabostki nie cofając się przed tem. co ranić mogło jego ambicję. Wyznał nawet jak wielki ciągle cierpi niedostatek materialny. Uczynił to, zapewniwszy się, że Gracja nic mu nie zaofiaruje, a on nie będzie zmuszony niczego przyjmować. Nie mogąc ulżyć ukochanemu i otoczyć go wygodami, Gracja postarała się przepoić jego życie czemś nierównie lepszym i cenniejszym, mianowicie serdecznością. Miał ją teraz zawsze wkoło siebie i zamykając oczy na sen i otwierając je rankiem, szeptał modlitwę cichego uwielbienia. A ona budząc się, lub też czuwając długo w nocy przy chorym synu myślała:

— On o mnie myśli.

Pewność ta otaczała ją falą przedziwnego pokoju.

* * *

Stan zdrowia Gracji pogarszał się ciągle. Doszło do tego, że musiała stale leżyc w łóżku albo przynajmniej całe dni spędzać na szeszlunku. Krzysztof przychodził codziennie, gwarzył z nią, czytał, albo pokazywał jej swe nowe utwory. Z trudem zwlekała się z poduszek i chwiejąc się na nogach podchodziła do fortepianu, by zagrać co przyniosł. Była to największa przyjemność, jaką mu zrobić mogła. Uważał ją obok Cecylki za najzdolniejszą z wszystkich swych uczennic. Tylko Cecylka, nie rozumiejąc zgoła muzyki chwyciła ją instynktownie, zaś Gracja odczuwała ją z zupełną świadomością jako harmonijną mowę. Nie była w stanie ni w życiu, ni w muzyce przejąć się demonizmem, przepajała tedy każdy utwór krystaliczną

jasnością i pogodą swego roztropnego serca i cechy te przenikły twórczość Krzysztofa.

Gra przyjaciółki sprawiała, że lepiej pojmował ciemne, nieodgadnione namiętności, jakie wyraził to-nami. Słuchał z zamkniętymi oczyma, dając się przez nią prowadzić poprzez labirynt własnych myśli. Prze-żywając w ten sposób własną muzykę za pośredni-ctwem duszy Gracji zaślubiał ją i posiadał. Z onego t jemniczego skojarzenia rodziły się walory muzyczne będące owocem zjednoczonych dusz obojga. Powie-działa mu to pewnego dnia kiedy jej przyniósł zbiór utworów utkanych z tego co stanowiło treść naj-istotniejszą ich mistycznego związku.

— To są nasze dzieci.

Żyli teraz w niezamąconem szczęściu, otoczeni ciszą, związani przyjaźnią i współtwórczością. Płynęły strumieniem dni rajskie, a tylko zły stan zdrowia Gracji przysłał czasem widnokrąg. Mimo dolegli-wości była wesoła, tała cierpienie, a ten nurt pod-ziemny podmywający jej życie przetwarzał się w jakiś dziwny urok.

Powtarzał ciągle:

— Kochana... kochana... kochana...

W słowie tem zawarte było wszystko.

Spokój ten trwał przez kilka miesięcy, a oni pewni byli, że potrwa do końca życia. Chłopiec, zdało się, zapomniał zupełnie o swym celu. Uwagę jego pochłonęło co innego. Niestety przypomniał sobie i wziął się na nowo do dzieła. Postanowił ten szatan widocznie rozłączyć matkę z Krzysztofem i roz-począł komedje na nowo. Nie miał żadnego określo-nego planu, ale powodował się z dnia na dzień wzra-stającą złościwością. Nie zdając sobie sprawy ze zła jakie czyni wprowadzał w pasję Krzysztofa i to mu sprawiało przyjemność. Dokazał wreszcie, iż Gracja zgodziła się opuścić Paryż i wyjechać daleko. Nie miała sił do oporu. Zresztą lekarze byli zdania, że zima spędzona w klimacie północnym może być bar-dzo dla chłopca niebezpieczną. Radzili Egipt.

Gracja osłabła zgębiona troskami lat ostatnich. Wyczerpały ją obawy o zdrowie syna, opanował smutek i znużyła ciągle myśl o zmartwieniach jakie sprawia przyjacielowi. Krzysztof nie chcąc przyczyniać jej męki, krył to, czego doznawał i z rezygnacją spo-glądał w przyszłość niosącą rozłąkę. Nie uczynił nic, by ją oddalić. Oboje udawali spokój, którego w nich nie było, ale owa wzajemna symulacja ułatwiała im znoszenie zła.

Nadszedł wreszcie dzień wyjazdu, wrześniowy, mglisty poranek. W połowie lipca wyjechali razem z Paryża i spędzili czas ostatni w Szwajcarii, w ho-telu położonym wysoko w górach, w pobliżu miej-scowości gdzie się przed sześciu laty spotkali.

Pogoda była fatalna, przez całych pięć dni Gracja nie mogła wychylić się na świat, z powodu ulewnego deszczu. W hotelu byli niemal sami, gdyż goście uciekli przed szarugą. Dnia ostatniego deszcz ustał, ale gęste chmury obległy widnokrąg. Dzieci jechały wraz ze służbą w osobnym powozie. Gracja wsiadła razem z Krzysztofem, który ją odprowadzał do punktu gdzie gościniec staczał się falistemi serpentynami ku granicy włoskiej. Mgła wdzierała się pod budę po-jazdu. Siedzieli przytuleni do siebie, nie mówili nic, nie patrzyli niemal na siebie. Ogarnął ich dziwny półbrzask, niewiadomo świtu, czy zmierzchu. Woal Gracji zwilgotniał na ustach od oddechu. Krzysztof ścisnął jej dłoń okrytą skórkową rękawiczką. Poehy-lali się ku sobie blisko, coraz bliżej ...i Krzysztof ucałował gorąco drogie, kochane wargi Gracji.

Niebawem powóz się zatrzymał, Krzysztof wy-siadł, a Gracja znikła we mgle. Dolatał go przez chwilę turkot kół i łoskot podkół po skalistym grun-cie. Mokre płachty oparów zwisały nad dolinami, z gęstwy koron drzew padały ciężkie krople. Cisza była bezwietrzna i martwa. Życie dławilo się ową gęstwą wodną, Krzysztof stał, a ramionami jego wstrząsał cichy, rozpaczny szloch. Przepadło wszystko... wszystko...

Po chwili nabrał w piersi owej dławiącej mgły, podniósł głowę i poszedł przed siebie. Nie przepadło nic dla człowieka, który nie przepadł sam w sobie.

* * *

Rozłąka wyolbrzymia potęgę istoty duchowej. Serce żywie tem co było mu drogim w ukochanym człowieku. Słowa dalekiego przyjaciela lecą echem z bezdni przeszłości, wyzwalając tętnienia jakieś urozyste, niezapomniane.

Pisywali do siebie, a listy ich znamionowały ludzi, którzy wolni już od niebezpieczeństw i prób miłości kroczą spokojnie ręką w rękę drogą dozgonnej przyjaźni. Gdy szło o to, by wesprzyć, każde z nich silnem było, gdy doznawało wsparcia czuło się słabem. To stanowiło ich moc, kierowali wzajem sobą i wspierali się naprzemian.

Krzysztof wrócił do Paryża. Postanowił wprawdzie nie czynić tego, ale postanowienie przyszło gdy wspomniał, że znajdzie tam cień Gracji, a okoliczności sprzymierzając się z tajnem pragnieniem jego, wbrew woli sprawiły, że stanął tam w obliczu obowiązku zgoła nowego, który spełnić musiał.

Koleta, wiedząca dobrze co się dzieje w sferach towarzyskich zawiadomiła go, że młody przyjaciel jego, Jerzy Jeannin zaczyna robić kapitalne głupstwa, a Żaklina zawsze słaba gdy szło o syna nie czyniła nawet wysiłków, by go powstrzymać. Zresztą sama przechodziła swego rodzaju kryzys i zajęta była wyłącznie sobą.

Od czasu smutnej przygody, która zniweczyła jej opinię i życie Oliwera, wiodła życie nader poprawne i ciche, niemal zakonne. Nie wdawała się z paryską śmietanką, która skazawszy ją z razu obłudnie na pewnego rodzaju wygnanie, teraz ponownie okazała jej swą przychylność. Żaklina odepchnęła owe dowody łaski. Nie uczuwała wstydu wobec tych ludzi, ani nie czuła się obowiązana do odpowiedzialności, albowiem wiedziała, że jest lepszą. To co uczy-

niła jawnie, otwarcie, czyniły wszystkie kobiety potajemnie, chytrze, kryjąc występki pod własnym dachem. Cierpiała jeszcze z powodu krzywdy, jaką wyrządziła mężowi, jednemu kochanemu człowiekowi. Nie mogła sobie darować, że zmarnotrawiła taki skarb, jak miłość jego, żyjąc w świecie nędznym i ubogim.

Skrucha owa i żal złagodniały z czasem, pozostał jeno tępy ból i korna samopogarda, oraz wyniosła obojętność dla ludzi. Pozatem przetrwała miłość dla syna, a uczucie owo, w którym złożyła wszystkie potrzeby swego serca czyniło ją pobłażliwą. Nie była w stanie stawić czoła zachciankom Jerzego, a chcąc znaleźć usprawiedliwienie wmawiała w siebie że w ten sposób naprawia krzywdę wyrządzoną Oliwerowi. Po okresach nadmiernej czułości następowały czasy zobojętnienia. Raz nękała syna drobiazgową, krępującą opieką, drugi raz znowu pozwalała mu na wszystko. Wiedziała, że jest złą wychowawczynią i czyniła sobie wyrzuty, ale nie zaprowadzała zmian. Ile razy (rzadko zresztą) próbowała zastosować oliwerowską metodę pedagogiczną, wynik bywał smutny, gdyż pesymizm duchowy męża nie odpowiadał ani jej samej, ani Jerzemu. W gruncie rzeczy chciała władać synem jeno zapomocą uczucia i miała rację, gdyż dwu tak odmiennych istot nie łączyły inne węzły prócz miłości. Jerzy Jeannin odczuwał czar fizyczny matki, lubił jej głos, ruchy, gesty, wdzięk i miłość, ale duchowo był jej obcym zupełnie. Spostrzegła to przy pierwszym zaraz odruchu jego duszy, gdy odbiegła od niej daleko.

Zdziwiła się, oburzyła i osądziła, że ma do czynienia z wpływem jakiejs kobiety. Chcąc to działanie zręcznie zniweczyć sprawiła, że syn stał się jej jeszcze bardziej obcy. W rzeczywistości żyli obok siebie, zajęci zgoła innemi troskami, łudząc się odnośnie do tego, co ich dzieli. Łączyły ich jeno zgoła powierzchowne sympatie i antypatie, z których nie zostało nic, w chwili gdy dziecko (będące istotą obojnaczą, przepojoną jeszcze kobiecością) stało się mężczyzną.

Żaklina uczuła gorycz i rzekła synowi:

— Nie wiem doprawdy w kogo się wdałeś? Nie masz nic wspólnego ani z ojcem, ani zemną!

Dała mu odczuć wyraźnie, że się różnią zasadniczo, a Jerzego przejęło to dumą, przepojoną tajemną jakąś gorączką.

Nie był on niczem wybitnym ani pod względem charakteru, ani też zdolności i nie przekraczał wcale szablону. Mimoto, bez wysiłków, w samych już początkach swej drogi stał o kilka stopni wyżej niż ojciec, który w ciągu swego krótkiego życia zdołał roztrwonić ogromną masę inteligencji i siły.

Gdy tylko oczy jego otworzyły się na światło rozumu, spostrzegł wokół siebie niezmiernie zwały chmur, przelśnione jaskrawymi promieniami. Ujrzał góry wiedzy i niewiedzy, wrogich i sprzecznych prawd i błędów, pośród których ojciec krążył z gorączkowym pośpiechem nie mogąc dać sobie rady. Jednocześnie uświadomił sobie, że posiada broń, jakiej brakło poprzednikowi, uczuł się mocnym. Skądże mu się wzięła owa moc? Było to tajemnicą nowego pokolenia, które zasnawszy w tych co minęli, budzi się, niby potok górski z wiosną i pędzi z szumem w dół.

Cóż miał począć z tą siłą swoją? Czy warto przedzierać się poprzez gęstwą wyobrażeń o świecie w jaką zaplątał się człowiek współczesny? Nie nęciło go to wcale. Czuł, że tutaj się tam groźne niebezpieczeństwa, które powaliły o ziem ojca jego. Miał iść w ten las, skłonny był raczej podpalić straszliwy ostęp. Rzucił spojrzenie w księgi mądrości i świętego szafu, które upoił się Oliwer. Poznał nihilistyczną litość Tolstoja, ponurą, niszczycielską duszę Ibsena, szaleństwo Nietschego, bohaterski, zmysłowy pesymizm Wagnera i odwrócił się od nich z gniewem i przerażeniem. Znienawidził pisarzy realistycznych, którzy przez ciąg półwiecza niweczyli radość życia w sztuce. Odróżnił się od nich, nie mógł jednakże wyjść z kręgu cienia, w którym upłynęło dzieciństwo jego. Nie oglądał się poza siebie, wiedział jednak, że cień ten za nim stoi. Był nadto zdrowy, by szukać

ucieczki przed niepokojem w ospałym zwątpieniu pokolenia, które minęło, odraża go więc przejął dyletantyzm Renana i Anatola Franca, będący zwyrodnieniem myśli, śmiechem bezradnym, ironią pozabawioną dostojeństwa. Uznał to za nikczemne środki, godne jeno niewolnika igrającego z łańcuchem dlatego, że go zerwać niema siły.

Miał tyle mocy, że nie wystarczało mu zwątpienie, zaś zdobyć się nie mógł na to, by powziąć pewność. Ale pragnął jej i tęsknił za nią z wielkim napięciem woli. Spekulanci popularności wiecznie starzy i ciągle ci sami, fałszywi potentaci literatury, czyhający ustawicznie na łup myśliciele, wyzyskiwali oczywiście owo pełne łaknienia wołanie, ów precudny, wzruszający, z głębin duszy idący krzyk o prawdę. Raz poraz zachwalał taki, stojący na estradzie cyrkowej szarlatan swój napitek będący lekiem na wszystko złe, przy tej sposobności miotając oszczerstwa na innych. Ale sekrety wszystkich posiadały tę samą wartość, bowiem żaden nie zadał sobie nawet trudu sporządzenia innej recepty. Nalewali ciągle z jednych, starych flaszek, w których zdawna nie było nic.

Jeden podawał za środek uniwersalny kościół katolicki, drugi monarchję dziedziczną, wreszcie trzeci tradycję klasyczną. Zdarzali się żartownisie zalecający nawrót do latynizmu, inni zaś wygłaszali nader szumne kazania imponujące głupcom, a w nich z całą powagą dowodzili władztwo ducha kontynentalnego. Niewiadomo co to być miało, równie dobrze bowiem można było sławić ducha insularnego, lub zamorskiego. W przeciwieństwie do barbarji Północy i Wschodu, mowcy ci osadzali potomków na tronie nowego cesarstwa rzymskiego.

Padaly słowa puste, bez treści, słowa stare wyprućnięte, w powietrzu latały kartki roztrzęsionej biblioteki. Jeannin wzorem swych kolegów biegał od jednego antykwarza do drugiego i przysłuchiwał się błazeństwu. Dając się skusić wechodził do tej, czy innej budy i wracał zawstydzony, świadom, że zmarnował pieniądze i czas na przysłuchiwanie się głup-

stwom i gapieniu na kłownów ubranych w stare, wyszarzałe trykoty. Był młody, a nadzieja jest u młodych tak silna, taka ich ożywia pewność osiągnięcia pewności, iż dawał się łapać każdemu, nowemu handlarzowi nadziei. Był typowym Francuzem, to jest obok skłonności krytykowania i analizy, posiadał wrodzone zamiłowanie porządku. Potrzebował przewodnika, a nie był w stanie znieść takiego opiekuna, bowiem bezlitosna ironja prześwietlała każdego nawskroś.

Czekał na kogoś, kto by mu dał rozwiązanie zagadki, a jednocześnie nie stało mu czasu na czekanie. Nie był jak ojciec, któremu wystarczało na życie mozolne poszukiwanie prawdy. Młodzieńcza moc parła go w życie, z dowodami, czy bez nich, chciał dojść do ostatecznego wniosku, do konkluzji, potem zaś wedle niej zacząć działać, przeistoczyć energię w czyn i wyrzucić ją z siebie. Podróże, rozkosze sztuki, muzyka, słowem to czem się dotychczas zajmował, były mu jeno przejściową namiętnością i rozrywką. Piękny, przedwcześnie dojrzały młodzieniec, wystawiony na wszelkie pokusy odkrył świat wraz z rozlicznymi jego uludami i rzucił się w wir z radością romantyczną, żądną zaspokojenia. Niebawem jednak znudziły się kobiety chłopcu dziecinnemu jeszcze, a już nienasyconemu i sięgającemu po wszystko. Pożądał czynu, a nie mogąc go inaczej wyzwolić, jął się sportu. Próbował różnych i zapoznał się z wszystkimi. Uczęszczał regularnie na turnieje szermiercze i boksowe; został szampionem francuskim w biegu i skoku, a także przywódcą jednej z grup futbolowych. Wraz z kilku wartogłowami, podobnymi sobie, siedł o lepsze w szybkości jazdy automobilem, nie cofając się przed niebezpieczeństwem skręcenia karku. Wreszcie porzucił wszystko dla nowej manji. Ogarnął go, jak wielu innych zresztą, szal awjacyjny.

Podczas uroczystości lotniczych w Reims płakał i wył wraz z trzystu tysiącami widzów czując, że stopił się w jedno z całym ludem ogarniętym radośnem uniesieniem fanatyka wiary. Ludzie-ptaki, przelatujący mu nad głową porwali go ze sobą w chmury.

Poraz pierwszy od czasu Wielkiej Rewolucji te zbite masy podniosły oczy w niebo i ujrzały, że się otwiera. Joannin oświadczył przerażonej Żaklinie, że przyłącza się do rzeszy zdobywców powietrza. Matka zaklinała go na wszystko, by zrezygnował ze sławy tego rodzaju, potem zakazała mu kategorycznie, ale Jerzy postawił na swoim. Krzysztof, w którym Żaklina spodziewała się znaleźć sprzymierzeńca, poprzestał na udzieleniu chłopcu kilku rad i uwag dotyczących ostrożności, a dając je, pewny był, że Jerzy nie zastosuje się do nich wcale. (Sam nigdyby nie był zdolny uczynić czegoś takiego). Nie przyznawał sobie zresztą prawa (nawet w razie możliwości) podwiązywania skrzydeł młodemu ptakowi i znieprawiania rozpędu sił, które musiałyby zmarnieć w bezczynie.

Żaklina nie mogła pogodzić się z faktem, że traci władzę nad synem. Wierzyła długo i uwierzyła, iż zrywa z miłością, tymczasem wyrzec się nie mogła — miłosnych marzeń. Każde jej uczucie było tem przepojone. Ileż matek przelewa za synów ów żar tajemny, nie ugaszony w małżeństwie, lub poza niem. A kiedy widzą z jaką lekkomyślnością syn odrzuca tę miłość precz, kiedy zrozumiały, że są mu niczem, wówczas doznają wrażeń zdrady i przechodzą kryzys podobny do katastrofy spowodowanej zdradą kochanka, do rozczarowania miłosnego. Żaklina była zdruzgotana ponownie, Jerzy nie zauważył nawet co się stało. Młodzi nie domyślają się nawet tragedji rozgrywających się wkoło nich, nie mają bowiem czasu zatrzymać się i spojrzeć. Nie chcą patrzeć, bo instynkt, egoizmu każe im kroczyć naprzód bez odwracania głowy.

Żaklina musiała sama rozprawiać się z nowym bolem i dokonała tego dopiero wówczas, kiedy cierpienie wyczerpało się wraz z miłością. Kochała i teraz syna, ale było to uczucie blade i tak jasnowidzące, iż pojmowało swą własną daremność, a temsamem traciło podłoże prawdy i zawisło w powietrzu. Przez cały rok żyła w głębokim smutku i opuszczeniu, a Jerzy nie zwracał na to wcale uwagi. Potem owo biedne serce, nie mogące żyć, ni umrzeć bez miłości

znalazło sobie realny przedmiot, bo tak się stać musiało. Zjawiała się namiętność, jakiej ofiarami stają się zazwyczaj kobiety dojrzałe, gdy nikt nie zrywa sozystego owocu ich ciała. Zdarza się to w pierwszej linii właśnie duszom szlachetnym i niedostępnym. Zaklina zapoznała się z kobietą, która, od pierwszego spotkania wywarła na nią dziwny, tajemniczy urok.

Była to zakonnica w równym z nią wieku, od-dana dobrym uczynom miłosierdzia. Rosła, zamazysta, nieco zażywna, miała smagłą cerę, piękne, wyraziste rysy, żywe oczy, szerokie, dobrze wyrysowane, ciągle uśmiechnięte usta i władczy gest głowy. Odznaczała się niezwykłą mądrością, wolną od nadmiaru uczucia, była zaś chłopką z Południa, znającą się na interesach, a fantazja jej, wyolbrzymiająca wszystko nie przeszkadzała wcale mierzyć spraw tego świata właściwą miarą. Stanowiła dziwną mieszaninę dostojnego mistycyzmu i wnikliwego, adwokackiego sprytu. Nawykła do rządzenia, wykonywała swą władzę w sposób prosty i praktyczny. Zaklina wpadła odrazu w jej sieć. Zapaliła się do akcji dobroczynnej, sądziła tak przynajmniej, ale siostra Angela wiedziała dobrze ku czemu skierowana jest ta namiętność. Nieraz już budziła takie uczucia, nie zwracając na nie z pozeru uwagi i umiała je z zupełną równowagą umysłu wykorzystywać na rzecz zamierzeń swoich, oraz ku tem większej chwale bożej. Zaklina oddała jej swe pieniądze, serce i złożyła w jej ręce swą wolę. Przez miłość stała się dobroczynną i wierzącą.

W ciągu krótkiego czasu, wszyscy spostrzegli urok jakiemu uległa, ona jeno sama nie zdawała sobie z tego sprawy. Opiekun Jerzego zakłopotał się nie na żarty takim odwrotem rzeczy, a nawet sam chłopiec, zanadto wspaniałomyślny i nierozważny, by interesować się sprawami pieniężnymi spostrzegł się, w którą złowiono matkę. Zabolało go to bardzo, i starał się, niestety po niewczasie, nawiązać serdeczny stosunek. Przekonał się, że go odcięła od Zakliny żelazną kurtyną, a przypisując to tajemnemu wpływowi powziął niechęć do intrygantki, jak zwał siostrę An-

gełę, a także do matki. Nie krył się z tem i walczył przeciw tej, która mu skradła miejsce w jej sercu, do którego miał przyrodzone prawo. Nie wiedział, że zajęła jeno miejsce puste, które sam porzucił, a miast zręcznego usiłowania odrzucił a miast zręcznego usiłowania odzyskania go popełniał codziennie błędy i ranił Zaklinę. Doszło do scen gwałtownych i ostrych słów pomiędzy matką i synem, bowiem oboje byli popędliwi i rozłam pogłębił się bardzo. Siostra Angela umacniała się z dniem każdym na swem stanowisku, a Jerzy, któremu zostawiono wolność zupełną, kroczył dalej manowcami.

Rzucił się w wir szaleńczy, został marnotrawcą, zgrał się kilka razy strasznie, a czynił to wszystko z pewną dumą, popełniał głupstwa z taką ostentacją, jakby chciał przeciwstawić je głupstwu popełnionemu przez matkę. Znał rodzinę Stevensów-Delestrade. Koleta zwróciła uwagę na ślicznego chłopaka, spróbowwała też na nim działania swych wdzięków, które posiadały dotąd wielką siłę atrakcyjną. Wiedziała o szaleństwach Jerzego i bawiły ją. Ale mimo lekko-myślności swej i braku skrupułów, Koleta była kobietą dobrą, toteż zważywszy niebezpieczeństwo zagrożające rozbrykanemu młodzikowi, pewne, że sama nie zdołała go uchronić, wezwała Krzysztofa, który się też zjawił niezwłocznie.

* * *

Sam tylko jeden Krzysztof miał pewien, ograniczony zresztą i niepewny wpływ na Jerzego. Było to tem ciekawsze, że nie dało się należycie wytłumaczyć. Krzysztof zaliczał się do pokolenia minionego, które młodzi zwalczyli z wielką zaciętością. Był jednym z wybitnych przedstawicieli tej, przejętej cierpieniem epoki, której niecierpieli, której nie ufali zarówno na polu sztuki, jak i poglądu na świat. Niedostępny nowym ewangeljom, nie wrażliwy na amulety nowych proroków i szalbierzy, którzy podawali młodym gotowe recepty na wyzwolenie Francji, Rzymu i wogóle

świata, pozostał wiernym wierze wolnej, nie troszczącej się o wyznanie, bezpartyjnym i obcym wszelkiemu szowinizmowi naradowemu. Była to wiara staromodna, lub jeszcze przez modę nie zaakceptowana. Nie obchodziły go zgoła zagadnienia narodowe, żył w Paryżu jako cudzoziemiec, a działało się to w czasie kiedy każdy naród uważał obce krajowców za dzikich barbarzyńców. Dziwnem przeto było zjawiskiem, iż młody Jeannin, w gruncie rzeczy miał szacunek dla jednego jeno człowieka, to jest dla Krzysztofa. Uczucie owo, zaiste niezwykle wydawać się mogło u chłopca wesołego, lekkomyślnego, instynktownie unikającego smutku i powagi, żadnego użycia, oddanego grze, omotanego do cna pustą retoryką swego wieku, a wreszcie rozkochanego w sile fizycznej, sportach, rozleniwionego duchowo i skłaniającego się (niewiadomo czemu) ku brutalnym poglądom nacjonalistycznej, a nawet rojalistyczno-imperjalistycznej „*Action française*”. Kierowany subtelnym odczuciem odziedziczonym po rodzicach, oraz wcześniej poczynionymi doświadczeniami wiedział (co mu zresztą nie psuło humoru) że świat bez którego obejść się nie jest w stanie wart niewiele, a Krzysztof stoi wysoko ponad owym światem.

Daremnie oszałamiał się ruchem i akcją. Nie mógł zaprzepaścić w sobie ojcowskiego dziedzictwa, owego nieokreślonego niepokoju, nawiedzającego go często niby atak duchowy. W chwilach takich uczuwał, że koniecznem jest określić sobie jasno cel życia i działania. Może odziedziczył po ojcu również ów pęd tajemny, pracy go ku człowiekowi, którego kochał Oliwer.

Przychodził do Krzysztofa, a będąc potrochu gadatliwym zwierzał mu się z wszystkiego. Nie dbał wcale czy Krzysztof ma czas go słuchać, a Krzysztof słuchał ochotnie nie dając poznać zniecierpliwienia. Zdarzało się tylko, że bywał roztargniony kiedy Jerzy wizytą swą przerwał mu pracę. Jeno małą chwilę trwała owa nieuwaga, ów odskok w głąb, w celu wzbogacenia dzieła tworzącego się w jego duszy,

potem wracał do Jerzego, który nie spostrzegł nawet jego nieobecności. Takie momenty nieobecności sprawiały mu nawet przyjemność, wyobrażał sobie bowiem, że odchodzi cicho, na palcach i wraca, a nikt go nie słyszy. Ale pewnego dnia zauważył to Jerzy i rzekł z wielkiem oburzeniem:

— Ależ pan mnie nie słucha!

Krzysztof zawstydził się wielce, pokornie zaczął śledzić tok opowiadania swego niecierpliwego gościa i wyteżył uwagę, by go zaspokoić. To co mówił nie było pozbawione komizmu i słuchając o zbytkach Jerzego roześmiał się parę razy, gdyż mówił z rozbijającą otwartością.

Ale nie zawsze mu było wesoło. Często wstrząsało nim oburzenie. Nie był on świętym i nie rościł sobie prawa do kazań moralnych. Nie raziły go tak bardzo przygody miłosne i niesłychana rozrzutność chłopca, jak owa niezmierna lekkomyślność w ocenie własnych błędów. Nie odczuwał ich wagi, nie czuł się winnym i wszystko wydawało mu się naturalnem. Miał inny niż Krzysztof pogląd na moralność. Zaliczał się do pokolenia młodych, uważających sprawę płciową jeno za zabawkę bez znaczenia pozbawioną wszelkiego charakteru etycznego. Pewnego rodzaju pobłażliwość i bez troską nonszalancję uważali za dostateczne wyposażenie dla człowieka uczciwego. Żadnemu z nich nie przyszłoby do głowy trapić się skrupułami, których brzemień odczuwał Krzysztof, toteż na koniec rozgniewał się. Wszelkich używał ostrożności, by nie narzucać młodemu przyjacielowi swego sposobu odczuwania, ale cierpliwości mu brakło, sam był bowiem popędliwy i napół jeno okiełznany. Raz pórąz wybuchał i uważając niektóre postęпки Jerzego za świństwa mówił mu wprost co o nich sądzi. Jerzy się gniewał, przychodziło do scen gwałtownych, poczem nie widywali się całymi tygodniami.

Krzysztof uświadamiał sobie, że gwałtownością nie zmieni postępowania Jerzego i że jest do pewnego stopnia niesprawiedliwym, chcąc mierzyć moralność jednego pokolenia sprawdzianem etycznym pokolenia

innego. Ale nie mógł się przewyciężyć i za następnym widzeniem działało się to samo. Czyż podobna zwątpić w to, czem się żyło? Z tą samą racją możnaby zrezygnować z samego życia. Pocóż zmuszać się do myśli obcych i obojętnych? Czy dlatego, by być podobnym do sąsiada, lub iść mu na rękę? Znaczyłoby to tyle co niweczyć samego siebie bez pożytku dla drugich. Pierwszy obowiązek to być tem czem się jest i posiadać odwagę nazwania wedle własnego poglądu rzeczy złemi i dobremi. Większą się czyni przysługę słabym, będąc silnym, niż upadabniając się do nich.

Jerzy nigdy nie pytał Krzysztofa jak ma postąpić (sam się nad tem pewnie nie zastanawiał wcale), opowiadał mu tylko o fakcie dokonanym. Cóż miał tedy czynić Krzysztof? Poprzestawał na spojrzeniu z wyrzutem w oczy winowajcy i wzruszeniu ramionami, niby stary wujaszek, który wie że nikt sobie zeń nic nie robi. Jerzy wpatrywał się w oczy Krzysztofa patrzącę skądś z bardzo daleka i czuł, że jest w stosunku do niego małym urwisem i że przyjaciel przenika go na wylot. Toteż wyczytawszy szyderstwo pokorniał zawsze i milkł, mimo że Krzysztof wywnętrzeń owych nie wykorzystywał nigdy przeciw penitentowi i często wydawało się, że ich wcale nie słyszy.

Bywało najczęściej tak, że Krzysztof zamyślał się na chwilę, potem wstrząsał głową i zaczynał opowiadać historyjkę nie związaną pozornie z przedmiotem rozmowy. Była to opowieść wzięta z własnego życia, albo wymyślona, a Jerzemu ukazywał się sobowtór w sytuacji śmiesznej, lub przykrej, w którą zapędziło go wałęsanie się po manowcach. Poznawszy siebie samego drwił i śmiał się z marnej figury, mimo, że Krzysztof nie dodawał żadnych objaśnień i morałów.

Dobroduszość i pełna mocy życzliwość opowiadającego oddziaływała silniej jeszcze niż sama historia. Mówił o sobie i innych z tą samą obiektywnością, weselem i pogodą i ten spokój imponował Jerzemu. Szukał on u Krzysztofa tego właśnie spo-

koju, a wypowiadawszy się z grzechów, doznawał uczucia jakie ma człowiek wyciągnięty na murawie w cieniu wielkiego drzewa podczas przejaskrawionego słońcem, upalnego dnia. Czuł spokój i ochłodę nakryty potężnymi konarami. Znalazłszy się obok tego człowieka dźwigającego w pokoju ducha brzemień całego życia, był zabezpieczony przed własną newrozą. Gdy go słuchał, odpoczywał. Czasem nawet nie słuchał, błądził myślami po świecie, ale gdziekolwiek się znalazł szedł za nim pogodny śmiech Krzysztofa.

Nie odczuwał skojarzeń idei przyjaciela. Był mu zgoła obce. Zadawał sobie pytanie, w jaki sposób znosić on może swe duchowe osamotnienie, nie łącząc się z żadnem stronnictwem artystycznym, politycznem, czy religijnem, nie przystając do żadnej z grup ludzkich. Spytał pewnego dnia, czy nie doznaje ochoty przyznania się do wspólności z jakimś stronnictwem.

— Jakto? — zdziwił się — Mamże się odciąć w ten sposób od reszty świata? Czyż uważasz, że wolność to rzecz zła? Jakże możesz nawet wpaść na taki koncept człowieku żyjący w powietrzu, nie tykający ziemi?

— Ciało, a dusza to zgoła co innego! — odparł Jerzy — Duszy konieczna jest pewność. Musi ona myśleć wspólnie z innymi i trzymać się zasad uznanych przez ogół społeczeństwa danego wieku. Zazdroszczę też ludziom czasów minionych, z okresu klasycyzmu. Przyjaciele moi mają rację, chcąc wskrzesić przecedny stan rzeczy z przeszłości.

— Strachopłocie! — zawołał Krzysztof — Więc stałeś się aż tak płochliwy?

— Nie jestem wcale płochliwy! — zapewnił — Wszysey posiadamy odwagę.

— Jakoś mi się nie zdaje! Wszakże boicie się samych siebie. Jakże to? Potrzeba wam nowego porządku rzeczy, a nie śmiecie go stworzyć? Musicie się trzymać poły pradziadka? Cóż u licha... kroczyć własną drogą!

— Trzeba się gdzieś zakorzenieć! — zawołał Jerzy, z dumą używając jednego z hasel swego czasu.

— Ha?... Czyż drzewa chcące się zakorzenieć potrzebują wazonów? Ziemia jest do dyspozycji wszystkich. Spuść w nią swój korzeń, znajdź własne prawa... poszukaj ich w sobie... i basta!

— Brak mi czasu — odparł Jerzy.

— Boisz się! — zawołał Krzysztof.

Jerzy zaprzeczył w sposób popędliwy, ale po chwili pzzynał, że nie ma zgoła ochoty spojrzeć w głąb samego siebie. Nie mógł pojąć, by komuś sprawiało przyjemność zagłębienie w ową czarną otchłań, w którą pochyliwszy się zanadto, można łatwo wpaść.

— Wezmę cię za rękę! — powiedział Krzysztof, któremu sprawiało uciechę rozwieranie drzwi, nakrywających tragiczną pułapkę realistycznego światopoglądu. Ale Jerzy cofnął się z drżeniem, a Krzysztof zaśmiał się i opuścił kłapę.

— Jakże pan może żyć w ten sposób? — zapytał.

— Żyję i czuję się szczęśliwym! — odrzekł Krzysztof.

— Umarłbym, gdyby mnie zmuszono spoglądać na to ciągle.

Krzysztof poklepał go po ramieniu:

— I to mówi wielki atleta jutra!... Zresztą nie patrz, jeśli się nie czujesz bezpiecznym. Nic cię do tego ostatecznie nie zmusza. Kroczyć naprzód młodzieńcze, ale na cóż ci pana, któryby ci wycisnął na łopatkę stempel, niby wołowi. Jakiegoż czekasz hasła? Sygnał dawno dany, otrąbiono już wsiadanego, jazda ruszyła. Myśl o własnym jeno koniu. Galop... równaj szereg!

— Dokądże pędzimy? — spytał Jerzy.

— Tam, gdzie zmierza szwadron, na zdobycie świata. Opanujcie powietrze, ujarzmiajcie żywioły, dotrzyjcie do najtajniejszych zakamarków przyrody,

rzucicie pomost poprzez pustkę, wygnajcie ze świata śmierć...

Expertus vacuum Daedalus aera...

Cóż, panie łacinniku, znasz to? Czyż jesteś w możności powiedzieć mi, co to znaczy:

Perrupit Acheronta...

Oto wasz los szczęśliwi conquistadores.

Krzysztof tak jasno przedłożył mu obowiązek bohaterskiego czynu spoczywający na młodem pokoleniu, że Jerzy spytał zdziwiony:

— Jeśli pan tak czujesz, czemuż nie połączysz się z nami?

— Bowiem inne mam zadanie. Idź młodzieńcze i kończ dzieło twoje, idź dalej niż ja, wyprzedź mnie jeśli zdołasz. Ja pozostanę tu na straży. Czy znasz opowieść z tysiąca i jednej nocy o demonie wielkim jak góra, zamkniętym we flaszcze i zapieczętowanym pierścieniem Salomona? Demon ten spoczywa na dnie duszy naszej, w którą boisz się spojrzeć. Współcześni moi i ja sam spędziliśmy życie na walce z tą duszą. Nie my ją, lecz ona nas zwyciężyła. Teraz i my i ona odpoczywamy, spoglądając na siebie bez gniewu i trwogi, czekając chwili ukończenia zawieszenia broni, zadowoleni z walk stoczonych. Skorzystajcie i wy z tego chwilowego pokoju, wzmóście się na siłach i wchłońcie w siebie piękno świata. Bądźcie szczęśliwi i nasyćcie się ciszą. Ale nie zapominaście, że pewnego dnia wy, czy synowie wasi muszą wrócić do punktu, na którym stoją, by zacząć nowe zwycięstwa i rozpocząć bój z tem, u boku czego ja czuвам. Taka walka z przerwami będzie trwać ciągle, aż do czasu, kiedy jedna ze stron, lub obie zostaną zgładzone. Bądźcież mocarniejsi i szczęśliwsi od nas... Tymczasem jeśli chcesz, uprawiaj sport, czyni twę serce i mięśnie wojowniczymi i nie marnuj w szaleńczym rozpędzie siły swej na głupstwa, gdyż bliski jest może czas, (nie burz się... słuchaj) bliską chwilą, w której ci siły tej będzie potrzeba.

* * *

Jerzy nie korzystał wiele z tego, co usłyszał od Krzysztofa. Miał umysł otwarty i zdolny do wchłonięcia myśli przyjaciela, ale ulatywały one zaraz i ginęły bezpowrotnie. Zaledwo zszedł po schodach, nie pamiętał ani słowa, pozostawało mu jeno wrażenie ciszy i pogody, nie wiedział atoli co je wytworzyło. Miał dla Krzysztofa wielki szacunek, nie wierzył, co prawda, w to w co wierzył przyjaciel (zasadniczo kpił z wszelkiej wiary) gośbów był jednak rozwalić łeb temu, ktoby się śmiał źle wyrazić o Krzysztofie.

Na szczęście nie miotano wobec niego oszczerstw, gdyż byłby miał dużo do czynienia.

Krzysztof przeczuł bardzo trafnie, w jakim kierunku powieje wiatr w najbliższym czasie. Ideał muzyczny młodej Francji bardzo stał się odmienny od jego poglądów. Krzysztofowi dało to jeno nowy asumpt do sympatyzowania z nowatorami, ale oni nie żywili dlań zgoła takichże uczuć. Posiadał uznanie publiczności, przeto młoda, żadna sławy generacja nie mogła go kochać. Wyznawcy nowych haseł posiadali przywilej dłuższych mieczów i większej jadowitości i korzystali z tego, ale złośliwość ich nie czyniła na Krzysztofie wrażenia.

— Złuszczą się! — mówił — Krzyczą! Ano, to, widać malcy zaczynają ząbkować.

Wolał ich nawet od owej sfory młodych piesków, które łasiły się doń, merdając ogonami i powtarzał za Aubignym: „Kiedy stary pies wyjmie łeb z garnka masła, małe psiaki oblizują mu wąsy tytułem gratulacji!

Pewnego razu nabyła Opera jeden z jego utworów i zaraz rozpoczęto próby. Krzysztof dowiedział się z artykułu dziennikarskiego napadającego nań, że odsunięto na potem dzieło pewnego, młodego kompozytora francuskiego, by zrobić miejsce dla niego. Dziennik czynił za to odpowiedzialnym Krzysztofa i oskarżał go o nadużywanie swego autorytetu. Krzysztof udał się tedy do dyrektora i powiedział:

— Nie zawiadomił mnie pan o stanie rzeczy. Tak być nie może. Proszę wystawić naprzód operę, którą pan przyjąłeś przed moją.

Dyrektor zaperzył się, potem roześmiał, nie chciał się zgodzić, obsypał pochwałami Krzysztofa i jego talent, zaś o utworze francuskim wyraził się w sposób nader pogardliwy, twierdząc, że nic nie wart i nie przyniesie żadnego dochodu.

— Czemuż go pan tedy przyjął? — spytał Krzysztof.

— Nie zawsze można czynić to, co się chce. Trzeba czasem udawać, że człowiek ulega opinii publicznej. Dawniej młodzi kompozytorowie mogli sobie krzyczyć do woli i nikt ich nie słuchał, dzisiaj trafiają do prasy nacjonalistycznej, która obrzuca błotem i mianuje zdrajca narodu tego kto się nie zachwyca młodą szkołą... Młoda szkoła... Ha... ha... powiedziawszy prawdę... to głupstwo wierutne... Mam ich potąd... Publiczność kpi sobie z nich także. Zarzynają nas swemi: *oremusami*. Nie mają krwi w żyłach... Podobni zakrystjanom służącym do mszy, komponują duety miłosne, brzmiące jak: *de profundis*. Gdybym był tak głupi, by wystawiać sztuki jakimi mnie zaspypują, zszedłbym wraz z teatrem na psy! Przyjmuję ich utwory i basta, nikt więcej domagać się przecież odemnie nie może. Pomówmy teraz serjo... Pańskie utwory idą szalenie i widownia zawsze jest wysprzedana do ostatniego miejsca.

Zaczął na nowo prawić komplementy.

— Nie godzę się! — odparł Krzysztof — Jestem stary i dokazałem swego, ale nie dam się użyć za narzędzie gnębienia młodych. Gdy byłem młody cierpiałem przeto nieraz. Proszę wystawić operę francuską, albo wycofam mój utwór.

Dyrektor chwycił się za głowę i zawołał:

— Jeśli uczynię to co pan chce, powiedzą, żeś się pan dał zastraszyć nagonce dziennikarskiej!

— Nic mnie to nie obchodzi!

— Dobrze... niech będzie, ale przewiduję, że sam pan źle na tem wyjdzie!

Rozpoczęto próby utworu młodego kompozytora, nie przerywając prób Krzysztofa. Jego opera miała trzy akty, francuska dwa, postanowiono przeto, że obie dane będą jednego wieczoru. Krzysztof rozmówił się ze swym protegowanym, chcąc mu pierwszy przynieść dobrą wieść. Młodzieniec rozpyływał się w przysięgach dozgonnej wdzięczności.

Dyrektor dołożył starań, by opera Krzysztofa dostała jaknajlepszą oprawę, na czem nieszczególnie wyszedł utwór młodzieńca. Nie mógł on temu przeszkodzić, bo nie wiedział zgola co się dzieje. Był jeno na kilku próbach francuskiej sztuki i przekonał się, że była zgola przeciętna, jak to mówił dyrektor. Udzielił mu paru rad, ale gdy zostały źle przyjęte, Krzysztof przestał się tem interesować. Natomiast dyrektor postawił ultimatum znacznych skreśleń, grożąc, że utworu nie wystawi inaczej. Autor zgodził się bardzo ochotnie, ale uczuł się dotkniętym.

Opera młodzieńca nie odniosła żadnego sukcesu, natomiast rzecz Krzysztofa wywarła ogromne wrażenie. Rzuciła się nań prasa szowinistyczna upatrując w całej sprawie szalbierszy trick, oraz sprzyśnięcie przeciw sztuce narodowej. Umyślnie pokiereszowano dzieło Francuza, by dodatnio wypadł utwór Niemca, który jął się niskiej metody przez zawzięcie chęci unicestwiania młodego prącego się naprzód talentu.

Krzysztof wzruszył ramionami i pomyślał:

— On sam na to odpowie.

Ale nie odpowiedział, tedy Krzysztof posłał mu wycinek z gazety z zapytaniem:

— Czy pan to czytał?

Młodzieniec odpisał:

— Bardzo mi przykro! Dziennik ten był zawsze tak taktowny wobec mnie. Naprawdę bardzo mi przykro. Najlepiej może nie zwracać na to uwagi i basta.

Krzysztof roześmiał się i pomyślał:

— Może ten młody łotrzyk ma rację?

I rzucił całą sprawę w „kął zapomnienia“ jak go nazywał.

Ale zdarzyło się, że Jerzy, który przerzucał jeno pobieżnie dzienniki, nie czytając nic poza kroniką sportową, niespodzianie natrafił na owe oszczercze zarzuty. Znał autora artykułu, poszedł do kawiarni gdzie bywał stale, zastał go, dał mu w twarz, wyzwał na pojedynek i przebił mu na wylot ramię szpadą.

Nazajutrz przy śniadaniu dostał Krzysztof od znajomego list z wiadomością o tem co się stało. Wpadł w złość, nie dokończył śniadania i pojechał do Jerzego. Jerzy sam otworzył mu drzwi. Krzysztof wpadł jak burza, porwał go w ramiona, zaczął nim trząść i zasypał wyrzutami.

— Smarkaczu! — wołał — Bileś się o mnie! Któż cię do tego upoważnił? Urwipolciu jeden, dzieciuchu! Pocóż mieszasz się w nieswoje sprawy. To moja rzecz osobista! Takiemu łotrzykowi czynisz zaszczyt pojedynku? Właśnie o to mu szło! Zrobiłeś go bohaterem ośle jakiś! A gdyby przypadek zrządził... wiem, że jesteś szalony i nabijasz się sam na ostrze przeciwnika... gdyby cię ranił... gdyby cię zabił na śmierć! Smarkaczu... wartogłowie... nie darowałbym ci tego do ostatniej chwili życia!

Jerzy śmiał się do rozpuku, a słysząc te ostatnią pogrozkę począł się wic w napadzie szaleńczej wesołości.

— Jakieżś śmieszny, drogi przyjacielu! — zawołał — Ach... naprawdę jesteś nieoceniony. Wyklinasz mnie za to, że cię bronił. Tedy całowałbyś mnie w razie gdybym na cię napadł.

Krzysztof zamilkł, otoczył chłopca ramieniem, pocałował kilka razy w oba policzki i rzekł:

— Przebacz chłopcze! Prawda! Jestem stary cap! Ale zrozum, że ta wiadomość doprowadziła mnie do szaleństwa. Cóż za dziki pomysł bić się o mnie? Któż staje do walki ze szmatławym dziennikarzem? Musisz mi przyrzec, że nie popelnisz już takiego głupstwa!

— Niczego nie obiecuję! — odparł Jerzy — Robię zawsze co mi się podoba!

— Zabraniam ci... rozumiesz! — krzyknął Krzysztof — Jeśli się to powtórzy, zerwę z tobą! Ogłoszę publicznie w gazetach, że nie mam z tobą nic wspólnego... Zrobię jeszcze więcej...

— Wydziedziczysz mnie... rozumiem!

— Słuchaj Jerzy! — błagał — Proszę cię bardzo... Cóż to ma za cel?

— Drogi, stary przyjacielu! — odrzekł Jerzy — Jesteś tysiąc razy więcej wart odemnie i więcej nie-równie wiesz, ale przebaczone... tę hołotę znam lepiej niż ty. Bądź pewny, że ta nauczka przyda się na coś. Zastanowią się teraz dobrze zanim wystąpią z oszczerstwem...

— Gwizdę na ich pisaninę! Nie mnie to nie obchodzi!

— Ale obchodzi mnie! Zajmuj się drogi przyjacielu swymi sprawami i nie wtrącaj się do moich...

Od tego dnia Krzysztof drżał z obawy, by nie pojawiła się jakoś nowa napaść, któraby do pasji doprowadzić mogła chłopca. Z komiczną wprost wytrzymałością przesiadywał w kawiarni i wertował dzienniki, w razie jakiejś obraźliwej notatki gotów na wszystko (może na tchórzliwe ukorzenie się nawet oileby nie było innej rady) byleby wiadomość nie doszła do Jerzego. Po tygodniu uspokoił się. Chłopak miał rację. Postępek jego zatkał pysk oszczercom. Mruczał jeszcze na szaleńca, ale doszedł do przekonania, że nie ma prawa udzielać mu rad na życie praktyczne. Przypomniawszy sobie też, że nie tak dawno, sam bił się w obronie Oliwera i wydało mu się, iż słyszy głos przyjaciela:

— Wszystko w porządku Krzysztofie. Oddaję ci tylko dług zaciągnięty.

* * *

Krzysztof nie brał sobie zgoła do serca napaści, ale Emanuel nie zdolny był do tego rodzaju pogardliwej obojętności.

Myśl europejska kroczyła szybko naprzód. Zdawało się, że chyżości dodają jej wspaniałe odkrycia techniczne i zadziwiające motory. W ciągu lat pięciu skonsurowano zapas przesądów i nadziei, któryby na innym czasie starczył na dwudziestoletni co najmniej okres na wyżywienie ludzkości. Pokolenia ducha galopowały jedne za drugimi, przeskakując się nawet często. Emanuel został prześcignięty. Poeta, głoszący odnowę francuskich sił żywotnych nie zapierał się nigdy idealizmu mistrza swego, Oliwera. Mimo namiętnego nacjonalizmu swego nie porzucał nigdy szranków obyczajności i szacunku dla rzeczy wielkich. Wierzył, że Francja właśnie jest wyobrazicielką najwyższą myśli prawdziwej Europy, ową Nike-Ateną zwycięstwem sprawiedliwości wyrosłej z łona siły. I wzajem, siła owa przepojona sprawiedliwością była mu ideałem namiętnej niezaprzeczalnej prawdy. Młode pokolenie, silne czekało walki, uważając się za góry za zwycięscę. Pyszniło się swymi muskułami, szeroką piersią, silnie rozwiniętymi zmysłami, żądnymi użycia oraz krogulczymi skrzydłami, zdatnymi do lotu ponad rozłogiem ziemi. Bohaterowie rasy rwali się do szalonych wypraw ponad Alpami i morzem, podróży po niesiężnych pustyniach afrykańskich i owe modernistyczne wyprawy krzyżowe, nie mniej mistyczne od dawnych opętały umysły wszystkich. Szaleńcom tym nie wiedzącym co wojna prawdziwa, znającym ją z książek tylko nietrudno było stroić ją w piękne szaty. Stawali się coraz to zaczepniejsi, znużeni po kojem i myśleniem zaczęli tłuc w kowadło bojowe pewni, że niedaleki czas, w którym wykuty zostanie nowy kształt francuskiej potęgi. Przeciwnaduzyciom ideologii postawili nowe wyznaczenie wiary, pogardę wszelkiego ideału. Ogarnięci kultem faktów rzeczy wistych popadli w bezwstydną egoizm narodowy, pozwalający na deptanie nogami praw narodów innych o ile to jest z korzyścią dla własnego kraju. Stali się wrogami zagranicy, antydemokratami, nawet najmniej wierzący propagowali nawrót do katolicyzmu, a czynili to z motywów praktycznych, by skanalizo-

wać wszystkie żyły wód ducha i nieskończoność zamknąć we fortacy autorytetu.

Nie poprzestając na nienawidzeniu naiwnych gadułów, obrońców praw człowieka i idealistycznych marzycieli niedawnej przeszłości uznali ich za niebezpiecznych dla państwa i tępił bezwzględnie. W oczach tych młodzieńców niebezpiecznym był również Emanuel.

Wiedząc, że Krzysztof podobnie jak on, a nawet w znaczniejszej jeszcze mierze jest ofiarą tej niesprawiedliwości uczuł dlań sympatię. Odstraszył Krzysztofa od wizyt niegrzecznym swym zachowaniem, a duma nie pozwalała mu uczynić kroku, któryby można sobie było wytłumaczyć jako skrucę i propozycję wznowienia stosunków. Spotkali się nibyto przypadkiem i sprawy tak się ułożyły, że nadwrażliwy Emanuel uspokoił się. Teraz nie potrzebował już tań radości, jaką mu sprawiały wizyty Krzysztofa. Schodzili się często w jednym z mieszkań. Emanuel zwierzył się Krzysztofowi ze swego utrapienia, jakiego doznawał skutkiem nieprzychylniej krytyki. Krzysztof nie oburzał się, zdaniem jego, dostatecznie, przeto dał mu owe recenzje do czytania. Zarzucano w nich Krzysztofowi, że niema pojęcia o zasadniczych podstawach sztuki muzycznej, nie wie zgoła co harmonja, okrada innych kompozytorów i bezczęści wprost muzykę. Zwano go poprostu szalonym rzepołą i powiadano:

— Mamy dość opętańca! My jesteśmy wyobraźciami rozsądku i klasycznej równowagi!

— Taki już porządek świata, — odpowiadał Krzysztof spokojnie. — Młodzi sprawiają pogrzeb starym. Coprawda, za moich czasów czekano aż ktoś osiągnie sześćdziesiąt lat zanim się go traktowało jako nieboszczyka. Dziś sprawa posuwa się szybciej daleko. Żyjemy w czasie telegrafu bez drutu i aeroplanów, więc pokolenie młode prędzej się nuży. Biedakom brak czasu. Niechże więc pomiatają nami dowoli, samym jeno sobie przypisując prawo rozkoszowania się słońcem sławy.

Ale Emanuel nie posiadał fizycznej i moralnej odporności Krzysztofa. Śmiały gdy szło o myślenie, był jednocześnie ofiarą chorych nerwów swoich. Płomienna dusza tkwiąca w ułomnem ciele łaknęła walki, ani toczyć boju nie była w stanie. Wrogi sąd prasy dotykał go też bardzo boleśnie.

— Ach! — mówił — Pewny jestem, iż wstydziłoby się swego zawodu krytycy, gdyby wiedzieli ile złego przynosi artyście i ile mu krzywdy czyni takie lekkomyślne, na oślep rzucone niesprawiedliwe zdanie.

— Niestety, drogi przyjacielu — odpowiadał Krzysztof — takie jest już założenie ich życia, a ostatecznie każdy musi czemś żyć.

— Są to istne katy! — upierał się Emanuel — Artysta wyczerpany jest walką z życiem, dalej bojąc się wianiem z własną sztuką, a oni, miast podać dłoń pomocną i o niedomaganiach wyrażać się litośnie, miast starać się po bratersku usunąć je, stoją z rękami w kieszeniach, przypatrując się temu, który z móżolem wspina się na szczyt i powiadają; — On nie ma sił! — Gdy widzą kogoś na szczycie, wołają: — Tak, on jest na szczycie, ale dostał się tam w sposób niewłaściwy! — Inni zaś twierdzą: — Tedy nie zdołał osiągnąć wyżu, to błąd! — Dobrze jeśli jeszcze nie rzucają kamieniami, by wędrownika przywieść do upadku!

— Ba! — odparł Krzysztof — I pośród krytyków napotykamy czasem ludzi uczciwych, którzy robią dużo dobrego. Parszywe owce znajdują się wszędzie. To nie jest związane z zawodem. Powiedz sam, czy znasz coś gorszego, niż zarozumiałego, zgorzkniałego artystę, pozbawionego dobroci serca, którego mu cały świat wydaje się jeno łupem i wścieka się, że łupu tego nie jest w stanie połknąć odrazu. Trzeba się uzbroić w cierpliwość. Wszelkie zło służyć może do dobrych celów. Najgorszy krytyk może być artysty trenerem, naganiaczem, który nie dozwala mu próżniaczyć i zakładać rąk. Ile razy zdaje nam się, żeśmy bliscy celu, napada na nas z tyłu nagonka...

i pędzi naprzód, dalej, wyżej! Znuży się ona tym pościgiem, zaręczam, dużo prędzej niżli my kroczeniem naprzód. Przypominam sobie też arabskie przysłowie: „Nikt nie napastuje drzew” jałowych, kamieniami obrzuca się jeno korony obciążone pozłocistym owocem”. Należy żałować artystów, których krytycy szczędzą, bo grzęzną niezawodnie w pół drogi, a gdy chcą na nowo wstać i iść, sztywne i odrętwiałe nogi wypowiadają im służbę. Niech żyją, przyjaciele moi-wrogi moje! Uczynili mi w życiu dużo więcej dobrego, niż wrogi-przyjaciele moi!

Emanuel nie mógł się powstrzymać od uśmiechu.

— Czyż to jednak sprawiedliwe, — powiedział — by takiego, jak ty weterana moralizowali z kazalnicy rekruty, stojące dopiero do pierwszej potyczki?

— Bawi mnie to! Arogancja owa i zuchwałość, to oznaka gorącej krwi i żądzy przelania jej w zapasach. Ja sam taki byłem ongiś!... To grad marcowy, siekący obudzoną ze snu ziemię... Niechże sobie ferują wyroki! Przytem mają zupełną rację! Starzy winni uczyć się od młodych, którzy się przedtem od nich samych uczyli, że zaś młodzi są niewdzięczni, to rzecz zupełnie zrozumiała i słuszną. Nowe pokolenie wzbogacone naszym wysiłkiem, posunie się dalej i ziści to, czegośmy jeno pragnęli. Jeśli pozostało nam starym jeszcze nieco sił żywotnych, to winniśmy ich użyć na uczenie się i odmaładzanie. W przeciwnym razie radujmy się, że nastaly czasy młodych. Jakże piękny jest widok ustawicznego rozkwitania na nowo ludzkiej duszy, która zdała się wyczerpaną i gasnącą nieuchronnie, jakże wzruszający jest ten zamaszysty optymizm, to łeknienie szalonych czynów, przygód, ta nie kończąca się nigdy odnowa rodu człowieka, dążącego do zdobycia świata.

— Ach!... — zawołał Emanuel — Czemże byliby bez nas? Wszakże urodzili się z łez naszych. Ta siła to kwiat okupiony cierpieniem całej generacji... *Sic vos, non vobis...*

— To stare żale i niesłuszne — odrzekł Krzysztof. — Pracowaliśmy w gruncie dla samych siebie, wydając pokolenie, które nas prześcignie. Gromadziłyśmy oszczędności, złożone w lichym baraku, przewiewanym wiatrami! Własnymi ciałami podpieraliśmy drzwi, by ich nie wyważyła potężna śmierć. Tym właśnie spadkobiercom i synom naszym utorowaliśmy drogę ku zwycięstwu, którą kroczyć będą, a cierpienia nasze ocaliły przyszłość. Doprowadziliśmy arkę do samego progu ziemi obiecanej. Dostanie się ona tam przez nich, ale dzięki nam! To radość wielka, Emanuelu!

— Wiem! Ale czyż wspomną ci młodzi kiedyś o wytrwałych pielgrzymach przez pustynię, którzy przenieśli ogień święty, bogów rasy naszej, oraz ich samych... owe dzieci, które są dziś mężami. Niestety cały nasz udział, to jeno trud niewysłowiony i niewdzięczność.

— Czy ci tego żal? — spytał Krzysztof.

— Nie! Ogarnia mnie zachwyt, gdy wspomnę o ofiarności naszej wielkiej epoki, poświęcającej się dla swych dzieci, jakie porodziła. Pokolenie obecne nie byłoby zdolne odczuć dostojnej radości wyrzeczenia się.

— Myśmy byli szczęśliwi, — zakończył Krzysztof — Wyszliśmy na górę Nebo i ujrzelśmy pod nogami ową krainę, do której nie wejdziemy. Radością nas atoli widok ten przejmując większą, niżli mieszkawców przyszłych, dlatego, jak sądzę, że zstąpiwszy, tracimy z oczu dal i rozległe horyzonty.

* * *

Krzysztof czerpał w miłości ku Gracji moc tego wpływu, jaki wywierał na Jerzego i Emanuela. Dzięki niej czuł skłonność ku nowym formom życia i interesował się młodymi. Choćby owo pokolenie młode zwracało się przeciw niemu siedł z niem zawsze ręką w rękę. Nie bał się zgola przyszłego wladztwa demokracji, które w garści samolubnych wybrańców losu wywoływało dzikie okrzyki zgrozy drapieżnego ptac-

twą godną. Nie trzymał się również kanonu starego sztuki, wiedział bowiem, że nowe marzenia, nowe niezmierzone, a ziszczone przez wiedzę i czyn ideały stworzyć muszą sztukę nową. Witał radośnie świt nowego dnia, chociaż wiedział, że piękno starego musi zginać w brzasku wstającej jutrzeźki.

Gracja wiedziała jak oddziaływała miłość jej na Krzysztofa i świadomość tej władzy wynosiła ją ponad nią samą. Kierowała nim zapomocą listów. Wiedziała, że nie wolno jej wkraczać bezpośrednio w jego twórczość, ale dawała ton ogólny i nastrajała nań duszę, tak że gdy go Krzysztof jeno posłyszał, sądził, iż powtarza własne myśli jego i myśli te stawały się sprawiedliwe, czyste i godne powtórzenia przez Grację. Piękny dźwięk instrumentu jest dla muzyka temsamem co piękne ciało, w które się ubiera jego marzenie. Tajemna unia dwu dusz kochających się, to związek w którym jedno zabiera drugiemu to co posiada najlepszego ale zwraca mu je niezwłocznie wzbogacone miłością. Nie wahała się teraz powiedzieć Krzysztofowi, że go kocha. Oddał uczyniła ją śmielszą, a zarazem ta świadomość, iż nigdy nie będzie jego żoną. I dla niej stała się źródłem mocy i pokoju owa miłość, której czysty żar objął Krzysztofa.

Dawała jednak więcej swej siły, niż starczyło zapasu. Zdrowie Gracji było już podkopane, a duchowa równowaga zwichnięta. Stan syna nie poprawiał się, od dwu tedy lat żyła w bezustannym strachu, który rozplamił ciągle szatański talent aktorski Ljonela. Doprowadził do mistrzostwa przerażenie i niepokoje tych którzy go kochali. Dręczył wszystkich, a nie zaprzęgnięty niczem innem umysł jego wysilał się na coraz to nowe sztuczki. Owładnęła nim ta manja, a tragicznem było, że podczas gdy blaznował, dając karykaturę choroby, choroba ta w istocie rozwijała się coraz to bardziej. Zbliżała się śmierć.

I teraz stało się to, co nastąpić musiało. Gracja dręczona przez syna w ciągu całych lat fikcyjnymi cierpieniami, przestała w nie wierzyć teraz kiedy stały się rzeczywiste. Serce ma też granice. Zużywszy cały

zapas litości dla kłamstwa, uważała Ljonela za kłamcę i komedjanta w chwili kiedy mówił prawdę, zaś kiedy prawda owa została stwierdzoną, resztę jej życia zatruty wyrzuty sumienia.

Złośliwość chłopca nie miała granic. Nie kochając nikogo, nie mógł znieść, by ktoś z jego otoczenia odczuwał miłość dla kogokolwiek na świecie. Zazdrość stała się jego wyłączną namiętnością. Nie dość mu było na odsunięciu matki od Krzysztofa, chciał ją zmusić do zerwania wszelkich stosunków przyjaźni. Używszy zwykłej broni, to jest choroby swojej by ją doprowadzić do przysięgi, że nie wyjdzie powtórnie za mąż, postanowił zmusić matkę do zaprzestania korespondencji. Oburzyła się i wobec tego nadużycia, powiedziała mu słowa, podyktowane chęcią uwolnienia się z pod opresji, odsłaniające w tak okrutny sposób kłamstwa, jakich się dopuszczał, że aż do końca życia uważała je potem za zbrodnię. Ljoneł uczył się tak dotknięty i popadł w taki szal, że rozchorował się naprawdę ciężko. Matka przestała wierzyć, tedy w ataku wściekłości zapragnął umrzeć, by się zemścić. Nie wiedział, że życzenie jego będzie spełnione.

Gracja doznała wrażenia, iż na nią spadł grom w chwili kiedy lekarz dał jej niedwuznacznie do poznania, iż syn jest stracony. Musiała ukrywać teraz rozpacz, by wprowadzić w błąd dziecko, które ją tak długo oszukiwało. Ljoneł domyślał się sam, że z nim źle, ale nie chciał wierzyć i myśleć o tem. Śledził oczy matki pragnąc tam znaleźć zarzut kłamstwa, który go doprowadził do szalu, wówczas kiedy kłamał istotnie. Ale przyszła chwila kiedy poznał całą prawdę i od tej pory życie wszystkich bliskich jego przemieniło się w istne piekło. Ljoneł w żaden sposób nie chciał umierać...

Gdy wreszcie skończył, Gracja nie wydała nawet głosu, nie zapłakała, tak, że wszyscy zdziwili się bardzo. Zabrakło jej siły by cierpieć, pragnęła już tylko śmierci. Mimo to zabrała się z powrotem do zwykłych zajęć i była z pozoru spokojna. Po tygodniu, na ustach jej bardziej jeno jeszcze milczących zjawił

się nawet uśmiech. Nikt, nawet Krzysztof nie domyślał się, że to rozpacz. O śmierci Ljonela doniosła przyjacielowi krótko, nie dodając nic od siebie, a on jej odpisał z wielką serdecznością. Na list ten nie zareagowała wcale i dopiero kiedy objawił chęć przyjazdu poprosiła by tego zaniechał. Po dwu, czy trzech miesiącach wróciła w korespondencji do poważnego, łagodnego tonu poprzedniego, czując, że byłoby to występkiem obarczać go brzemieniem własnej niemocy. Wiedziała jak donośnie rozbrzmiewa w nim echo jej przeżyć duchowych i jak bardzo mu potrzebne oparcie moralne o nią. Nie zmuszała się nawet bardzo do takiego zachowania, z dawien dawna bowiem przywykła kierować sobą dowolnie. Przy życiu utrzymywały ją tylko dwie rzeczy: miłość Krzysztofa i fatalizm nawskróś włoski, który w szczęściu czy niedoli zawsze stanowił pierwotne podłoże jej natury. Nie był zgola wyrozumowany, ale automatyczny, podobny do mechanicznego pędu znużonego śmiertelnie zwierza, które kroczy prosto przed siebie, niepomne własnego ciała, ni kamieni na drodze, aż padnie wśród drogi. To ją utrzymywało, a także miłość. Zużywszy cały własny zasób życia, żyła Krzysztofem. Ale nie wspominała teraz w listach o miłości, może właśnie dlatego, że kochała go coraz to mocniej. Ciężko jej przytem *veto* zmarłego syna czyniące jej skłonność występkiem. Niebawem zamilkła, zmusiła się na czas jakiś przerwać korespondencję.

Krzysztof nie rozumiał czemu to czyni. Czasem uderzał go pośród równych, spokojnych akordów ton niespodziany, wezbrany namiętnością. Doznawał silnego wrażenia, ale nie śmiał się odzywać, ledwo pozwalał sobie zauważyć to. Wstrzymywał oddech bojąc się spłoszyć uludę, która mu się jawiła. Wiedział zresztą, że w liście następnym znajdzie słowa chłodne, sztuczne, przeznaczone na to, by wyrównać poprzednie, a potem zapadnie znów pokój i cisza morska.

* * *

Pewnego popołudnia spotkali się u Krzysztofa Jerzy i Emanuel, obaj zaś byli wzburzeni osobistem przejęciami. Emanuel doznał niepowodzenia literackiego, zaś Jerzy sportowego. Krzysztof słuchał ich dobrotliwie i pokpiwał życzliwie z jednego i drugiego. Nagle rozległ się dzwonek, Jerzy otworzył i odebrał z rąk posłańca list Kolety do Krzysztofa. Krzysztof podszedł do okna i czytał, a dwaj przyjaciele rozmawiali dalej nie patrząc nań, gdyż był obrócony plecami. Nie zauważyli też prawie, że Krzysztof udał się do sypialni, a postąpienie to nie zdziwiło ich. Nieohecnosc Krzysztofa trwała jednak długo, przeto Jerzy zapukał. Nie otrzymał odpowiedzi, ale nie nalegał, nawykł bowiem do różnych dziwactw Krzysztofa. W kilka minut Krzysztof wrócił, a wyraz jego twarzy był bardzo spokojny, znużony i łagodny. Przeprosił za to, że ich zostawił samych i podjął tok rozmowy, wyrażając się w sposób bardzo serdeczny, troszcząc żywo ich kłopotami i mówiąc rzeczy, które im dawały wielką ulgę pokoju. Sami nie wiedzieli czemu są wzruszeni tym tonem głosu przyjaciela.

Pożegnali się i poszli. Jerzy udał się do Kolety i zastał ją we łzach. Ujrawszy go zerwała się i podbiegłszy spytała:

— Jakże biedak zniósł ten straszny cios?

Jerzy nie wiedział o niczem i dopiero Koleta powiedziała mu iż właśnie zawiadomiła Krzysztofa o śmierci Gracji, która nie zdążyła nawet pożegnać się z nim sama. Od kilku już miesięcy życie jej było podcięte i starczyło technienia, by ją obalić na ziemię. W przeddzień wybuchu influency, która ją zmieść miała otrzymała dobry list od Krzysztofa. Uczuła wzruszenie, postanowiła go wezwać do siebie, zrozumiała, że to wszystko co ich dzieli jest fałszywe i grzeszne. Ale czując wielki brak sił odłożyła pisanie na dzień następny. Nazajutrz nie mogła już wstać z łóżka. Zaczęła list, ale nie skończyła go. Miała zawrót głowy, a przytem nie wiedziała czy ma zawiadomić Krzysztofa o swej chorobie. Nie chciała go

dreńczyć, bo był właśnie zajęty próbami chorału symfonicznego skomponowanego do słów Emanuela. Był to niejako symbol wspólnego ich losu i utwór ten podobał się jej bardzo. Nosił miano: Ziemia Obiecana.

Rozmawiali o tem często, a właśnie próby dobiegały końca i premiera miała się odbyć w następnym tygodniu. Nie należało go tedy niepokoić i Gracja wspomniała w liście jeno o przeziębieniu. Po chwili wydało jej się, że i tego za wiele, tedy potargala list, ale nie miała już siły na inny. Pocięła się myślą, że napisze wieczór. Wieczór było już atoli zapóźno, by go wezwać, zapóźno również na list. Jakże szybko dzieją się te rzeczy. Starczy kilku godzin by legło w gruzach dzieło wieków. Gracja zdążyła zaledwo zjąć pierścionek z palca i zalecić córce by go oddała Krzysztofowi. Była dotąd wobec dziecka zamknięta. Teraz, żegnając świat patrzyła z miłością w twarz tej, która pozostawała, trzymała dłoń istoty, która miała dalej podać ten uścisk i myślała z radością... Nie przeminiłam tedy bez śladu.

* * *

Quid? Hic, inquam, quis
est qui complet aures meas,
tantus et tam dulcis sonus!..
(Sen Scypjona)

Jerzy uniesiony współczuciem wrócił do Krzysztofa po wyjściu od Kolety. od której wiedział zresztą już dawno jakie miejsce Gracja zajmowała w sereu starego przyjaciela. Nieraz nawet wyśmiewał się z tego, bowiem młodzież, jak wiadomo niezdolna jest niczego uszanować. W tej jednak chwili zrozumiał dostojęństwo cierpienia i uczuł jaką stratę po niósł Krzysztof. Toteż chciał go uściskać i wyrazić mu współczucie swoje. Przytem, znając gwałtowność jego uczuć przeraził się spokojem jaki widział. Zadzwoił, ale nikt się nie ruszył. Zadzwoił ponownie, potem zaś zapukał w sposób umówiony. Usłyszał

łoskot odsuwanego krzesła, a potem wolny, ciężki odgłos kroków. Krzysztof otworzył. Twarz jego była tak spokojna, że Jerzy, który przybył po to, by się rzucić w jego objęcia, zawahał się i nie wiedział co mówić. Krzysztof spytał łagodnie:

— Czyś czegoś zapomniał chłopcze?

Jerzy wyjęknął zmieszany:

— Tak.

— To chodź! — zaprosił go.

Usiadł na temsamem co przedtem miejscu przy oknie, sparł głowę na dłoni i zapatrzył się na przeciwnie oblane purpurą zachodu dachy, nie zwracając uwagi na Jerzego, który udawał, że czegoś szuka na stole, a rzucał nań od czasu do czasu spojrzenia. Twarz Krzysztofa znieruchomiała, blask zachodu uwydatniał kości policzkowe i cześć czoła. Jerzy poszedł do sypialni i szukał nibyto dalej. List, z którym się zamknął Krzysztof leżał na stoliku nocnym, na łóżku nie było odcisku ciała, pościel była nietknięta, jeno na dywaniku widniała porzucona, otwarta książka. Skutkiem załamania jednej kartki nie zamknęła się i Jerzy przeczytał ewangelję o spotkaniu Magdaleny z ogrodnikiem. Wrócił do pierwszego pokoju, poruszył kilka przedmiotów dla odzyskaniu kontenansu i spojrzał znowu na Krzysztofa, który nie ruszył się wcale. Radby był mu powiedzieć jak bardzo go żałuje, ale od Krzysztofa szła jakaś poświata, jakieś jaśnienie, które onieśmiało i nie pozwalało na słowa. Rzekł tedy tylko nieśmiało:

— Odchodzę już!

— Do widzenia drogi chłopcze! — odparł Krzysztof, nie obracając głowy.

Jerzy wyszedł po cichu. Krzysztof siedział długo. Nadeszła noc. Nie cierpiał, nie rozmyślał, nie miał przed sobą żadnego wyraźnego kształtu. Był jak znużony wędrowiec, który słyszy jakieś niewyraźne granie w dali, ale nie czyni wysików. by je zrozumieć. Kiedy wstał, była już późna noc. Rzucił się na łóżko i zapadł w ciężki sen, a symfonia brzmiała dalej.

Nagle spostrzegł ukochaną. Wyciągnęła doń ramiona, uśmiechnęła się i powiedziała radośnie:

— Otoś przekroczył ognisty krąg.

Otworło się serce jego, napęłnił je pokój słodki, niewysłowiony, ogarniający całą przestrzeń gwiazdzistą.

Gdy się zbudził (nastał nowy dzień), miał w sobie tenże pokój i szczęście, które spływały ze słów posłyszanych nocą. Natchnienie się rozpało w jego sercu i nie przestawało gorąć.

...Or vedi, figlio,
tra Beatrice e te è questo muro.

Od dawna już połową duszy żył... po tamtej stronie. Im dłużej się żyje, działa, kocha, im więcej się traci i cierpi, tem bardziej umyka się śmierci. Każdy cios, każde dzieło stworzone odrywa duszę od ciała. Ucieka ona w owo dzieło, lub w osobę kochaną, a także w cierpienie się kryje i w końcu Rzym nie jest już Rzymem, najlepsza bowiem, istotna częśćka naszej osobowości mieści się już poza nią. Krzysztofa przytrzymywała po tej stronie sama jeno Gracja... teraz, gdy na nią również przyszła kolej iść, zamknęła się furta cierpienia i odcięty został od świata do tego stopnia, iż fizycznie przestał czuć się na ziemi. Żaden go już nie obciążał łańcuch, nie chciał niczego, stał się wolny... wygrał wojnę. Wygrał, a raczej zdobył się na to, by wyjść poza szranki, by odejść z krainy, gdzie rozgrywają się bohaterskie boje pod rządami Boga zwanego imieniem Sabaot. Ujrzał w nocy u stóp swych dogasające zarzewie spalonego krza. O, jakże to dalekie już odeń było? Kiedy płomień ów oświecał jego drogę, sądził, iż jest na szczytach. Ileż od tej pory ubiegał... a szczyt nie zbliżył się doń wcale. Zrozumiał teraz, iż go nie sięże nigdy, choćby przez wieczność wędrował całą. Kiedy się jednak wie, że ziemia nie dać nie może, a nie zostało na niej nic kochanego, to wieczność wcale nie wydaje się długą i chętnie wędruje się przez jej rozłogi.

Krzysztof odciał się od świata. Nikt też się doń nie zgłaszał. Współczucie Jerzego wyczerpało się za

tym jednym razem. Uspokoił się zaraz po powrocie do domu i zaczął myśleć o czemś innem. Koleta wyjechała do Rzymu, Emanuel zaś nie wiedział nic. Emanuel obraził się przytem, jak zawsze, z powodu milczenia Krzysztofa i zamilkł również. Nic mu tedy nie przeszkadzało wieść rozmów z tą, którą obecnie nosił w duszy, jak kobieta ciężarna płód swój. Były to rozmowy przedziwne, których słów na ludzki język przełożyć nie sposób. Muzyka je zaledwo wyrazić może. Z wezbranem sercem, zamkniętymi oczyma siedział i słuchał nie ruszając się całymi godzinami. Albo znów siadał do fortepianu i grał. W tym czasie naimprowizował więcej niż w całym późniejszym życiu. Nie notował tych kompozycji... Pocóż?

Po kilku tygodniach wyszedł i spotkał się znowu z ludźmi, a nikt prócz Jerzego nie spostrzegł co się stało. Zaś duch improwizacji był z nim przez czas pewien jeszcze, biorąc władzę w chwilach kiedy się tego najmniej spodziewał. Pewnego wieczoru u Kolety siadł i grał przeszło godzinę. Wypowiedział się z całą swobodą i bez zastrzeżeń, nie zważając wcale, że salon pełen był ludzi obcych i obojętnych. Mimo to doznali wielkiego wrażenia, owe straszliwe fantazje sięgały głęboko w serce i ci nawet, którzy ich nie rozumieli odczuwali wzruszenie. Koleta miała oczy pełne łez. Skończywszy, Krzysztof spojrzał po ludziach i widząc co się z nimi dzieje, uśmiechnął się.

Dotarł do punktu, gdzie ból staje się siłą, siłą, którą władać można dowolnie. Nie był jego ofiarą, ale panem. Siedział w klatce, zaledwie zdolny wstrząsać kratami, a ująć nie mogąc.

W czasie onym powstały najgłębsze utwory i najlepiej skomponowane. Przedewszystkiem więc kompozycja na tle ewangelji, którą przeczytał Jerzy:

Mulier, quid ploras? — Quia tulerunt Dominum meum. et nescio ubi possuerunt eum. — Et cum haec dixisset, conversa est retrorsum, et vidit Jesum stantem, et non sciebat quia Jesus est.

Następnie podziw wzbudziła serja tragicznych pieśni do słów hiszpańskich *cantores*, pośród nich zaś

„Jan Krzysztof“.

ponura nagrobna pieśń miłosna, podobna czarnemu płomieniowi.

Quosiera ser el sepulcro
Donde á ti te han de enterrar,
Para tanerte en mis brazos
Per toda la eternidad.

Radym być grobem, w którym cię składają
oto i przez całą wieczność kołysać cię w ramionach
swoich.

Poza wymienionemi rzeczami powstały teraz
dwie symfonie: „Wyspa ukojonych“ i „Sen Scypiona“,
w których wypowiedział się w sposób najsilniejszy
i najgłębszy. Były to dzieła dające syntezę muzyki
niemieckiej, włoskiej i francuskiej.

Po dwu miesiącach ukoła się owa gorączka
twórcza, wywołana rozpaczą straty, potem zaś Krzy-
sztof zajął znów miejsce swoje pośród żywych. Wicher
śmierci zwał ostatnie mgły pesymizmu, szarżyznę
stoickiego ducha, oraz rozprószył fata morgane mi-
stycznego półświatła. Ponad rozróższonemi dopiero
chmurami zajaśniała teczka. Szafir nieba skąpany we
łzach czystszy się zdawał, bardziej krystalicznym.
Szczyty zaczęły tulić się w mrok.

* * *

można już było wątpić, że wybuchnie pożar
ogromnej materjału palnego nagromadzonego w oście-
pie Europy. Gaszony w jednym, wybuchał w innym
miejscu, snuł się od krzaka do krzaka i zwęglął jeden
po drugim. Na Wschodzie zaczęły się boje wstępne
do wielkiej rzezi ludów. Żądza walki rozgorzała we
wszystkich duszach, lada chwila też mogła wybuch-
nąć wojna. Tłumiono ją, ale czerpała z każdego dro-
biazgu pożywkę i jawiła się na nowo. Świat pojął,
że los jego zawisł od przypadku i czekał biernie,
a najwięksi zwolennicy pokoju odczuli konieczność
walki. Niewiele jeno pozostało w Europie prawdzi-
wych ludzi, a ci zabarykadowawszy się mocarnym

cieniem Proudhona trwali nieprzejednani jako jedyni
reprezentanci dostojeństwa człowieczego.

Rzezią miało się zakończyć zmartwychwstanie
duchowe ras Zachodu. W takiż to sposób wyłodo-
wywał się ów zapal twórczy, owa żądza czynu? Jeno
napoleoński genjusz mógł skierować tę siłę w kie-
runku wytkniętym jasno i logicznie. Niestety zabrakło
w Europie człowieka czynu, kierownikami świata,
jakby z umysłu zostali pigmeje. Nie pozostawało nic
innego jak staczać się bezwolnie po równi pochyłej,
toteż uczynili to zarówno rządzący, jak i rządzeni.
Europa przemieniła się w gigantyczne obozowisko.

Krzysztof wspominał podobną, przeżytą już
chwilę. Wówczas widział przy sobie przerażone obli-
cze Oliwera. Ale wówczas była jeno krótka burza,
teraz chmury obległy cały widnokrąg Europy. Serce
Krzysztofa było teraz inne, nie mogło wziąć udziału
w nienawiści ludów. Stało się z nim to, co z Goethem
w roku 1813. Nie sposób walczyć bez nienawiści,
a nienawidzić nie będąc młodym. Zostawił już za
sobą nienawiść, wszystkie ludy były mu równie dro-
gie, znał bowiem zasługi każdego i czuł do czego
jest zdolnym. Osiągnął pewną dojrzałość ducha, nie
znamy już narodowości i odczuwamy dołę i niedołę
ludu sąsiedniego, jak własny los. Chmury gromowe
mamy wówczas pod sobą, zaś nad sobą jeno niebo
będące mieszkaniem orłów.

Krzysztofowi dał się nieraz dobrze we znaki
nastrój szowinistyczny. Nie szczędzono mu przytyków,
że jest członkiem rasy wrogiej. Sam nawet Jerzy nie
mógł się powstrzymać od wygadywania na Niemców,
co go nieraz bardzo osmucało. Toteż wyjechał. Pozór
znalazł w chęci zobaczenia się z córką Gracji i prze-
niósł się na czas pewien do Rzymu. Nie znalazł tam
jednak spokojniejszych warunków. Zaraza dumy na-
rodowej i tam dotarła, zmieniając do gruntu cha-
rakter społeczeństwa. Cisami ludzie, których Krzysztof
uważał niedawno za bezczynnych leniów, niezdolnych
do życia, marzyli teraz o sławie orężnej, walkach,
podbojach, o orłach rzymskich krążących nad pustą

nią libijską. Zdawało się, że wróciły czasy cesarstwa. Krzysztof zdumiał się spostrzegłszy jeden jeszcze objaw. Oto szaleń w walce ogarnięte zostały wszystkie stronnictwa i partie polityczne. Opozycja, socjaliści, klerykali i monarchiści, wszyscy głosili z przekonania potrzebę wojny, ani na chwilę nie przypuszczając, że się sprzeciwiają swym ideałom. Widać stąd jak niewiele znaczy polityka i rozum gdy idzie o wielkie namiętności, ogarniające ludy. Wówczas nie tłum się nawet namiętności indywidualnych, ale zaprzęga je prosto do rydwanu i spożytkowuje ich energję. Tak się działo zawsze w epokach czynu. Wojska Henryka IV, doradcy Ludwika XIV, ci którzy wykuli wielkość Francji, byli to zarówno ludzie rozsądku i fanatycy wiary, jak i zarozumialcy, łowcy złota, czy nikczemni rozpustnicy. Do jednego celu zmierzali janseniści i szumowina stołeczna, purytanie i złoczyńcy, wszyscy szli za instynktem własnym ślepo i bezwolnie. Przyszłe wojny zużytkują niezawodnie do celów swych internacjonalistów i pacyfistów, podobnie jak to uczyniły wojny dawne z przodkami ich z Konwentu, a wszyscy przekonani będą najmocniej, że czynią to dla dobra ludu i sprawy pokoju.

Krzysztof spoglądał z terasy Janikulu z uśmiechem ironicznym na to wybitnie chaotyczne i harmonijne jednocześnie miasto. Wydało mu się symbolem świata. Pożarte ogniem ruiny, barokowe fasady, współczesne budynki, cyprysy okryte pnąciami różami. Były tu wszystkie wieki, wszystkie style, spójne nierozrwalnie złotem światłem, stopione w niem, jakby na pokaz, że walka świata to marność wobec sił przyrody.

Krzysztof nie długo zatrzymał się w Rzymie. Doznawał tu zbyt silnych wrażeń i bał się ich. Bał się także, że wchłonie go to miasto, jak to już uczyniło z tylu jego ziomekmi.

Bywał potrochu w Niemczech, ale Paryż ciągał go najsilniej mimo bliskiego zatargu frankoniemieckiego. Działo się to zapewne dlatego, iż w Paryżu przebywał Jerzy, ale nietylko powody ucieleśnione

sprawiły, iż wrócił. W Niemczech żyć się nie dało, nie mógł tego dokonać zwłaszcza artysta o szerokich horyzontach i śmiałych, ogarniających ludzkość konceptach. Nie brakło tam artystów, tylko sztuce brakło powietrza. Odcięci zupełnie od narodu nie brali udziału w jego życiu, skierowanem ku zagadnieniom socjalnym i wyłącznie praktycznym. Poeci zawarli za sobą szczelnie drzwi świątyni, z której kpił tłum przechodniów i z rozmysłem wykopali rów pomiędzy sobą, a społeczeństwem. Pisywali tylko dla małego koła wybrańców, tworząc utalentowaną, przerafinowaną, bezpłodną arystokrację, mimo swej małej liczebności podzieloną na śmieszne kliczki wtajemniczonych. Dusili się spolem w ciasnej przestrzeni, niezdolni wyjść na szeroki świat, a przeorany po sto razy grunt własnego osiedla nie dawał już żadnych plonów. Zatraciwszy kontakt ze światem zwrócili spojrzenie w siebie, ale mimo, że każdy czekał objawienia z wnętrza własnego, nie jawiło się, gdyż nie zasiał żaden ziarna w czasie siewu.

Inny duch wiał z poza Renu, gdzie sztuką miały od czasu do czasu wielkie burze, będące odbłyśkami namiętności mas. Podobna wieży Eifla widniała tam na horyzoncie niewygasła dotąd latarnia morska klasycznej tradycji. Wskazywała duchowi, nie więząc go i nie krępując, drogę, którą kroczyły stulecia. Toteż nieraz przylatywał tu nocą, łopotąc skrzydłami ptak jakiś, zwabiony światłem. Trudno, zaprawdę ocenić całą potęgę owej sympatii umiejscowionej we Francji. Żyje tu mnóstwo serc szlachetnych, wyciągają się stąd ręce nie zbrukane polityką i za jej zbrodnie nieodpowiedzialne. Duchy te wołają: Nie zacień nas drodzy bracia z poza Renu! Podajemy wam oto dłoń! Żadne kłamstwo, ni nienawiść rozdzielić nas nie będzie w stanie! Potrzebujemy was, a wy nas potrzebujecie niezbędnie, gdyż od współdziałania zależy ras obu wielkość i rozkwit ich ducha. Otośmy dwa skrzydła Zachodu! Gdy jedno strzaskane i drugiego lot mocnym być nie może! Niechajże przyjdzie wojna... zaprawdę, złączonych uściskiem rąk naszych

rozerwać nie zdoła, nie znajdzie dość siły, by otamować lot podniebny dusz naszych zbratanych!

Takie miał przekonania Krzysztof. Czuł, że dwa te ludy uzupełniają się przedziwnie i wiedział, iż pozbawione wzajemnej pomocy tracą ducha, poniżają się w sztuce i nie będą mogły zdobyć się na czyn wielki. Urodzony w Nadrenji, gdzie obie cywilizacje stapiają się w jedno tworząc wspólny prąd, od dziecięcych już lat czuł instynktownie konieczność zjednoczenia. Całe życie Krzysztofa było podświadomą dążnością do utrzymania równowagi owych dwu mocarnych skrzydeł, w celu zapewnienia wzlotu na wyże. Im bogatszy był w marzenia germańskie, tembardziej pragnął latyńskiej jasności ducha i skoordynowania idei. Dlatego to Francję pokochał bardzo, tam znalazł dobrodziejstwa, iż sam się poznał na sobie i sobą zawładnął. Tam jeno czuł się sobą naprawdę.

Czerpał korzyści z tego nawet co mu szkodzić miało. Przetapiał elementy energii obcej w swą własną moc. Tak czyni zawsze duch silny i z wrogich nawet sił tworzy tkanki ciała swego i krew swoją. Przychodzi nawet chwila, kiedy pociąga to najsilniej, co się od nas najbardziej różni, gdyż tu znajdujemy najwięcej pożywki dla siebie.

Krzysztofa pociągały też zawsze bardziej utwory artystów, których mu przeciwstawiano jako rywali, niż kompozycje naśladowców, zwanych się ku jego wielkiemu niezadowoleniu, uczniami. Byli to młodzieńcy porządni, pełni czci, pracowici i pojętni, słowem posiadali wszystkie możliwe cnoty. Krzysztof byłby dał wiele za to, gdyby mógł pokochać ich twórczość, niestety jednak (właściwie, na szczęście) było to zgoła niemożliwe, albowiem w utworach tych nie dostrzegał nawet śladu wielkiej sztuki. Tysiąc razy wołał muzyków osobście niesympatycznych, kroczących drogą zgoła odmienną i żywiących wrogie zamysły. Byli to ludzie żywi i swoiści, a życie indywidualne jest samo w sobie taką ogromną zaletą, że kto go nie posiada, mimo wszystkich innych doskonałości, dzielnym człowiekiem nigdy zostać nie zdoła, bo nie jest pełnym

człowiekiem. Mówił żartobliwie, że tych jeno uważa i uznaje za uczniów swoich, którzy go zwalczają. Ile razy jawił się ktoś i chcąc obudzić dla siebie jego zainteresowanie zaczął się pochlebnie wyrażać o jego talencie, Krzysztof odpowiadał:

— A więc muzyka moja zadawała pana. Rad byś w ten sam sposób wypowiedzieć swe uczucia, miłość, czy nienawiść?

— Tak mistrzu!

— Tedy milcz pan, bo nie masz nic sam przez się do powiedzenia!

Owa niechęć dla pokornych i nikczemnych, a jednocześnie pragnienie wchłaniania cudzych myśli sprawiały, że obracał się w sferach, których poglądy były diametralnie przeciwne jego zapatrywaniom. Przyjaźnił się z ludźmi, dla których jego sztuka, ideały, wiara i zasady etyczne były jeno martwą literą. Mieli zgoła inne wyobrażenia o życiu, małżeństwie, miłości, oraz stosunkach społecznych. W gruncie rzeczy byli to ludzie uczciwi, zaliczali się tylko do innej epoki, toteż nie zrozumieliby zgoła zmartwień, ni skrupułów, które pochłonęły część jego życia. Nie narzucał im się i nie brał od nich nic, chciał jeno poznać dusze wszystkich, by je pokochać. Był nienasycony w żądzy poznawania i kochania ludzi, czuł bowiem, że wszystkie te sprzeczności są motorem samego życia. Miłość jaką miał dla Jerzego zwiększała może nawet ta okoliczność, że niczego nie brał tragicznie, jak on sam. Ludzkość uzbrojona w cały ten rynsztunek powagi i obyczajności przedstawiała się nędznie, jednostajnie i czarno. Trzeba jej było radości, beztroski, zuchwałego pomiatania świętościami. Konieczna tu była galicka sól, inaczej ziemia stałaby się jałową! Wiara i zwątpienie uzupełniają się przedziwnie, bowiem to co podgryza korzeń wiary wczorajszej stwarza miejsce dla wiary jutra. Kto oddalił się od obrazu życia zatracił wprawdzie szczegóły, ale ogarnia harmonję barwnych płam i zespół całości.

Oczy Krzysztofa otwarły się teraz na różnorodność zmysłowego i duchowego świata i owo objawienie

uzyskał czasu swego ostatniego pobytu we Włoszech. Toteż po powrocie do Francji zbliżył się do malarzy i rzeźbiarzy i zauważył zaraz, iż w tych dziedzinach żyje to, czem geniusz francuski wypowiada się najdosłowniej. Zatopił się w obrazach i nie zważał na pobrzękiwanie szablami. Potem doszedł do przeświadczenia, że nawet wojna jest to część przedziwnego widowiska. Należy wszystko ogarnąć i wrzucić śmiało i radośnie do kotła gdzie się topi metal, wszystkie elementy negatywne zarówno, jak afirmatywne, wrogie i przyjazne, słowem cały kruszec życia. Wynikiem tego będzie posąg nowego człowieka, boski owoc ducha, a więc wszystko jest dobrem co się przyczynia do jego piękna, choćby wymagało poświęcenia samego siebie. Niczem jest twórca, sam twór, samo dzieło jest wszystkim. Chcą nas zniweczyć nieprzyjaciele... ale sięgnąć do nas nie zdolni, gdyż tworząc z siebie samych nietykalni jesteśmy ciosom. Gromy padają w próżnię... my sami jesteśmy już daleko...

* * *

Twórczość muzyczna Krzysztofa przybrała teraz także inne formy, stała się pogodniejsza. Nie były to już krótkotrwałe, wiosenne burze. Po horyzoncie snuły się srebrzyste obłoki letnie, podobne górą ze śniegu i złota, wielkim, słonecznym ptakom płynącym swobodnie i cicho. Nastal czas zbiórki plonów dojrzewających w promieniach sierpniowego słońca.

Marzenie spełnione... śpiewajmy *Te Deum*.

A jednak człowiek jak Krzysztof nie mógł zatopić się w ukojnym spoczynku i zamknąć oczu na to, co życie życiem czyni, to znaczy na miłość. Kochał dwie naraz istoty to jest syna Oliwera i córkę Gracji. Złączył ich w myśli swej, a postanowił połączyć w rzeczywistości.

Jerzy i Aurora poznali się u Krzysztofa. Aurora mieszkala przez część roku u Kolety, w Paryżu, resztę zaś miesięcy spędzała w Rzymie. Miała lat ośmnaście, Jerzy był o pięć lat starszy. Była wysmukła, wykwiłta, jasnowłosa, miała małą główkę, krągłą

twarz, spaloną słońcem cerę, meszek ciemny na górnej wardze i czyste oczy, nie znużone nigdy myśleniem, mięsisty podbródek, ciemne ręce, piękne, pełne, silne ramiona, kształtny biust i wesołe, zmysłowe rysy.

Nie przeładowana nauką, mało wrażliwa, odziedziczyła po matce rozleniwienie i niedbałość ruchów. Sypiała po jedenaście godzin leżąc bez ruchu jak suszeł w jamie, a resztę czasu spędzała na wałęsaniu się w stanie na poły sennym. Krzysztof nazwał ją „śpiącą królową“. Przypomniała mu Sabinę. Śpiewała kładąc się spać, śpiewała wstając, a w przerwach śmiała się radosnym, nieumotywowanym śmiechem dziecka. Nie wiedziała sama na czem jej schodzi czas. Koleta usiłowała polakierować ją zewnątrz ową powłoką sztucznej elegancji i wykształcenia przyjmowaną tak chętnie przez młode dziewczęta, ale na nic się to nie zdało. Lakier opadał. Nie mogła się nauczyć niczego, potrzebowała całych miesięcy na przeczytanie książki, którą uznawała za bardzo piękną, ale w tydzień po skończeniu nie знаła ani tytułu, ani treści. Piszac robiła mnóstwo błędów, a mówiac o rzeczach dotyczących nauki, popełniała śmieszne omyłki. Żywiołowy egoizm był jej cechą zasadniczą, pozatem czyniła wrażenie ożywczę przez młodość swą, wesołość, brak uduchowienia, nawet przez błędy i swą beztroskę graniczącą czasem z zupełnem zubożeniem. A jednak ta prosta i rozleniwiona dziewczyna umiała gdy gdy jej to było potrzebne, kokietować z niewinną miną i nastawiać sidła młokosom. Pozatem malowała trochę z natury, grywała szopenowskie nokturny, nosiła ze sobą tomy poezji nigdy nie czytane, wiodła rozmowę o ideałach i nosiła uroczę kapelusiki.

Krzysztof obserwował ją i śmiał się w duchu. Kochał ją serdecznie, po ojcowsku, z pewną domieszką sarkazmu. Jednocześnie odczuwał dla niej szacunek tajemny, winny istocie będącej nową formą tej, którą kochał, a przeznaczonej dla innej miłości. Nikt nie domyślał się głębi tego uczucia, prócz samej Aurory. Od wczesnego dzieciństwa żyła w bliskich z Krzysztofem stosunkach i uważała go za człon-

ka rodziny. Przytem czując się mniej od brata kochaną przez matkę przyłgnęła do Krzysztofa. Przeczowała, że go ta sama gnębi troska, on dostrzegł jej cierpienie toteż bez słów daremnych i wywnętrzeń polubili się bardzo: Potem dorozumiała się jakie uczucie łączyło Krzysztofa z matką i nie zostawszy powiernicą, uznała się za wtajemniczoną. Zrozumiała też jakie znaczenie ma pierścionek, który matka kazała oddać Krzysztofowi, nie uświadamiając sobie natury tego związku w całej pełni. Mimo, że nigdy nie wysilała się by znać, albo czytać utwory Krzysztofa kochała serdecznie starego przyjaciela. Będąc dość muzykalną nie zdobyła się jednak na to, by rozciąć partyturę otrzymaną od niego z dedykacją, natomiast chętnie przychodziła doń na pogawędkę i to tem chętniej gdy wiedziała, że zastanie młodego Jeannina.

Jerzy również nigdy tak gorliwie jak teraz nie korzystał z rozmów a przyjacielem.

Nie mieli zresztą dotąd wyobrażenia o naturze swych wzajemnych uczuć i narazie pokpiwali z siebie. Różnili się bardzo. On był żywym srebrem, ona wodą zaśnioną. Ale niebawem żywe srebro przestało się ruszać niespokojnie jak przedtem, a zaśniona woda zbudziła się. Jerzy krytykował jej ubranie, włoski gust, brak odczucia półtonów i zamilowanie jaskrawizny, Aurora zaś przedrzeźniała jego gwałtowny, porywczy sposób mówienia i pyszałkowatość. Wyśmiewając się ze siebie polubili owe zajęcia, a razem rozmowę ze sobą. Zabawiali swemi kłótniami Krzysztofa, a on zamiast ich godzić, podjudzał jeszcze jedno przeciw drugiemu. Udawali, że im zgoła nie zależy na tem, które wygra, ale przekonywali się coraz dobitniej, że im właśnie bardzo zależy, że zaś żadne nie umiało tego ukryć przeto bitwy rozpalały się coraz to zaciętsze. Nie zadawali sobie ran ciężkich z obawy pokrzywdzenia się wzajem i wydawało się, że każde wołało pchnięcie, jakie otrzymało od ciosu zadanego. Śledzili ciekawymi oczyma za usterkami w sobie, a odkrywali zalety. Nie przyznawali się do

tego jednak. Każde z osobna znalazłszy się sam na sam z Krzysztofem zaręczało, że znieść nie może drugiego, mimoto jednak oboje korzystali z każdej sposobności do spotkań, jaką im dawał Krzysztof.

Pewnego dnia przyszła Aurora i zapowiedziała swą wizytę na niedzielę przed południem. W chwilę potem wpadł jak zawsze porywczy Jerzy i oświadczył, że przyjdzie w niedzielę popołudniu. Przez całe przedobiedzie niedzielne oczekiwał Krzysztof Aurory... nadaremnie. O oznaczonej przez Jerzego porze zjawiła się i przeprosiła, że wcześniej przyjść nie mogła, zmyślając na poczekaniu całą, długą historję. Krzysztof ubawił się tą chytrą i powiedział:

— Szkoda! Byłabyś zastała Jerzego. Był u mnie i poszliśmy razem na śniadanie. Dziś popołudniu przyjść nie może.

Aurora posmutniała i przestała zwracać uwagę na jego słowa. Dawała zgola niestosowne odpowiedzi, słowem była rozczarowana, a nawet potrochu zła. Nagle rozległ się dzwonek. Jerzy przyszedł, a Aurora zadrżała. Krzysztof spojrział na nią szelmowsko, a ona widząc, że ją złapał na uczynku zamieniła się po uszy, podbiegła ucałowała go serdecznie i zakryła mu usta dłonią, by nie mógł mówić. Śmiali się oboje, Jerzy który nie wiedział o niczem zachmurzył się bo mu owe pocałunki wcale na rękę nie były, a ta jego mina pobudziła ich do większego jeszcze śmiechu.

W ten sposób zbliżył Krzysztof do siebie młodych, a dokonawszy tego doznał czegoś w rodzaju wyrzutu sumienia. Zatrościł się o Jerzego, znał bowiem i sądził surowiej jego błędy, natomiast pobłażał Aurorze. Uważał przytem Jerzego za rodzaj swego syna, a czuł całą odpowiedzialność za szczęście córki Gracji. Toteż zapytał się samego siebie, czy nie jest grzeszną rzeczą dawać jej za męża chłopca, który utracił już swą niewinność.

Gdy jednak pewnego dnia, już po zaręczynach, miał ich siedzących przy stoliku na terasie pod drzewami, posłyszał z drzeniem że Aurora rozpytuje na-

rzeczonego o jedne z jego przygód miłosnych, on zaś opowiada jej szczegóły bez żadnego zakłopotania. Również inne urywki z rozmów jakie wiedli przekonały go dowodnie, iż dziewczyna czuje się w sferze moralnych idei Jerzego znacznie swobodniejszą niżli on sam. Mimo, że zakochani byli w sobie po uszy, Krzysztof czuł, że nie uważają się wcale za związanych nieodwołalnie. Na wszystko co dotyczyło miłości i małżeństwa zapatrywali się w sposób swobodny, który był nawet piękny, ale stał w rażącej sprzeczności ze starym systemem wzajemnego związku... *usque ad mortem*. Krzysztofa osmucało to potrochu... Jakże był stary! Jakże szybko płynie łódka uwożąca nasze dzieci...? To nie! Nadejdzie dzień kiedy spotkamy się wszyscy w jednej przystani.

Tymczasem barka nie troszczyła się wcale o to dokąd płynie i miotał nią każdy najłżejszy podmuch wiatru. Zdawałoby się mogło, że ów pęd wolnościowy, który owładnął stosunkiem płci przeniesie się również w inną dziedzinę myśli i czynów. Ale tak nie było. Przyroda nic sobie nie robi ze sprzeczności. Obyczaje stawały się coraz to swobodniejsze, natomiast rozum uczuł, że ma dość i poprosił religij, by mu nałożyła kaganiec. A w dodatku ów podwójny ruch w kierunkach wprost przeciwnych zaszedł w tych samych duszach. Jerzy i Aurora dali się porwać prądowi neokatolickiemu, który zjawiwszy się niedawno ogarniał szybko ludzi z towarzystwa i intelektualistów. Przedziwny owionął nastrój Krzysztofa gdy się dowiedział pewnego dnia od Jerzego, że tam jest prawda i że w to wierzy. Jerzy jak żył długo nie wierzył w nic i z niczego sobie nie robił, nie przypuszczał nawet możliwości i potrzeby wiary, w Boga, czy diabła. Potrzebował natomiast prawdy, która mu odjęła nadmiar wolności. Żrebak naszałał się dość i zbrzydziwszy sobie skoki kazał się wprzód do pług swej rasy, powodowany atawizmem tejże rasy. Wrażliwy chorobliwie na wszelki cień przymusu, dał się teraz złapać jeden z pierwszych, a Aurora poszła za nim, oczywiście. Natychmiast stali się oboje

niezmiernie stanowczy i ekskluzywni i pogardzali każdym, kto miał inne zapatrywanie.

O dziwo! Tych dwoje lekkomyślnych dzieci, była to obecnie para szczerze wierzących, o duszach czystych, przepojonych zapalem Gracji i Oliwera, o czym i marzyć nie mógł nigdy Krzysztof, spoglądający z osłupieniem na tę cudowną przemianę.

Nie przyszło mu oczywiście na myśl podawać w wątpliwość ich szczerości, ani zwalczać kierunku, który Emanuela pobudził do wściekłości, bowiem czuł w tem nową ofensywę starego wroga kultury i wolności. Ale trudno. Rozum osłabł po nadludzkim wysiłku, toteż zdzieciniał potrochu i kładąc się na spoczynek, jak dziecko mówił pacierz. Rozwarła się brama marzeń, a wraz z religią zalała Zachód fala doktryn teozoficznych, mistycznych, ezoterycznych i okultystycznych. Zachwiała się filozofia, przywódcy jej Bergson i Wiljam James nie wiedzieli co czynić, a w samej wiedzy przejawiało się znużenie ducha.

Wszystkich ogarnęła potrzeba marzeń, rozprężenia i spokoju, toteż Krzysztof rad był, że nie mogąc sam spocząć, widzi przynajmniej jak spokój ogarnia dzieci jego, jak na nie zstępuje pewność niezachwiana wiary i absolutne zaufanie do majaków sennych.

I pocóżby miał im bronić tego szczęścia? Nie należy narzucać swego sposobu szczęśliwości nikomu, toteż zostawił ich własnemu przemysłowi, prosząc tylko, by nie bardzo gardzili tymi, którzy podobnie jak on mają odmienne przekonania.

Nie zadawali sobie nawet fatygi toczenia z nim sporu. Wyraźnie czuł, że myślą:

— Cóż gadać z człowiekiem, który nie może czegoś takiego pojąć...?

Zaliczyli go do przeszłości, a w gruncie mieli tę przeszłość za nic. Gdy byli sami, z całą prostotą układali plany na przyszłość, gdy „Krzysztofa już nie będzie”. Mimoto kochali go szczerze.

W ten sposób przemawia siła przyrody.

— Idź precz! Teraz na mnie kolej!

Krzysztof, rozumiejąc doskonale ich bezgłose słowa, radby był powiedzieć:

— Nie spieszczcie się tak. Czuję się całkiem dobrze! Raczcież mnie zaliczać do żywych!

Bawiło go to niewinne zuchwalstwo.

— Powiedzcież wprost, — rzekł im raz, będąc w dobrym humorze, — że jestem stary osioł i basta!

— Ach, cóż za słowa? — krzyknęła Aurora — Drogi, kochany przyjacielu, jesteś najlepszym pod słońcem człowiekiem, istnieją atoli rzeczy, których pojąć nie możesz...!

— A ty je rozumiesz dziewczyno? Hm... proszę... proszę... co za mądrała!

— Proszę nie szydzić! — odparła z urazą — Ja, co prawda nie wiele o tem wiem, natomiast Jerzy zna się na wszystkim doskonale!

— Oczywiście! Masz rację, mała. Człowiek kochany zna się na wszystkim doskonale!

Jedno mu tylko było trudno znieść, to jest... ich muzykę. Gdy się jeno zjawili, fortepian wpadał w szpony Jerzego. Zdawało się, że miłość budzi w nich jak w ptakach potrzebę świergotania. Aurora nie łudziła się zgoda co do własnego talentu śpiewackiego, natomiast nie dostrzegła wcale różnic w grze narzeczonego i Krzysztofa, a wołała nawet muzykę Jerzego. Krzysztof w sposób ironiczny przytakiwał zakochanej dziewczynie, albo nie mogąc już zgoda wytrzymać, oddalał się, trzaskając drzwiami. Jerzy z sumiennością wielką i naiwnością niedoścignioną wygrywał Tristana, a w jego interpretacji potężne to dzieło nabierało zgłę nieoczekiwanych brzmień. Czasem śmiał się Krzysztof, nie chcąc powiedzieć czemu to czyni i całował chłopca tylko. Kochał go w takich chwilach bardziej jeszcze może... Ach, do czegoż doprowadza zarozumiałstwo artysty!...

* * *

Rozmawiał, oczywiście z Emanuelem o „dzieciach swoich“, a garbusek czynił mu wyrzuty, że oboje za

garnął dla siebie wyłącznie. Przyjaźń ich stała się przysłowiowa, mimo że żyli z osobna. Emanuel pokochał Krzysztofa gorąco, a choć krył się z tem, to tamten nie dał się już podejść i w ciągu tygodnia widywali się po kilka razy, a jeśli w odwiedzinach przeszkodził im zły stan zdrowia, wówczas pisywali do siebie. W listach tych nie było wzmianek o zdarzeniach zewnętrznych, mówiły jeno o zjawiskach w nauce i sztuce. Żyli w świecie idei, poprzez chaos faktów śledząc ową poświatę niedostrzegalną innym, która wieściła brzask nowego jutra.

Zazwyczaj przychodził Krzysztof do Emanuela, mimo iż trudno mu już teraz było wydostać się na szóste piętro i musiał długo chwytać oddech. Czynił to, bowiem Emanuel był fizycznie słabszy. Coprawda obaj nie umieli dbać o siebie i palili bardzo dużo mimo chorych płuc swoich. Krzysztof wołał przychodzić do przyjaciela, gdyż w domu Aurora tak dalece uwzięła się na to jego palenie, iż się musiał ukrywać. Zdarzało się często, iż ich podczas rozmowy porywał kaszel. Przystawiali i spoglądali na siebie, jak dwa żaki szkolne z uśmiechem. Czasem jeden kaszlał, drugi mu mówił kazanie, a pierwszy po przeminięciu ataku usprawiedliwiał się, że „mu dym wcale nie szkodzi“.

Na stole Emanuela siedział pośród papierów bury kot, spoglądający na palaczy poważnie i z wyrzutem. Krzysztof uważał go za żywy wyrzut sumienia i chcąc się go pozbyć, nakrywał kapeluszem. Kot był chory i wcale niepiękny. Emanuel znalazł go napoły zabitego na ulicy. Nie przyszedł już do siebie, bardzo niewiele okazywał wesołości i nie sprawiał sobą kłopotu. Łagodny, śledził mądrym spojrzeniem swego pana, smutniał, gdy go nie było, radował się, mogąc leżyc przy nim na stole, a w rozmyślaniach swych nieustannych przerywał sobie jeno czasem, wpatrując się pożądliwie w klatkę wiszącą wysoko, w której polatywały niedosiężne ptaki. Kot to był nader wdzięczny, mruczał za najłżejszym objawem życzliwości i mimo napadziwych karesów Emanuela

i gwałtownych sposobów okazywania sympatii Krzysztofa nigdy nie drapał, ani nie gryzł. Z jednego oka spływały mu ciągle łzy, pokaszliwał i zdawało się, że gdyby mógł mówić, niezawodnieby zaręczyłby, iż mu „dym nie szkodzi“. Znosił wszystko od przyjaciół z pobłażliwością wielką, myśląc zapewne:

— Ludźmi są, a przeto nie wiedzą co czynią!

Krzysztof twierdził, że mina jego przypomina wyrazem rysy Emanuela.

— Być może! — przyznawał Emanuel — W zwierzętach odzwierciedla się otoczenie, więc fizjognomja zmienia się wraz z panem, jakiego mają. Kot głupca spogląda całkiem inaczej niżli kot człowieka rozsądnego. Zwierzę domowe może być złe i dobre, szczerze i podstępne, mądre lub głupie, nie tylko przez tresurę, ale wprost naśladując swego właściciela. Nie potrzeba im zresztą nawet tego wpływu, przystosowują się bowiem do otoczenia bardzo łatwo i szybko.

Bury kot Emanuela upodobił się też do paryskiej mansardy i chorowitego pana swego, żyli bowiem obaj w jednym słońcu i jednych ścianach.

Emanuel stał się bardziej ludzki i dostępny. Przyczyliło się do tego osobiste przejście. Towarzyszka jego, której w chwili zdenerwowania dał poznać, jak dosyć ma już jej przywiązania, znikła nagle z domu. Po całonocnych poszukiwaniach znalazł ją w jednym z biur policyjnych i dowiedział się, że chciała skoczyć do Sekwany, uratowaną została przez przechodnia i wzbraniała się podać adresu, bowiem postanowiła odebrać sobie życie. Na widok jej bólu doznał silnego wstrząsu, zabrał desperatkę do domu, postarał się zagoić rany zadane i pokonany tą wytrwałą miłością oddał jej tę resztkę życia jaką jeszcze dysponował. Żył teraz sercem. Apostoł czynu przyszedł do przekonania, że najlepszy czyn, to nie czynić nic złego. Rola swą odegrał już do końca, przekonał się, że był jeno narzędziem czynu, jaki się musiał spełnić, toteż życie poszło dalej, zaś on patrzył na to i pogodził się z krzywdą osobistą.

Trudniej mu było patrzeć spokojnie na pogrom ideałów. Był wolnomyslny, uważał religję za sprawę załatwioną, a Krzysztofa zwał zamaskowanym klerykałem, mimo to jednak miał w sercu ołtarz, a na nim marzenia jego figurowały w postaci bogów. Ołtarz stał teraz pustką, bogi postrącało życie, a Emanuel cierpiał dotkliwie. Ideały za które tak niedawno walczyli wytrwale najlepsi z pośród pokolenia zostały zdeptane nogami następców. Spuścizna idealizmu francuskiego została brutalnie zniweczona. Znikła wiara w wolność ducha, w jej męczenników i bohaterek, miłość ludzkości, dążenie wprost religijne do braterstwa ludów i ras podziały się gdzieś. Ludzi współczesnych ogarnął szal, przyzywali napowrót jarzma, które zrzucili z siebie, namiętnie pragnęli powrotu przemocy, nienawiści. Żądza wojny zawładnęła wszystkimi wszystkimi we Francji.

— Dzieje się to nie tylko we Francji, ale w całym świecie! — powiedział Krzysztof wesoło. — Od Hiszpanji do Chin szaleje tasama burza. Niema zakątka gdzieby nie dolatała wichura. Ha... to wprost komiczne... nawet moja pocziwa Szwajcarja pokrzykuje szowinistycznie!

— I ciebie to cieszy? — dziwił się Emanuel.

— Tak jest. Przekonywam się bowiem, że tego rodzaju namiętności nie można przypisywać poszczególnym ludziom, ale że źródłem ich jest tajemnicza potęga rządząca światem. Przed Bogiem owym korzę się, a jeśli go nie rozumiem, moja to, nie jego wina. Spróbój go ogarnąć. Nikt się tem nie troszczy, każdy żyje z dnia na dzień. Patrzymy na najbliższy słup milowy i zdaje nam się, że tam kres drogi. Widzimy fale, a nie dostrzegamy morza. Nacjonalizm czasów naszych nie budzi we mnie podziwu, ani obawy. Przemienie bardzo rychło, a właściwie już przemija. Jest to jeno stopień drabiny, jest kwatermistrzem nowej armji! Czy słyszysz bębny i trąbki maszerujących kolumn?

Krzysztof zabębnił tak gwałtownie po stole, że kot zbudził się i skoczył w górę.

— Zaczyna się nowa era! — mówił dalej — Ludzkość zawrze nowy układ z życiem, a społeczeństwo zbudowane zostanie na odmiennej zasadzie. Jutro jest niedziela, przeto robimy tygodniowy rachunek, każdy sprząta w swym domu, pragnąc, by było wszędzie czysto zanim wraz z innymi stanie przed wspólnym Bogiem i zawrze z nim nowe przymierze.

Emanuel patrzył na Krzysztofa, a w oczach jawiły mu się zwidy przezeń wywoływane. Potem powiedział:

— Szczęśliwy jesteś Krzysztofie! Nie widzisz ciemności.

— Widzę ją! — odrzekł — Żyłem pośród niej długo... Jestem stara sowa.

* * *

Okolo tego czasu dostrzegli przyjaciele zmianę w Krzysztofie. Stał się roztargniony i jakby nieprzytomny, nie słyszał co się doń mówiło i miał minę skupioną i pogodną dziwnie. Gdy mu zwracano uwagę na jego roztargnienie, usprawiedliwiał się. Czasem mówił o sobie w trzeciej osobie.

— Krafft to załatwi... Krzysztof będzie się śmiał...

Ludzie nie znający go dobrze sądzili, że jest sobą ciągle zajęty, a tymczasem było wprost przeciwnie. Był sobie obcy, uważał się za osobę inną. Skończywszy bój o piękno, dokonawszy zadania doszedł do pewności, że i ni uczynią to samo i że, jak powiedział Rodin, piękno wyciążyć musi. Złość i niesprawiedliwość przestały go oburzać, powiedział sobie bowiem, że życie odeń odstępuje i wszystko jest w porządku.

W istocie opuściły go nagle siły fizyczne. Mocarnym był dawniej, teraz zaś wyczerpywało go szybkie chodzenie, tamowało dech, oraz wywoływało bicie serca. Wspominał o tem nikomu, nie chcąc niepokoić przyjaciół, przytem dolegliwości tych nie traktował poważnie. Bał się nietyle choroby, co konieczności kura. Ale jakieś przeczucie bliskiego końca, skło-

niło go do podróży do ojczyzny. Odsuwał ten wyjazd z roku na rok, teraz jednak wyruszył potajemnie, nie uprzedzając nikogo. Zabawił niedługo, nie znalazł bowiem nic z tego czego szukał. Zmiany jakie zauważył już za pierwszej bytności zostały ukończone. Mała miejscina stała się wielkiem centrum przemyslowem. Znikły stare domy, znikł nawet cmentarz, w miejscu gospodarstwa Sabiny widniała fabryka o wyniosłych kominach. Rzeka zmyła zupełnie łakę, na której bawił się dzieckiem. Wielka ulica, otoczona wysokimi domami nosiła jego imię. Umarła cała przeszłość, znikła nawet śmierć sama. Mniejsza z tem! Życie potoczyło się dalej. Niezawodnie w domach owej ulicy ku jego czci nazwanej rosna, kielkują i walczą inne małe Krzysztofy... W olbrzymiej hali koncertowej usłyszał jeden z utworów swoich w interpretacji tak zasadniczo odmiennej, że go nie mógł poznać w pierwszej chwili... Mniejsza z tem! Żle pojęty, może i tak poruszyć i pobudzić nowych twórców. Dość posiać ziarno... reszta nie nasza rzecz. Niech się żywi kto chce i jak potrafi. Gdy wieczór nastał Krzysztof chodził wokoło miasta po polach osnutych mgłą i rozmyślał, że tyle drogich istot przepadło w tej mgle, która i jego niebawem pochłonie... Mniejsza z tem! Mniejsza... myślał... nie boję się ciebie szara, rodzicielko słońce! Jedna gwiazda gaśnie, zapalają się nowych tysiące.

* * *

W powrotnej drodze do Paryża wstąpił do miasta gdzie poznał Annę. Nie wiedział o niej nic od chwili rozłąki, gdyż nie miał odwagi zaciągać informacji... Przez długie lata drżał na samo wspomnienie jej imienia. Teraz spokojny był i bez trwogi. Gdy jednak posłyszał z hotelowego pokoju, którego okna na Ren wychodziły, dzwony zwiastujące nazajutrz dzień niedzielny, odżyły wspomnienia przeszłości. Przez całą noc porządkował je w myśli i z uczuciem ulgi przekonał się, że jest wolny i spokojny. Ne

wiedział co uczyni, mignęło mu przez umysł, by może złożyć Braunom wizytę, ale rankiem nie mógł się zdobyć na to. Nie spytał nawet w hotelu czy żyje jeszcze doktor i żona jego. Postanowił wyjechać.

Uczuł jednak przedtem niezmiernie silną chęć pójścia do kościoła gdzie ongiś bywała Anna i stanawszy za filarem spojrzął na ławkę, w której ją widywał. Cekał, pewny będąc że przyjdzie, o ile żyje jeszcze.

W samej rzeczy zjawiała się jakaś kobieta, ale jej nie poznał. Wyglądała jak inna, była zażywna, twarz miała krągłą wystającą szczękę, a rysy jej wyżały obojętną jakąś surowość. Ubrana była czarno. Zajęła miejsce i siedziała bez ruchu nie modląc się, nie słysząc nic, patrząc jeno wprost przed siebie. Krzysztof nie odnalazł w tej kobiecie żadnego z oczekiwanych przejawów. Raz tylko czy dwa zauważył ruch, sztywny nieco, jakby chciała wygładzić na kolanach suknię... Minęła go zbliska, otarła się niemal o niego i przeszła dumna, wyprostowana z wielkim śpiewnikiem w złożonych przykładnie rękach. Na moment musnęło go jej ponure spojrzenie. Popatrzyli na siebie i nie poznali się. Przeszła. Potem dopiero ogarnawszy szczegóły dostrzegł martwy uśmiech w kącie ust, w miejscu gdzie ją tyle razy całował i poznał, że błysło jej w duszy wspomnienie.

Tchu mu zbrakło, zachwiał się.

— W tem ciele mieszkała istota, którą kochałem! — pomyślał — Gdzież jest? Gdzieżem ja sam? Cóż zostało ze straszliwego, pożerającego nas oboje uczucia? Popiół?... A gdzież płomień?

Posłyszał głos swego Boga:

— We mnie wrócił.

Podniósł oczy i dostrzegł ją jeszcze w tłumie. Wychodziła z portalu na pełne słońce.

* * *

Po powrocie do Paryża pogodził się z dawnym wrogiem swym Levy Coeuem, który go tak długo, tak zřęcznie, a zarazem z tak dobrze symulowanym

przekonaniem zwalczał. Gdy potem Krzysztof zwyciężył, uzyskał sławę i zaszczyty, Levy Coeur zmienił stanowisko i objawił życzliwość. Krzysztof udał, że nie dostrzega jednego, ni drugiego, a Levy Coeura znudziło to i przestał się nim zajmować. Mieszkali w tej samej dzielnicy i spotykali się często, ale mijali jak nieznajomi. Krzysztof prześlizgiwał się spojrzeniem po Levy Coeurze, jakby nie istniał, a ten sposób ignorowania doprowadzał tamtego do pasji.

Miał teraz ośmastoletnią, zgrabną, ładną, elegacką córkę, o owczym nieco profilu i jasnych, kędziezawych włosach. Odbywali razem spaceru po Luksemburgu i widocznie dobrze im było ze sobą. Dziewczyna kroczyła lekko i zgrabnie przy boku ojca, a Krzysztof, który mimo swego roztargnienia dostrzegał młode twarze, upodobał ją sobie. Myślał o Levy Coeurze:

— Szelma! Ma szczęście!

Ale dodawał zaraz w duchu:

— I ja mam, wszakże córkę!

Ta refleksja zbliżyła go dziwnie do Levy Coeura. Gdy wrócił z Niemiec, dowiedział się, że „owieczka“ zmarła i w ojcowskim egoizmie swym, powiedział.

— Dzięki Bogu, że nie moja!

Ogarnęło go współczucie, chciał pisać, ale potargał dwa listy, bo wysłać ich nie pozwalał mu jakiś fałszywy wstyd. Gdy dnia następnego spotkał Levy Coeura na ulicy i zauważył jego przygnębienie, zbliżył się wprost i wyciągnął doń obie ręce. Bez namysłu pochwycił je Levy Coeur i uściśnął serdecznie.

— Utraciłeś ją pan! — powiedział Krzysztof, a ton jego głosu wzruszył biedaka i uczuł głęboką wdzięczność. Zamienili kilka słów, a gdy się rozstali znikło wszystko co ich dzieliło dotąd.

Ślub Jerzego i Aurory naznaczony był na pierwsze dni wiosny, a zdrowie Krzysztofa pogarszać się zaczęło bardzo szybko. Zauważył, że młodzi spoglądają nań z niepokojem. Pewnego dnia posłyszał ich rozmowę prowadzoną z cicha. Jerzy rzekł:

— Złe wygląda... gotów się rozchorować!

A Aurora, odparła smutnie:

— Czy to tylko nie spowoduje zwłoki w naszym małżeństwie?

Wiedział teraz czego się trzymać i postanowił pod żadnym warunkiem nie stawiać na przeszkodzie ich szczęściu.

W przeddzień ceremonii był bardzo słaby, bo wiem wzruszył się w dniach ostatnich zupełnie jakby sam miał zawierać małżeństwo. Wystąpiło ponownie cierpienie płuc, którego początki sięgały jeszcze czasów „Targowiska”. Gniewał się na siebie nazywał cymbałem i poprzysiągł, że aż do samego ślubu nie da się chorobie. Wspomnił, że Gracja nie zawiadomiła go o stanie swego zdrowia w przeddzień koncertu, nie chcąc mu psuć przyjemności i był zadowolony, iż się jej odwdzięcza. Ukrywał zło jak mógł, i uradowany szczęściem „swych dzieci” przetrwał drugą ceremonię kościelną. Gdy tylko jednak znaleźli się z powrotem w domu Kolety, opuściły go siły, ukrył się w jednym z pokoiów i... zemdał. Znalazł go tutaj służący i ocucił, a Krzysztof zabronił mu wspominać o tem nowożeńcom, którzy mieli tegoż samego wieczoru wyjechać. Zajęci byli jednak do tego stopnia sobą, że nie zwracali na nic uwagi. Opuścili go weseli, obiecując napisać... jutro... lub... pojutrze.

Zaraz po ich wyjeździe położył się do łóżka. Opanowała go gorączka i już nie opuściła do końca. Znalazł się sam. Emanuel był również ciężko chory. Nie wezwał lekarza, gdyż nie wierzył w niebezpieczeństwo, a zresztą nie miał kogo posłać. Posługaczka przychodząca na dwie godziny rano nie troszczyła się o niego wcale, pozatem wygnał ją pewnego dnia precz. Tysiące razy bronił się przed porządkowaniem papierów, teraz jednak babsztyl uznał, że nadszedł czas zemsty i Krzysztof zobaczył w lustrze jak w drugim pokoju zgarnia na jeden stos wszystkie pozaczynane kompozycje. Wyskoczył z łóżka, wyrwał jej z ręki plik i wyrzucił ją do sieni:

Wybuch gniewu spowodował wzmożenie się gorączki, potem atak dreszczu i pozbawił go wszelkiej pomocy, bo rozwścieczona megera nie pokazała się więcej. Wstawał rano, otwierał drzwi i brał dzbanek z mlekiem stawiany pod drzwiami, oraz zaglądał czy odzwierna nie wsunęła w szparę drzwi przyobiecanego przez młodożeńców listu. Nie pisali, oczywiście zapomnieli o nim zupełnie, a on nie dziwił się, przekonany że uczyniłby to samo.

Polepszyło mu się, zaczął potrochu wstawać gdy dostał list od Aurory. Jerzy poprzestał na umieszczeniu podpisu. Nie zapytywała o niego, nie donosiła wiele, natomiast obarczyła go zleceniem. Szło o to, by jej przysłał zapomnianą u Kolety chustkę koronkową na szyję. Pisząc dopiero przypomniawszy sobie o niej i użyła tego pretekstu, aby czemś wogóle list wypełnić. Krzysztof był atoli uszczęśliwiony, że się może na coś przydać, ubrał się zaraz i ruszył na poszukiwanie, mimo że padał grad i ostre powietrze zwiastowało spóźniony nawrót zimy. Na ulicach leżał topniejący śnieg i dał wicher lodowaty. W dodatku brakło drożki i musiał czekać w budce. Rozmyślna powolność funkcjonariusza i arogancja złościła go. Owe wybuchy gniewu spowodowane chorobą, pogarszały ją i były jakby ciosy siekiery od których drżał pień starego dębu. Wrócił przemarznięty. Odzwierna podał mu w przechodzie gazetę, zawierającą napaść. Słabo się one teraz rzadkie, bo nie robi przyjemności, a dać na kogoś co milczy, pozatem nawet wrog od czuwali dlań szacunek, który ich samych doprowadzał do pasji. Jeden z wytrwalszych bohaterów wbił mu na głowę wiadro błota i zapowiedział, że drugim wiadrem chluśnie za dwa tygodnie. Krzysztof uśmiechnął się chytrze i powiedział:

Mam cię bratku! Wściekniesz się, gdy za dwa tygodnie zabraknie mnie na świecie.

Znajomi nalegali by wziął pielęgniarkę, ale oparł się twierdząc, że nawykł przez całe życie do samotności i nie pozwoli sobie mącić spokoju.

Nie przykszyło mu się wcale. Od lat już wiódł sam ze sobą rozmowy i wydawało mu się, że posiada dwie dusze. Czasem było ich nawet dużo, rozmawiały ze sobą lub śpiewały. Brał udział lub milczał słuchając. Miał zawsze pod ręką papier i ołówek i notował propozycje którejs z owych osób, albo własne pomysły. Myślenie i pisanie przez nawyk stały mu się jedną funkcją, a raczej pisanie było mu jasnym i konsekwentnym myśleniem. Raziło go wszystko co teraz uwagę odwracało od tych wewnętrznych kolokwów i z trudem jeno krył przed odwiedzającymi go z rzadka znajomymi, że mu paplanina ludzka przeszkadza słuchać owych głosów duszy.

Zaglądała doń odzwierna tylko, lub jej dzieci kilka razy na dzień, by spytać, czy czego nie potrzebuje. Dawał im listy do Emanuela, których nie przestawał pisać do końca. Doszli oni obaj zgoła różnemi drogami do tejże samej, ukojnej, braterskiej pobłażliwości. Pisywali drżącemi rękami coraz mniej czytelne listy, a nie było w nich nic poza sztuką i przyszłością idei noszonych w piersiach przez całe życie.

Ostatniego dnia napisał Krzysztof mdlejącą ręką przyjacielowi słowa wyrzeczone przez ginącego na polu walki szwedzkiego króla:

— Już po mnie bracie, ratuj siebie!

* * *

Spojrzeniem ogarnął teraz życie swe, podobne drabinie o wielu szczeblach. Widział wysiłki młodości, by posiąść samego siebie i walki późniejsze o zdobycie praw życia, które trzeba było wydzierać ze szponów współzawodników, jednocześnie ucząc się ovladać demonami swego temperamentu. Po zwycięstwie nastąpił przymus nieustannego czuwania nad zdobyczą i bronienia jej przed zwycięską samym. Wspominał rozkosze i próby przyjaźni, która osamotniała w walce serce wciela z powrotem do wielkiej ludzkiej rodziny, wreszcie samopoczucie w sztuce, południe życia. Przeżywał ponownie to co było, widział się panem swego losu, a nagle zjawiał się na

zakręcie drogi jeździec apokaliptyczny, żaloba, namiętność i hańba, przednia straż Boga. Rozdeptany kopytami koni, oblany krwią darł się przemocą na wyz, gdzie ponad chmurami pali się straszliwy ogień oczyszczenia. Tam stanął w obliczu Pana i walczył, jak Jakób z aniołem. Wyszedł z rąk jego złamany, ale pokochał swą klęskę, poznał granice, zmusił się pełnić wolę Boga na tem polu, na którym go postawił, a gdy minął czas orki, siewu i żniwa, gdy dokonana została praca ciężka i znojna, wówczas mógł się wyciągnąć u podnóża oblanych słońcem wzgórz i rzec:

— Błogosławię was! Światłości waszej nie zaznam, ale cień wasz napełnia mnie rozkoszą.

Zjawila mu się ukochana, śmierć strzaskawszy czarę jej życia przelała jej duszę w duszę jego i oto teraz zmierza ku owej harmoniji, w której topi się wczoraj, dziś i jutro, gdzie zaczyna się byt bez końca.

Spieszno mu było iść i myślał, że cel już bliski, ale ucisk fizyczny w piersiach i ów wir gorączkowych zjaw w mózgu uświadomiły mu, że czeka go jeszcze droga trudna i przykra. Leżał bez ruchu na łóżku. Na wyższem piętrze rzempoliła jakaś głupia damulka całemi godzinami na fortepianie. Umiała jeno jeden utwór i powtarzała bez końca te same takty, jakby jej sprawiała radość niewysłowioną. Krzysztof rozumiał jej upojenie, ale dręczyło go tak, że lzy mu ściekały po twarzy. Ach... gdybyż przynajmniej nie waliła tak mocno? Hałas był mu tak straszny, jak zbrodnia. W końcu poddał się i spróbował słyszeć. Udało się to łatwiej niż sądził. Odrywał się już od ciała, od tego schorowanego, ordynarnego ciała i dziwił się jak mógł być w niem przez tyle lat zamknięty. Oszadził, że nie pociągnie już długo. Rozpadało się w oczach.

Chcąc wystawić na próbę swój ludzki egoizm, zadał sobie pytanie:

— Cóż byś wolał? Czy, żeby wspomnienie Krzysztofa, jego osoby i jego nazwiska trwały przez wieki, a dzieła zaginęły, czy zaś by one przetrwały, a z niego samego nie pozostało śladu?

Odparł bez wahania:

— Niech ja przepadnę, byle przetrwało to, czego dokonał. Jest to bowiem część najistotniejsza mego jestestwa.

Ale za chwilę przekonał się, że zubożył na dzieła swe podobnie jak na siebie. Dzieciństwem jest wierzyć w wiekuiste trwanie ludzkiego czynu! Odczuł, że nie tylko utwory jego, ale cała w ogóle muzyka współczesna przypadnie. Wyraz muzyczny przestaje być zrozumiały w ciągu lat dwustu. Wszakże fachowcy jeno rozumieją takiego Monteverdi, czy Lulliego, mech pokrywa dawno dęby klasycznego lasu, namiętności nasze zawarte w tonach ulatują, zostaje świątynia pusta i zapomniana. Krzysztof zdziwił się, że na te ruiny spogląda spokojnie.

— Czyż mniej kocham życie? — spytał.

Poczuł naraz, że życie kocha więcej nawet, tylko nie warto opłakiwać sztuki, bo jest ona cieniem człowieka rzuconym na naturę. Niechże ją rozprószy słońce i wchłonie, przeszkadza mu bowiem patrzeć na nie.

Nieprzebrane zasoby natury marnują się w rękach naszych, rozum chce chwycić płynącą wodę w sieć... Muzyka nasza jest złudą, nasze gamy, nasze interwały są kłamstwem i wymysłem, bowiem nie są odpowiednikami głosów rzeczywistości. W stosunku do tonów rzeczywistych są kompromisem, są wciskaniem ruchu wiekuistego w system metryczny. Duch nasz domagał się tego kłamstwa, by pojąć rzecz niepoznawalną, a uwierzył w to co zrobił, bo tak chciał. Ale to nieprawda! To nie jest prawda żywa. Dlatego też rozkosz, jaką duch czerpie z tego, przez siebie stworzonego prawa wymuszoną jest jeno i przy pomocy sfalszowania całej prawdy istotnej, co do jakiej mamy same przeczucia jeno i domysły.

Od czasu do czasu spada na genjusz w zetknięciu z ziemią tusz rzeczywistości, który grozi potrzaskaniem tam sztuki. Tamy trzeszczą, natura wypływa szparami, ale niezwłocznie naprawione zostaje to, co co się popsło, gdyż jest to niezbędne dla ochrony

ludzkiego rozsądku. Przepadłyby w jednej chwili i na zawsze, gdyby oczyma swemi spojrzął w oczy Pana. Dlatego to zaczyna zaraz z wielką starannością zaklejać pęknięcia i budować ciemne komórki, do których nie dopuści niczego z zewnątrz, nie przetrawiwszy dobrze poprzód. Jest to może doskonałe dla tych, którzy nie chcą patrzeć. Ale ja chcę widzieć oblicze twe Jehowo, chcę usłyszeć grom twój, choćbym miał od tego zginąć. Przeszkadza mi łoskot sztuki... niechże tedy zcichnie duch, niech będzie pokój ludziom ziemi.

Tak sobie pięknie mówił, ale za chwilę szukał omackiem papierów leżących na kołdrze i usiłował dopisać bodaj po parę nut. Spostrzegłszy ową dziecienną sprzeczność, roześmiał się i rzekł:

— Kochana towarzyszek, muzyko, lepsza jesteś odemnie, który cię puszcza w trąbę, jak niewdzięcznik jakiś. Nie chcesz iść, cierpliwie znosząc kaprysy moje... przebac... przebac... w istocie są to jeno dziwactwa... nie zdradziłem cię nigdy i tyś mi zawsze wierna była. Toteż zostań ze mną do końca... zostań... przyjaciółko droga...

Zbudził się z długiego, jak mu się zdało odrętwienia przepełnionego gorączkowymi marzeniami. Pamiętał je, miał je w sobie, a jednocześnie czuł się „kimś innym“, kimś droższym i cenniejszym. Ktoś się we śnie jakby wcielił w niego. Oliwer? Gracja? Nie wiedział, głowa i serce były tak słabe, że nie mógł rozróżniać ukochanych swoich. I na cóż zresztą? Kochał wszystkich jednakowo. Leżał bez ruchu. Widział, że cierpienie czyha w zasadzce, jak kot na mysz. Udawał przeto zmarłego... Ach — jak dobrze... Niema nikogo... fortepian na wyższym piętrze umilkł... samotność... cisza...

Spojrzął w okno. Dzień był pogodny, ale bezsłoneczny, podobny, jak powiada Balzak, do pięknej i ślepej kobiety. Krzysztof zatopił się w obserwacji gałęzi zwisającej tuż przy szybie. Napęczyła, wy-

puszczała paki i listki, a tyle w niej było utajonego życia, że Krzysztof uczuł je w sobie jako prąd rzeźwy i twórczy i łapiąc dech zaczął nucić hymn na cześć jutra głosem nie słuchającym już rozumu (może zresztą wcale nie wychodził z gardła, ale nie zauważył tego).

Odpowiedziała niewidzialna orkiestra. Krzysztof powiedział do siebie:

— Cóż to za robota? Wszakże nie było ani jednej próby. Ciekawym, czy dojadą do końca bez pomyłki. Usiłował podnieść się, by go orkiestra dobrze widziała i zaczął dyrygować ręką. Grajkowie nie mylili się, pewni byli siebie. Cóż za cudna muzyka... Acha... zaczynają improwizować ritornelle... Ba... to poprostu paradne...

— Czekajcie chłopcy.. muszę was zasypać! — krzyknął i dyrygując, kierował barkę to w prawo, to w lewo przez najciaśniejsze przesmyki i wirowiska.

— Hm... cóż zrobicie z tem! — prowokował — A teraz tu... Przeszli... Albo tutaj... no...

Nie mógł ich w żaden sposób wytrącić z siodła... Po jednym szaleństwie następowało nowe, jeszcze większe.

— Ciekawym, co jeszcze wymyślą? To istne szatany! — wołał: brawo i śmiał się głośno.

— U licha! — odsapnął po chwili — Nie nadążę za nimi! Zostanę pobity! Hola młokosy... na to sobie nie pozwalajcie! Jestem dziś trochę nie swój! Ale to nic... wiadomo, kto będzie ostatecznie górą...

Orkiestra grała jak szalona, fantazjowała w sposób tak dziwny i nowy, że nie pozostawało nic, jak tylko leżąc i słuchać z otwartymi ustami. Czuł duszność i żal mu się zrobiło samego siebie.

— Ośle! — rzekł z cicha. — Jesteś do cna wypompowany. Milcz! Instrument dał, co mógł dać. Dość mam tego ciała! Trzeba mi nowego.

Ale ciało zemściło się. Przyszedł atak kaszlu i nie mógł słuchać.

— Milcz! — krzyknął.

Chwycił się za gardło, bił się pięściami po pierśiach, jakby gromił wroga. Nagle znalazł się w zamęcie bójk. Tłum wył. Jakiś człowiek objął go ramionami. Obaj upadli na ziemię. Tamten przycisnął go kolanami i dusił.

— Puść! Chcę słuchać... Puść... inaczej zabiję cię!

Rzucił go głową o ścianę, ale przeciwnik nie puścił.

— Ach... któż to? — zdziwił się — Z kimże walczę wręcz? Czyjeż jest to ciało, które trzymam, które mnie pali?...

Poznał, że to zmysły łudzą go walką, że targa nim namiętność i wściekłość, żądza, chęć mordu, pożądanie zmysłowych jakichś splotów, że raz jeszcze... po raz ostatni poruszyło się to całe bagno...

— Kiedyż się to skończy? Kiedyż postrącam pijawki ssące ciało moje? Gdybyż jeno wraz z ciałem zginęły... ach!

Z pomocą bark, bioder i kolan gromił niewidzialnego wroga i na koniec powiodło mu się... Był wolny!

Gdzieś w dali brzmiały ostatnie akordy. Wyciągnął oblane potem ręce i zawołał:

— Czekajcie na mnie! Czekajcie!

Zaczął biec za nimi! Potykał się, przewracał różne przedmioty. Biegł tak szybko, że mu brakło oddechu, serce biło młotem, krew tętniła w skroniach. Ha... cóż to... pociąg kolejowy w tunelu?

— Ach... jakaż szkoda!

Dawał rozpaczliwe znaki orkiestrze, by nie grała dalej bez niego... I na koniec wydostał się z tunelu. Uciszyło się. Mógł słuchać.

— Przecudnie! Wspaniale! Dalejże chłopcy! Czyjeż to być może? Co, powiadacie że to kompozycja Krzysztofa Kraffta... Nonsens! Głupota! Znałem go przecież... nie napisałby dziesięciu takich taktów... Któż kaszle? Nie róbcie hałasu! Cóż to za akord?... Albo ten... Za prędko! Cześć...

Krzyczał głośno, ręka poruszała się na kółdrze jakby pisał, a wyczerpany mózg starał się dojść z jakich elementów składają się posłyszane akordy. Nie mógł dać rady. Wskutek podniecenia wymykało mu się to co zdołał pochwycić. Zaczynał na nowo...

— Dość... dość... nie mogę! — zawołał.

Wola rozluźniła się zupełnie, zamknął oczy z uczuciem wielkiej radości. Lzy szczęścia popłynęły z pod powiek, a mała córeczka stróża siedząca przy nim (o czym nie wiedział) otarła je pocziwie. Nie zdawał sobie już sprawy co się na świecie dzieje. Orkiestra umilkła, a on został z nierozwiązaną zagadką tej harmonji. Mózg powtarzał uparcie:

— Cóż to za akord? Radbym wiedzieć, radbym wiedzieć nim przyjdzie koniec...

Ozwały się głosy. Jakiś głos namiętny. Zjawiły się tragiczne oczy Anny... Ale w tej samej chwili nie była to już Anna. Oczy spojierały z taką dobrocią...

— Czyż to ty Gracjo? Któraś z was? Nie widzę już dobrze... Czemu trwa noc tak długo? Kiedyż wstanie słońce?

Rozległy się ciche uderzenia. Wróble za oknem pisały dając mu znać, że czekają na okruszyny z obiadu. Krzysztof zobaczył swoją stancyjkę dziecięcą... Dzwony. Świt. Dźwięki płyną rzeźwem powietrzem od strony wsi leżących w dolinie. Za domem szemrze rzeka. Wygląda oknem. Całe życie, niby Ren płynie mu przed oczyma, Luiza, Gotfryd, Oliwer, Sabina...

— Matko... ukochana... przyjaciele! Jakiemż zwać was imionami? Gdzieżecie? Wiem żeście blisko, ale dojrzeć was nie mogę.

— Jesteśmy przy tobie Krzysztofie drogi!

— Nie odchodźcież! Szukałem was tak długo!

— Nie bój się! Już cię nie opuścimy!

— Fala mnie znosi!

— Tasama rzeka i nas zabiera.

— Dokądże płynie?

— Tam, gdzie się połączymy.

— Kiedyż się to stanie?

— Spójrz!

Krzysztof uczynił nadludzki wysiłek by podnieść głowę (o, jakąż była ciężka) i ujrzał, że rzeka występuje z brzegów, pokrywa pola i toczy się zwolna, majestatycznie. Od horyzontu odciął się srebrzysty pas, stawał coraz szerszy i płynął na spotkanie. Połyskał szum oceanu, a martwiejące serce jego spytało:

— Czy to on?

Głowy wszystkich ukochanych odrzekły:

— To on!

Mózg pomyślał:

Otwiera się furta... Oto akord, którego szukał... Ależ to przecież nie koniec! Cóż za przedziwne horyzonty? Jutro zacznę nowe życie...

Co za radość widzieć jak rozpływamy się w dostojnym majestacie Boga, któremu staraliśmy się służyć przez całe życie!

— Panie, czyś nie bardzo gniewny na sługę twego? Uczyniłem mało, ale nie mogłem więcej. Walczyłem, cierpiałem, bładziłem, tworzyłem. Pozwól mi spocząć w ojcowskim objęciu twojem! Wstanę kiedyś na nowe życie i walkę nową...

Rzeka i morze śpiewały razem z nim:

— Wstanę... Spocznę teraz... Wszystko, to jeno jedno wielkie serce, jeno uśmiech dnia i nocy, obejmujących się w ramiona. Harmonja jest dostojnem skojarzeniem miłości i nienawiści. Śpiewam chwałę Bogu o dwu potężnych skrzydłach... Hosanna życiu! Hosanna śmierci!

* * *

*Christofori faciem die quacumque tuertis,
Illa nempe die non morte mala morieris.*

Święty Krzysztof przeszedł rzekę. Przez całą noc szedł pod prąd. Niby potężna skała sterczy muskularne ciało jego z wody. Na prawem ramieniu niesie małą dziecinę. Św. Krzysztof wspiera się na wyrwanej z korzeniami jedli, która gnie się pod na-

porem. I jego grzbiet pochylony. Ci którzy widzieli jak ruszał w drogę, powiadali: — Zaprawdę nie dojdzie do celu! — I długo leciały za nim śmiechy i drwiny. Potem przestali, bowiem przyszła noc, a oni uczyli znużenie. Teraz święty zdaleko, by słyszeć krzyki pozostałych na brzegu. Słyszycie tylko szum wody i spokojny głos dziecięcia, które trzyma w ręczce snop włosów olbrzyma i nagli, mówiąc: — Dalejże naprzód! — Stąpa pochylony z oczyma utkwionemi w ciemny brzeg przeciwny, słabo zarysowany na tle nocy i ledwo widny.

Nagle zagrały dzwony na: Anioł Pański, i zaraz zbudził się dzień. Zaświtało. Poza czarną sterczącą skałą rozbłysła poświata słoneczna. Krzysztof dobywa sił ostatka. Na koniec dosięga brzegu i rzecze do dziecięcia:

— Jesteśmy u celu! O jakżeś ciężkie! Kto jesteś, powiedz mi dziecie?

A dziecie odparło świętemu:

— Jam jest dzień, nowy.

KONIEC TOMU DZIESIĄTEGO I OSTATNIEGO.

